

# Konferencje biblijne 2007/2008

## Spotkać Jezusa dzisiaj — Czytanie Ewangelii z Benedyktem XVI

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,  
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis na podstawie nagrań: J. Paczyński

### Spis treści

1	Chrzest Jezusa (22 października 2007)	2007/2008 – 1
2	Kuszenie Jezusa (12 listopada 2007)	2007/2008 – 11
3	Ewangelia o królestwie Bożym (10 grudnia 2007)	2007/2008 – 19
4	Osiem Błogosławieństw (14 stycznia 2008)	2007/2008 – 29
5	Modlitwa Pańska (18 lutego 2008)	2007/2008 – 39
6	<i>Nie wódź nas na pokuszenie</i> — co to znaczy? (17 marca 2008)	2007/2008 – 48
7	Co to znaczy być uczniem Jezusa — (21 kwietnia 2008)	2007/2008 – 59
8	Mowa eucharystyczna Jezusa - i pierwszy kryzys — (26 maja 2008)	2007/2008 – 69
9	Przed nadchodzącym synodem biskupów nt. <i>Słowo Boże w życiu i misji Kościoła</i> — (16 czerwca 2008)	2007/2008 – 81

# Ostrzeżenie

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisał by nieco inaczej. Ale dość szybko doszedłem do wniosku, że nie jestem upoważniony do istotnych interwencji redakcyjnych. Bowiem zauważyłem, że nawet dygresje mówią bardzo wiele o osobowości Księdza Profesora.
- Podział na akapity, często nawet podział dłuższych zdań, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stroną – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.
- O ile zasłyszane teksty w języku greckim w pewnym stopniu mogłem zweryfikować czytając nieudolnie teksty oryginalne, to teksty hebrajskie są spisane tylko ze słuchu i pewnie nie bardzo są podobne do poprawnego zapisu.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją.

Jerzy Paczyński

# 1 Chrzest Jezusa (22 października 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu. Zaczniemy od modlitwy. W imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Bardzo serdecznie wszystkim państwa witam w kolejnym cyklu naszych konferencji biblijnych. Tegoroczne zaczynają się z pewnym opóźnieniem ale mam nadzieję, że teraz wszystko będzie już w normalnym rytmie. Bardzo się cieszę kiedy patrzę na państwa, z tego widoku, który już oglądałem kilkadziesiąt razy. Bo przecież nasze spotkania trwają od ponad dwudziestu lat, najpierw na ul. Dickensa w kościele Opatrzności Bożej, teraz tutaj, w tym kościele. Więc bardzo gorąco witam tych wszystkich z państwa, którzy są najdłużej. Bardzo serdecznie witam tych wszystkich, którzy już brali udział w naszych spotkaniach biblijnych. I również bardzo serdecznie witam tych, którzy pojawili się po raz pierwszy bo wiem, że są i tacy. I bardzo chciałbym na te wszystkie nadzieje i oczekiwania, które państwo żywią i z którymi państwo tutaj przychodzą, odpowiedzieć tak, żeby ten czas nie był czasem broń Boże straconym, ale żeby przyniósł chociaż trochę duchowego i intelektualnego pożytku. Domyślają się państwo, że nie jest łatwo znaleźć temat dla grupy tak wprawionej w czytaniu i komentowaniu Pisma Świętego, jak właśnie państwo. Dlatego zastanawiałem się co miałyby być przedmiotem tegorocznych konferencji i sądzę, że wybór, który mam do zaproponowania, jest naprawdę ciekawy. Otóż gdyby szukać jakiegoś tytułu, który byłby spoiwem tych naszych konferencji, to tytuł brzmiałby: *Spotkać Jezusa dzisiaj*. Ale ma także podtytuł, mianowicie: *Czytanie Ewangelii z Benedyktem XVI*.

Chciałby żebyśmy starali się, postanowili spotkać Jezusa dzisiaj tak, jak to jest możliwe. Nie możemy cofnąć się w czasie, nie możemy zmienić przestrzeni. Ale możemy wziąć do ręki Pismo Święte, Nowy Testament, możemy wziąć do ręki Ewangelię. I możemy z Ewangelii raz jeszcze próbować Jezusa rozpoznać, próbować Go doświadczyć, próbować Go przeżyć na nowo. Także i z tego względu, że do Jezusa żeśmy się przyzwyczaili. Że wydaje się nam, że wszystko o Nim wiemy. Że Ewangelie wielokrotnie czytaliśmy, słyszymy je w kościele. Dlatego, że Jezus jest kimś nam bliskim. I to jest tak, jak z bardzo bliską osobą, która gdzieś jest obok, do której się przyzwyczailiśmy. I oto któregoś dnia zaczynamy odkrywać nowe jej strony, nowe pokłady jej wnętrza, nowe pokłady jej ducha. I jesteśmy zdumieni, że ktoś tak znajomy i tak bliski jest jednocześnie kimś tak zaskakująco nowym.

Bardzo chciałbym, że by Jezus okazał się kimś zaskakująco nowym. Żeby czytania Pisma Świętego, które sobie wybierzemy i weźmiemy pod rozwagę, żeby dostarczyły nam nowych przeżyć. I w tym potrzebujemy przewodnika, zarówno państwo, jak i ja. Otóż tym przewodnikiem będzie dla nas papież Benedykt XVI, który kilka miesięcy temu podarował nam dar niezwykły, mianowicie swoją książkę na temat Jezusa. Jest to książka trudna do czytania. Dlatego postaram się przeprowadzić przez tę książkę i pokazać państwu Jezusa oczami Benedykta XVI, ale także swoimi własnymi oczami. I chciałbym, żebyśmy przeżyli tę przygodę z Benedyktem XVI jako coś niezwykłego, co pozwoli nam zobaczyć i przeżyć Jezusa dzisiaj.

Papież rozpoczął pisanie tej książki zanim został papieżem. I ten wstęp jest bardzo ważny. Otóż rozpoczął pisanie tej książki latem, podczas urlopu, w r. 2003, kiedy miał 75 lat. Zwróćmy uwagę, że ludzie w tym wieku rzadko biorą się za pisanie książek. A zwłaszcza książek tak ważnych jak te, w których dają upust temu, w co wierzą. Nie był wtedy Benedykt XVI jeszcze papieżem, żył jeszcze ciągle Jan Paweł II. Był kardynałem, był bardzo blisko naszego papieża. I na wakacjach rozpoczął refleksję, którą sam nazwał „owoc mojej wewnętrznej drogi”. Kiedy 75-letni człowiek ogląda się wstecz na swoją wewnętrzną drogę, to zawsze warto popatrzeć jaka ta droga jest. A kiedy czyni to człowiek, który niespełna półtora roku później zostaje papieżem, to oczywiście ta wewnętrzna droga papieża dla każdego z nas, dla chrześcijanina, dla katolika zwłaszcza, jest czymś absolutnie wyjątkowym. Dodał papież, że po wyborze na Stolicę Apostolską w każdej wolnej chwili wracał do tej refleksji nad Jezusem. Zadawał pytanie: Kim jest Jezus? Co w Nim jest takiego, że może współczesnego człowieka fascynować? Ale nawet więcej! Nie pytał o innych ludzi, ale papież stawiał pytanie: Kim jest Jezus, jeżeli zafascynował On kogoś takiego, jak kardynał Józef Ratzinger i papież Benedykt XVI? I szukając odpowiedzi na to pytanie *Kim jest Jezus?* Benedykt XVI udał się do Nowego Testamentu. To też znaczące. Dlatego, że drogi poszukiwań Jezusa bywają różne — łącznie z takimi, które są błędne albo które prowadzą na manowce.

Żeby kogoś poznać trzeba znaleźć klucz. Nie tylko do jego osoby, ale bardziej jeszcze do jego serca, do jego wnętrza. Żeby kogoś poznać tak naprawdę, to trzeba go ukochać. I papież daje do zrozumienia, że ukochał Jezusa, uwierzył w Niego. I w związku z tym już jako starszy człowiek zadaje sobie pytanie: Kim jest Jezus, że nieustannie, pomimo upływu czasu, potrafi człowieka, potrafi ludzi, potrafi ludzkość i potrafi jego konkretnie, kardynała Ratzingera, Benedykta XVI, zafascynować? Kim jest Jezus nie taki, o jakim mówią ludzie. Nie taki, o jakim możemy słyszeć w środkach masowego przekazu. Nie taki, jakiego oglądamy gdzieś tam na filmach pobożnych. Ale kim jest Jezus, o którym opowiadają Ewangelie? Bo przecież właśnie Ewangelie są dobrym źródłem do poznania Jezusa Chrystusa. Szukając odpowiedzi na to pytanie papież wyznaje, że przez całe życie studiował teologię. Przez całe życie uczył się tego, co o Bogu i o Jezusie ludzie mądrzejsi napisali. I daje w swojej książce, która jest owocem tych poszukiwań i która nosi tytuł „Jezus z Nazaretu”, daje próbkę znajomości współczesnego stanu wiedzy filozoficznej i teologicznej. Otóż czytanie kardynała Ratzingera jest przeogromne. Powołuje się na piśmiennictwo teologiczne niemieckie, francuskie, angielskie. Widać, że zna to doskonale. I możemy powiedzieć, że zyskujemy przewodnika znakomitego, wybitnego katolickiego intelektualistę. Człowieka, który ma rozum i który potrafi go używać. Używać nie tylko z myślą o sobie, ale także z myślą o innych. Papież daje poznać, że zna przemyślenia, poglądy filozoficzne wielu wybitnych współczesnych myślicieli, ale jednocześnie staje wobec nich jako partner. Podejmuje z nimi rozmowę, podejmuje z nimi dialog. Sprzecza się z nimi, przeciwstawia się im bo chce, żeby obraz Jezusa, który wylania się z Ewangelii, był jak najbardziej owocny, był jak najbardziej przydatny, jak najbardziej potrzebny dla życia duchowego. Wie, że szuka Jezusa dlatego, że bardzo Go potrzebuje. A nie szukałby Go, gdyby Go już nie znalazł. Zatem szuka kogoś, kogo dobrze zna. I tego dobrze znanego chce zapytać jeszcze o coś więcej. I tym materiałem, którym się posługuje, tą pomocą, tym oknem, które służy do zajrzenia do wnętrza Jezusa, jest czytanie Ewangelii. Ojciec Święty zaznacza, że nie wszystko, co przeczytał, przybliżało go do Jezusa. Nie wszystko, co ludzie mówią o Jezusie, może przyjmować w jednakowy sposób i bez żadnego krytycyzmu. Że o Jezusie pisano rzeczy wzniosłe i wielkie, ale także pisano rzeczy zupełnie poślednie, a nawet słabe i takie, które zwiodły innych na manowce. Zatem żeby znaleźć Jezusa trzeba wybrać właściwą drogę. To tak, jak wejście do jakiegoś przeogromnego lasu. A w tym lesie są rozmaite ścieżki. I żeby dojść gdzieś tam do środka, to trzeba znaleźć tę ścieżkę właściwą — także po to, żeby nie błądzić tymi, które są zbyt długie i zbyt zawile. Benedykt XVI jest świadomy że ci, którzy uwierzyli w Jezusa, zdążyli się do Niego przyzwyczaić, zdążyli się z Nim oswoić. Dlatego tak jak niegdyś Daniel Anusz w rzeczy, którą opatrzył tytułem „Zraniony pasterz”, tak i Benedykt XVI powiada, że warto żeby rzeczom, które się dobrze zna, przyjrzeć się od nowa. Żeby przyjrzeć się z innego punktu widzenia. Żeby przyjrzeć się w sposób, w jaki do tej pory nie patrzyliśmy. Poetycko rzecz ujmując Anusz napisał, że taki nowy pogląd daje zwłaszcza spojrzenie od strony wschodzącego słońca. I Benedykt XVI idzie tym tropem, chociaż pewnie nieświadomie. A mianowicie patrzy na rzeczywistość, na świat, na swoją wiarę od strony tego słońca, którym jest Chrystus. Ale jest to słońce, które do niego dociera, które on poznaje, które on przyjmuje, które on akceptuje, za którym on idzie dzięki czytaniom Ewangelii.

I my też chcielibyśmy pójść tym tropem. Ojciec Święty wybierze kilka epizodów. I my na każdej z poszczególnych konferencji będziemy szli jak gdyby rozdział po rozdziale tropami tej książki. A moim zadaniem będzie nie tyle to, żeby tę książkę streszczać, ile raczej żeby niejako wziąć państwa za rękę i stanąć obok Benedykta XVI. Myślę, że obraz jest mniej więcej taki. Oto papież mówi, że marzyłoby mu się żeby wejść w tłum, który niegdyś otaczał Jezusa. I żeby w tym tłumie popatrzeć na Jezusa, ale nie jako nowicjusz, nie jako ktoś tylko ciekawy, lecz jako ktoś, kto Jezusa już zna, kto Go w wierze przyjął i kto dowiedzieć się chce jeszcze więcej. A więc my w obrazowy sposób chcemy stanąć obok Benedykta XVI i chcemy patrzeć nie wprost na Jezusa, ale patrzeć na papieża jak on przeżywa Jezusa i co on o Jezusie nam opowiada. Dlatego, że jego książka to są głęboko osobiste zwierzenia, które można porównać do „Przekroczyć próg nadziei” Jana Pawła II. Nasz papież dał światu świadectwo swojej wiary i dochodzenia do Boga. I Benedykt XVI również składa świadectwo swojej wiary i świadectwo dochodzenia do Boga, do Chrystusa. I my stajemy obok niego, patrzymy na niego, słuchamy jego słów, i chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o Jezusie po to, żeby dzisiaj nasza wiara była dojrzała, żeby była pełniejsza i lepsza. Papież napisał tak, że kiedy szukał tego swojego klucza do osoby Jezusa, to zwróciło jego uwagę — szczególnie związek Jezusa z Bogiem.

Szczególny związek z Bogiem, którego Jezus nazywa Ojcem. Wielu było ludzi religijnych przed Jezusem, wielu było w czasach Jezusa, wielu jest po dzień dzisiejszy ludzi religijnych. Ale nowość i wyjątkowość Jezusa polega na absolutnej wyjątkowości jego relacji z Ojcem, jego więzi z Bogiem. Otóż Jezus jest prawdziwym człowiekiem, to prawda, tak, jak każdy z nas i jak miliardy innych, które się narodziły na świecie. Ale jednocześnie Jezus jest kimś wyjątkowym przez to, co o sobie mówi, przez to, co mówi o Bogu, oraz przez to, czego dokonuje, czego naucza, i wreszcie przez swój los, przez swoją śmierć i Zmartwychwstanie. Jezus jest kimś wyjątkowym i ta wyjątkowość już w jego czasach budziła sprzeciw, i budzi też sprzeciw także dzisiaj. Ale ta wyjątkowość już w czasach Jezusa budziła fascynację, i budzi fascynację także dzisiaj. Ta wyjątkowość sprawia, że ludzie wiążą z Jezusem całe swoje życie. Że gotowi są Mu je poświęcić, oddać, zaufać, pójść za Nim. A więc cóż takiego jest w Jezusie co sprawia, że człowiek jest gotów za Nim pójść i wszystko Mu oddać? Papież zwraca też we wstępie uwagę na jeszcze jedną bardzo ważną rzecz. Mianowicie powiada, że to, co dotyczy Jezusa, wydarzyło się w historii, wydarzyło się rzeczywiście. My nie rozważamy mitu, nie rozważamy bajki. To nie są opowiadania li tylko, to są opowiadania o tym, co się rzeczywiście stało. Zatem ważną rzeczą jest docieranie do tej sfery wydarzeniowej, tzn. odczytanie tego, co się naprawdę stało. Ale na tym nie można poprzestać. Wydarzenie historyczne jest bardzo ważne, ale nie jest ono ważne tylko i dlatego, że jest to wydarzenie historyczne. Wiele było wydarzeń historycznych, które miały jakiś osobliwy przebieg, ogromne znaczenie, wielkie oddziaływanie, o których to wydarzeniach wspominamy po wielu setkach i tysiącach lat. Ale wydarzenie Jezusa Chrystusa przynależąc do ludzkiej historii i wchodząc w skład kalendarza, to wydarzenie jednocześnie wyznacza perspektywy zupełnie nowe. Ono każe spojrzeć na osobę Jezusa Chrystusa inaczej, a przez to także spojrzeć na siebie inaczej. Jest to wydarzenie osadzone w historii, ale jego znaczenie jest ponadczasowe i ponadhistoryczne. Jego rola na czym się więc opiera? Na czym się opiera ta wyjątkowość osoby i posłannictwa Jezusa z Nazaretu? Papież dodaje, że jeżeli sięgamy po Pismo Święte, i jeżeli na kartach Pisma Świętego chcemy spotkać Chrystusa, to wartość Pisma Świętego dla nas jest tak istotna, bo całe Pismo Święte ma wymowę chrystusową, całe Pismo Święte nas na Chrystusa ukierunkowuje i do Niego prowadzi. Otóż kiedy przyjmujemy decyzję wiary, kiedy wierzymy w Boga i wierzymy w Jezusa, to spotykamy Chrystusa na każdej stronicy Pisma Świętego. Czytając książkę Benedykta XVI czyta się ją tak, jak działa Ojców Kościoła, napisane kilkanaście wieków temu. Ten człowiek nie tylko opowiada o Bogu, ten człowiek żyje Bogiem. Ten człowiek nie tylko opowiada o Chrystusie, ale on z Chrystusem jest w głębokiej przyjaźni. Ten człowiek nie tylko chce dotrzeć do Jezusa, ale chce również poprowadzić innych i zachęcić ich, żeby poszli tą samą drogą.

Spróbujmy więc, a nie jest to rzecz łatwa bo wszystko to, co wzniosłe, wymaga wysiłku, spróbujmy pójść tym szlakiem, który nam wskazuje Benedykt XVI. I spróbujmy dowiedzieć się o Jezusie czegoś nowego w sytuacji, gdy wydaje nam się, że wiemy o Nim wszystko i że mogliśmy Go przeżyć już wiele razy na rozmaite sposoby, i to bardzo głęboko. Zatem — bilansując to wszystko — w refleksji, którą podejmujemy są stale dwa wymiary. Te dwa wymiary zawsze spotykają się u dorosłych chrześcijan, u dojrzałych chrześcijan w naszym życiu, w postępowaniu i myśleniu. Jeden wymiar to jest osadzenie w tym, co się rzeczywiście zdarzyło. To jest dociekanie, odtwarzanie tego, co się wydarzyło. A więc nacisk na historię. On jest bardzo ważny — Bóg naprawdę stał się człowiekiem. Ale Bóg stał się człowiekiem dla nas i dla naszego zbawienia. Zatem za próbą odczytania historii idzie decyzja wiary. Spotykamy się jako wierzący. I chcemy, żeby w tej naszej przygodzie powrotu do Ewangelii towarzyszył nam Pan Bóg swoją mocą tak, jak towarzyszył tym, którzy Ewangelie pisali również z myślą o nas. Chcemy, żeby nasza refleksja nie miała tylko charakteru czysto akademickiego, była refleksją tych, którzy umieją korzystać z rozumu, lecz była także refleksją tych, którzy opierają się o moc Ducha Świętego, która już jest w nas obecna. Papież w tym wstępie — tak, jak go odczytuję — jest niesłychanie osobisty, bardzo wzruszający. Napisał, że bardzo trudno było mu tę książkę pisać dlatego, że sama ta refleksja nie jest czymś łatwym. A mimo to miał w sobie nieprzeparowane pragnienie, by tę refleksję zawrzeć na piśmie, i by została. Podzielił swoją refleksję na dwie części. Część pierwsza została zawarta w tym tomie „Jezus z Nazaretu”, który opatrzył tytułem „Od chrztu w Jordanie do Przemienienia”. Napisał papież tak: nie jestem już młody. Nie wiem, czy przyjdzie mi skończyć tom drugi. Piszę ten tom drugi ale na razie publikuję to, co zdołałem jakoś zakończyć. A więc papież pracuje nadal. Nadal zmaga się, teraz już z ostatnim etapem życia Zbawiciela, z jego męką, śmiercią i Zmartwychwstaniem. A nam uprzystępniał owoce swojej refleksji,

które dotyczą ziemskiego życia Jezusa. Zanim rozpoczął papież swoją refleksję, zanim rozpoczął konkretny tekst, to skierował uwagę na szczegół, na który i my bardzo często uwagę zwracaliśmy. Mianowicie powiedział, że Nowy Testament został poprzedzony przez Testament Stary. I że Testament Stary musi być odczytywany nie sam w sobie, ale jako ukierunkowany ku Testamentowi Nowemu. Że na kartach Starego Testamentu i w dziejach biblijnego Izraela jest dynamizm, który znalazł spełnienie w osobie Jezusa Chrystusa.

Tak, rzeczywiście Stary Testament bez Jezusa Chrystusa jest jak do pół napisana książka, pozabawiona epilogu i rozwiązania. Gdyby ktoś poprzestawałby na Starym Testamencie to okazałoby się, że koniec końców jego poznanie Boga jest jak gdyby połowiczne, jakby wstępne, nie tylko niepełne ale pod wieloma względami niewystarczające. Bóg objawia siebie na kartach Starego Testamentu, ale pełne jego objawienie przychodzi w osobie Jezusa Chrystusa. Papież powiada: Kiedy czytacie Stary Testament zwróćcie uwagę na postać Mojżesza. I zwróćcie uwagę, że na kartach Starego Testamentu jest to wychylenie ku przyszłości, ku nowemu Mojżeszowi. I dodaje: Wiara zawsze zakłada wychylenie ku przyszłości. Wierzymy w Pana Boga nie tylko ze względu na to, co się wydarzyło, lecz wierzymy w Niego daleko bardziej ze względu na to, co się wydarzy, ze względu na to, co nas czeka. Ze względu na to, kim jesteśmy i co nas może w życiu spotkać. I Stary Testament był też otwarty ku przyszłości, której nie znał. Tę przyszłość odkrył Jezus Chrystus. I Benedykt XVI mocno podkreśla ów profetyczny wymiar Starego Testamentu. Powiada tak: Ludzie zawsze szukali drogi do Boga. Szukali drogi do Boga także w religiach pogańskich, na rozmaite sposoby. Wołanie starożytnego świata, z tymi bóstwami, które wyznawali starożytni ludzie — posągi, oglądane zwłaszcza w rejonie śródziemnomorza, bardzo wielkie wołanie — ono zawsze było czymś żywym i bardzo ważnym, bo ludzie zawsze mieli w sobie tę tęsknotę i pragnienie Boga. Bóg wyszedł naprzeciw ludzkim potrzebom. Wybrał naród, który stał się narzędziem jego obecności, jego działania w świecie. Ale w ekonomii Starego Testamentu objawił zaledwie część siebie. To, co najważniejsze, przyszło w osobie i życiu Jezusa Chrystusa. Pyta więc papież: Tak jak dawniej ludzie szukali Boga, tak samo i dzisiaj Go szukają. Tylko czy muszą Go szukać po omacku, tak jak kiedyś w starożytnym świecie? I odpowiada: Nie! Jeżeli chcemy poznać oblicze Boga, jeżeli chcemy o Nim dowiedzieć się więcej, jeżeli chcemy z Nim bardziej związać swoje życie, jeżeli chcemy bardziej Mu zaufać, to idziemy do Niego przez Chrystusa tak, jak objawił siebie na kartach Nowego Testamentu.

A więc Stary Testament potrzebuje dopowiedzenia, potrzebuje ciągłości, potrzebuje kontynuacji, potrzebuje wypełnienia. Stary Testament jest jak pusta szklanka, którą trzeba nappełnić treścią. Ona jest potrzebna jak opakowanie do tego, by Bóg mógł działać. Ale zarazem jest wielkim wołaniem o to, by została nappełniona treścią. Bóg na kartach Starego Testamentu objawiał siebie. Ale żeby Go poznać, to trzeba sięgnąć po Testament Nowy. Za punkt wyjścia swojej refleksji — i to będzie również punkt wyjścia refleksji dzisiaj naszej — Ojciec Święty wybiera epizod, którego nigdy jeszcze przez 20 lat naszej refleksji nie rozważaliśmy. To jest zaskakujący wybór, przyznam, nawet i dla mnie.

Otóż Ojciec Święty za punkt wyjścia refleksji nad Jezusem wybiera epizod równie zagadkowy, co trudny, nad którym bardzo często przechodzimy do porządku dziennego, mianowicie epizod chrztu Jezusa w Jordanie. Powiada papież, i słusznie, że to właśnie od chrztu Jezusa w Jordanie rozpoczyna się jego publiczna działalność. Zwraca uwagę na słowa z Ewangelii św Łukasza, który napisał (Łk 3,23):

Sam zaś Jezus rozpoczynając swoją działalność miał lat około trzydziestu.

Spotykamy Jezusa, który ma trzydzieści lat. Papież na razie nie zatrzymuje się więc nad całym Jego tzw. życiem ukrytym. Obiecał, że zajmie się tym w dalszej części swojej refleksji. Na razie przechodzimy do porządku dziennego nad Zwiastowaniem, nad narodzinami Jezusa w Betlejem, nad ucieczką do Egiptu, nad Jezusem dwunastoletnim w świątyni, nad Jezusem w Nazarecie. Poznajemy Jezusa wtedy, kiedy Jezus jest dorosły i rozpoczyna swoją publiczną działalność. Ewangelista zauważa, że miał wtedy lat ok. trzydziestu. Dlaczego wtedy? Dlatego, że w prawie żydowskim, tym dawnym starożytnym, biblijnym, jak i dzisiejszym, mężczyzna do trzydziestego roku życia musi zdecydować się co ze swoim życiem zrobić. Istnieje obowiązek: albo się żeni, albo się poświęca studiowaniu Prawa, studiowaniu Tory. Jest to jedne jedyne zajęcie, które może zastąpić

ożenek. Zatem tak czy inaczej, i w starożytności i dzisiaj, trzydzieści lat dla mężczyzny stanowi taką granicę. Jezus dłużej jako człowiek czekać nie mógł. Dlatego, że gdyby dłużej czekał ze swoim publicznym nauczaniem i wystąpieniem, uznano by to definitywnie za coś nienormalnego. Otóż trzeba było się zdecydować. Zwróćmy uwagę, że wykorzystał całe te trzydzieści lat, nie wystąpił wcześniej. Są ludzie, o których mówimy w przysłowiu, że są w gorącej wodzie kąpani i którzy będąc znacznie młodszy podejmują rozmaite trudne obowiązki. Najwyraźniej sama świadomość, że trzeba będzie rozpocząć publiczną działalność, była dla Jezusa jako człowieka czymś trudnym. Na pewno czuł brzemień odpowiedzialności, które z tym się wiąże. I od czego rozpoczyna się jego działalność? Właśnie od chrztu w Jordanie. Ewangelista Łukasz napisał tak (Łk 3,21):

Kiedy cały lud przystępował do chrztu, Jezus także przyjął chrzest.

Otóż te słowa o Jezusie, który przyjmuje chrzest, stanowią nawiązanie do wcześniejszych słów tegoż ewangelisty, który na początku rozdziału trzeciego napisał (Łk 3,1-2):

Było to w piętnastym roku rządów Tyberiusza Cezara. Gdy Poncjusz Piłat był namiestnikiem Judei, Herod tetrarchą Galilei, brat jego Filip tetrarchą Iturei i kraju Trachonu, Lizaniasz tetrarchą Abileny; za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza skierowane zostało słowo Boże do Jana, syna Zachariasza, na pustyni.

I papież mówi, inaczej niż wielu innych komentatorów powiada: Czy zwróciliście uwagę ile tu jest imion? Czy zwróciliście uwagę na postacie, które wspomina św. Łukasz? I powiada: zwróćcie uwagę na cesarza Tyberiusza — piętnasty rok cesarza Tyberiusza. Obliczono dokładnie, ponieważ znamy historię starożytną nieraz wręcz z dokładnością do jednego dnia, że piętnasty rok rządów cesarza Tyberiusza przypadł na okres od 1 X 28 do 1 X 29 r. — oczywiście w I wieku naszej ery. Zatem działalność publiczna Jezusa rozpoczyna się w październiku, jesienią, dokładnie o tej porze, w tym czasie, w którym my jesteśmy. Może z powodu klimatu w Ziemi Świętej? Nie jest już tak bardzo gorąco ani w Galilei, ani w Judei. A kiedy jest już po żniwach, wszystko zebrane, owce i trzody mogą już się paść same, bo zaczyna się pora deszczowa, ludzie mogą trochę odpocząć. Klimat jest już przyjemniejszy. I właśnie wtedy ludzie udają się nad Jordan. Tam rozpoczyna swoją działalność Jan Chrzciciel. Rozpoczyna się to dokładnie w październiku 28 roku.

To jest jedno odniesienie, cesarz Tyberiusz. Ale mamy też drugie odniesienie: Gdy Poncjusz Piłat był namiestnikiem Judei. Poncjusz Piłat był namiestnikiem Judei w latach od 26 do 36. Znów nam się dokładnie zgadza. Bo mamy rządy Tyberiusza i czas namiestnikowania Poncjusza Piłata, który był namiestnikiem przez 10 lat. Kto z państwa był w Ziemi Świętej pamięta Cezareę Nadmorską. A w Cezarei Nadmorskiej słynny kamień, który był kamieniem erekcyjnym wybudowanego tam teatru, właśnie za Poncjusza Piłata. Pozabiblijny dowód istnienia Poncjusza Piłata. Papież powiada: Przyjrzyjcie się tym ludziom! Jezus jest pokazany w historii. Ewangelista mocno chce powiedzieć, że to wydarzenie niezwykle, o którym za chwilę będzie mowa, że to wydarzenie jest wpisane w ludzką historię. Otóż Bóg jest obecny w ludzkiej historii zawsze. Tym imieniem Boga w ludzkiej historii jest zwyczajność. Zwyczajność jest cudem. To, że są pory roku. Że mamy słońce, że mamy klimat. Wszystkie zjawiska stworzonego świata, które nam towarzyszą, to jest cud. Ale zdarzają się cuda bardziej osobliwe, kiedy Bóg wchodzi w ten świat w sposób, którego człowiek nie przewiduje ani zaplanować nie może.

Coś takiego stało się wtedy, kiedy Jezus przybywa nad Jordan. W porządek ludzkiego świata wchodzi ktoś zupełnie nowy. Istnieją zatem – mówi papież – dwa porządki. Porządek doczesności, porządek społeczny, porządek polityczny, który tworzy człowiek. Ale istnieje też w świecie porządek Boży. I cała umiejętność życia wiarą na tym polega, żeby obydwa porządki odróżniać, obydwa uszanować, obydwa rozdzielać, obydwa przyjąć i obydwo ma żyć. Zarówno być w tym porządku społecznym, politycznym, uznając jego prawa i zasady, jak i uznawać obecność Boga, który od czasu do czasu ingeruje w sposób zupełnie dla nas nieprzewidziany. Ale papież dodaje coś jeszcze, czego w żadnym innym komentarzu nie spotkałem. Mianowicie papież mówi tak: Kiedy słyszysz w tym fragmencie o Poncjuszu Piłacie, a za chwilę słyszysz o Annaszu i Kajfaszu, to nad Jordanem pojawia się cień Krzyża! Tak, to prawda. Otóż wzmianka o Poncjuszu Piłacie, wzmianka o Annaszu i Kajfaszu przywołuje nam jednocześnie na pamięć to, co wydarzyło się z Jezusem pod koniec

jego ludzkiego życia, mniej więcej trzy lata później. Życie Jezusa jest objęte, tak, jak klamrą, tymi samymi osobami. Za ich panowania, za ich władzy, Jezus wystąpił. I to oni byli świadkami jego losu. Losu, który ma znaczenie dla każdego z nas. Papież zwraca uwagę, że ewangelista nie przypadkowo wskazuje na Poncjusza Piłata, na Tyberiusza, na Annasza i na Kajfasza. Będzie jeszcze o nich mowa! Zapamiętajcie te imiona — chciałby powiedzieć do tych, którzy czytają Ewangelię. Zapamiętajcie, bo warto zapamiętać, bo los Jezusa dopiero się zaczyna. Ci, którzy są świadkami historii, którzy historię piszą, stają się tej historii nie tylko uczestnikami, ale także narzędziami. W tym okresie ani cesarz Tyberiusz, ani Poncjusz Piłat, ani Annasz, ani Kajfasz, ani Herod, ani Filip — żaden z nich nie wiedział o istnieniu Jezusa. Ale któregoś dnia ich drogi miały się spotkać. I los Jezusa zależał od losu przede wszystkim pierwszego z nich, mianowicie Poncjusza Piłata. Poncjusz Piłat powiedział wtedy:

«Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować?»

A Jezus mu odpowiedział:

«Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry. Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie».

I ta odpowiedź Jezusa jeszcze bardziej Piłata zastanowiła. Ale ich drogi spotykają się już tu, kiedy się jeszcze w ogóle nie znają. I Benedykt XVI, powtórzmy to raz jeszcze, napisał tak bardzo przejmująco, że nad Jordanem czujemy już cień Krzyża.

Ten cień Krzyża będzie towarzyszył Jezusowi zawsze. Może dlatego odkładał początek swojej publicznej działalności? Może modlitwa, którą zanosił później w Ogrójcu prosząc, jeżeli to możliwe, żeby Bóg oddalił od Niego ten kielich, prosił jako człowiek — wielu z nas było w Getsemani i pamięta tę skałę Ogrójca — może ta modlitwa była jego codzienną modlitwą podczas jego tzw. ukrytego życia? A kiedy uświadomił sobie, że już dalej odkładać losu nie można, wtedy go podjął. Jeżeli tak, to droga krzyżowa Jezusa zaczęła się nie na dziedzińcu pałacu Piłata, ale zaczęła się dużo wcześniej. Bo towarzyszyła mu świadomość jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za to, że przeprowadzi Boże plany i spełni Bożą wolę. Powiada papież: zwróćcie uwagę, że ewangelista Łukasz chrzest Jezusa w Jordanie osadza w realiach historycznych swojego narodu. Powiada do Izraelitów: Zobaczcie, wasza historia jest osadzona w historii całego świata. Napisał papież przedziwne słowa, które rzadko kto tak wyraziście wypowiada. Napisał tak (str. 33):

Izrael nie jest celem samym w sobie, jego wybranie jest drogą, którą Bóg chce przyjść do wszystkich.

Otóż biblijny Izrael, a potem Żydzi, będą się przeciwko temu buntować. Bardzo często mamy do czynienia z apoteozą żydowskości i Izraela tak, jak gdyby były one celem w sobie. Dochodzi nawet do swoistej idolatrii, kiedy żydowskość ma zastąpić to, co boskie. Papież powiada: Nie! Wybór, którego dokonuje Bóg nie jest nigdy ze względu na tego, kto jest tego wyboru przedmiotem. Wybór jest zawsze ze względu na innych. Dlatego wybrany musi mieć świadomość, że przychodzi podjąć mu misję i posłannictwo, które zawsze powinno być wyrazem miłości bliźniego. W tym przypadku Ewangelia św. Łukasza uczy nas, że narodziny i los Jezusa w obrębie biblijnego Izraela były drogą, za pośrednictwem której Bóg chciał przyjść i rzeczywiście przychodzi do każdego człowieka i do całej ludzkości. Ten sam epizod mamy także opisany w Ewangelii św. Mateusza. Ale Mateusz jako nawrócony na chrześcijaństwo wyznawca judaizmu, jako Żyd, myśli zdecydowanie bardziej po żydowsku. I osadza ten epizod chrztu Jezusa w kontekście nadziei mesjańskich, oczekiwań mesjańskich swojego narodu czyli biblijnego Izraela. Ukazuje Jezusa jako spełnienie wielowiekowych oczekiwań na nowego Dawida. Na kogoś, kto wypełni ten los przewidziany przez Boga dla Izraelitów. Papież w swojej lekturze posuwa się dalej, i czyta Ewangelię św. Łukasza i zwraca uwagę na takie słowa (3,21):

Kiedy cały lud przystępował do chrztu, Jezus także przyjął chrzest.



I powiada żeby zwrócić uwagę na analogiczne, nieco bardziej rozbudowane, opowiadanie u św. Mateusza. Mateusz o tym samym napisał tak (Mt 3,13):

Wtedy przyszedł Jezus z Galilei nad Jordan do Jana, żeby przyjąć chrzest od niego.

Z Galilei nad Jordan jest ok. 100 - 120 km. Na pewno w starożytności była to duża, długa droga. Jezus przybywa, ponieważ wieść o tym, czego dokonuje Jan, niesie się po całej Palestynie. A czego Jan dokonuje? Chrzczi w rzece. Ten obrzęd ma dwa wymiary – mówi papież. Oznacza zanurzenie i oznacza wynurzenie. Zanurzenie — to tak jak gdyby obraz śmierci. Wynurzenie — obraz powrotu do życia. Powiada papież: Jan nie mógł jeszcze przeczuwać, nie mógł jeszcze wiedzieć tego, co się z Jezusem stanie. Dlatego i w tym wymiarze był prorokiem. Ludzie są narzędziami Boga i znakami Bożego działania nawet jeżeli o tym nie wiedzą. Nawet jeżeli tej świadomości nie mają ale chcą postępować zgodnie z tym, czego Pan Bóg pragnie. Pomiędzy Janem i Jezusem nawiązała się rozmowa (Mt 3,14):

Lecz Jan powstrzymał Go, mówiąc: «To ja potrzebuję chrztu od Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie?»

Jan miał rację. Rzeczywiście role się odwróciły. To nie Jezus potrzebował chrztu. To Jan Chrzciciel potrzebowałby raczej tego wejścia do wody, zanurzenia w wodzie i wynurzenia z wody, symbolicznej śmierci i symbolicznego powrotu do życia, a nie Jezus. Ale czytamy (3,15):

Jezus mu odpowiedział: «Pozwól teraz, bo tak godzi się nam wypełnić wszystko, co sprawiedliwe».

A papież mówi: Najważniejsze jest to „teraz”, po grecku [árti]. Otóż istnieją takie momenty, kiedy jakby czas, jakby ludzkie życie ulega zawieszeniu. Kiedy trzeba postępować inaczej, niż zazwyczaj. Bo dokonuje się coś niesłychanie ważnego, coś osobliwego, coś wyjątkowego. Zawsze postępujemy w określony sposób, ale ten jeden raz postępujemy inaczej. To prawda, to Jan Chrzciciel potrzebował chrztu od Jezusa. Ale ten jeden raz stało się inaczej — Jezus przyjął chrzest od niego. Dlaczego to „teraz” było potrzebne? Żeby – powiada papież – podkreślić solidarność Jezusa z całą grzeszną ludzkością. Żeby podkreślić solidarność Jezusa z każdym człowiekiem, który chrztu potrzebuje. Jezus jest prawdziwym człowiekiem, chociaż bez grzechu. Ale przyjmuje do końca swój ludzki los, żeby dać poznać nam solidarność posuniętą właśnie do samego końca. Jezus zachowuje się tak jak chciałby, żeby zachowywał się każdy mieszkaniec jego ziemi, jego Ojczyzny w tamtym czasie. Chce dać przykład własnym życiem. Otóż można to przenieść również na nasze życie. Czasem trzeba robić coś, co ma wartość – jak mówi się mądrze – egzemplaryczną, wzorcową, modelową. Nie jest to nam osobiście potrzebne, ale jednak powinniśmy to robić ze względu na innych. Czasami musimy, powinniśmy zachować się inaczej, żeby nasze życie nabrało tego dynamizmu, który innych skłoni do refleksji, który innych pociągnie. Tak właśnie robi Jezus. Zstępuje do wody, zanurza się i wynurza żeby potwierdzić tym, którzy się wahają, tym, którzy przyszli nad Jordan, tym, którzy może przyszli ze zwyczajnej ciekawości. A może przyszli z myślą, że nigdy takiego chrztu nie przyjmą. Żeby im potwierdzić, że to jest potrzebne, że tak trzeba, że należy pójść tą drogą. Jezus wewnątrz tego nie potrzebuje. Ale zewnątrz solidaryzuje się z każdym człowiekiem.

A gdy Jezus został ochrzczony, natychmiast wyszedł z wody.

Powiada papież raz jeszcze: Kiedy popatrzymy na ten epizod oczami wiary, kiedy znamy to, co wydarzyło się z Jezusem później, to możemy widzieć nad Jordanem raz jeszcze cień Krzyża i cień Zmartwychwstania. Widzimy wejście do wody podobne do tego, co dokonało się niegdyś w potopie, jako znak i symbol swoistego obumierania. I wyjście z wody — tak, jak wyjście z grobu i powrót do nowego życia. Jezus nie tylko przestrzega pewnych obrzędów, ale Jezus profetycznie zapowiada swój los. Powiada papież: Bardzo często warto patrzeć na to, co nas otacza i czym żyjemy, kim jesteśmy, co przeżywamy — dlatego, że może to mieć dwa wymiary. Jeden ten doraźny, a drugi — który wskazuje na rzeczywistość głębszą, i który zapowiada coś z naszego losu. którego jeszcze nawet

nie przeczuwamy. I wracając do Ewangelii św. Łukasza dochodzimy do apogeum tego wydarzenia. Papież bowiem myśli mniej więcej tak. Oto my wszyscy znaleźliśmy się nad Jordanem. Oto my wszyscy patrzymy na Jezusa, który przybywa do Jana. Oto my wszyscy zadajemy pytanie: Po co On to robi, skoro jest bez grzechu? A On, zamiast nam odpowiadać, wchodzi i poddaje się obrzędowi, żeby nas skłonić do refleksji i zachęcić do pójścia tą samą drogą — nie przez przekonywanie, ale przez przykład własnego życia. Nie po to, żeby nam tłumaczyć przydatność tego, co się wydarzyło, ale pokazać, że On ten los przyjmuje i że On tą drogą idzie. Skoro On ten los przyjmuje, skoro On — jak mówi papież — antycypuje, a więc już dziś przeżywa, swoją mękę i swoje powstanie do życia, to każdy chrześcijanin w wydarzeniach swojego życia powinien dostrzegać ten sam ładunek, tą samą możliwość, to samo ukierunkowanie, i szukać tej samej mocy, którą miał Jezus.

I teraz dochodzi do samego apogeum. To jest koniec tego epizodu, ale zarazem sam szczyt. Czytamy tak (3,21-22):

A gdy się modlił, otworzyło się niebo i Duch Święty zstąpił na Niego, w postaci cielesnej niby gołębica, a z nieba odezwał się głos: «Tyś jest mój Syn umiłowany, w Tobie mam upodobanie».

Papież powiada: Zwróćcie uwagę na to, że Jezus, który wszedł do wód Jordanu, modli się! Że wszystko to wydarzyło się podczas modlitwy. Wszystko, co najważniejsze w życiu Jezusa, wydarzyło się podczas modlitwy. To, co najważniejsze w życiu człowieka, czeka również na czas modlitwy. Człowiek, który się nie modli, może przeoczyć Boże działanie, może go nie zauważyć. Może je obejść albo może się od niego wymigać. Otóż tym bardziej dajemy możliwość działania Bogu, im więcej, im częściej się modlimy. To jest również przykład Jezusa. „A gdy się modlił” — modli się jako człowiek, ale jednocześnie Bóg objawia siebie. I jest to objawienie przedziwne, które wywołuje niedowierzanie, które wywołuje lęk i o którym za chwilę powiemy, że wywołuje także bunt. Mianowicie kiedy Jezus modlił się w wodach Jordanu

otworzyło się niebo

cokolwiek miałyby to znaczyć — czy było to w sferze zjawiskowej, czy w sferze wewnętrznej tylko — tego nigdy nie będziemy wiedzieli.

i Duch Święty zstąpił na Niego, w postaci cielesnej niby gołębica,

Bóg objawia siebie już nie tylko jako Ojciec, ale objawia siebie także jako Duch, Duch Święty. O Duchu i Duchu Świętym mamy także na kartach Starego Testamentu. Ale nigdy tak żeby powiedzieć, że to jest sam Bóg. Na kartach Starego Testamentu mamy zapowiedzi, przedsmak tej prawdy, cień tej prawdy o tym, że Bóg jest jedyny i że nie jest sam. Ale Stary Testament nie mógł tego inaczej powiedzieć, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że istnieje dwóch albo trzech bogów. Dlatego na kartach Starego Testamentu Bóg objawia coś z bogactwa swojego wewnętrznego życia. Ale zarazem tak jak gdyby się powstrzymuje wiedząc, że człowiek nie będzie tego w stanie przyjąć. Kiedy Jezus wchodzi do wód Jordanu, rozpoczyna swoją publiczną działalność, Bóg ukazuje się jako Duch Święty. Ale nie tylko to. Wtedy (3,22)

z nieba odezwał się głos: «Tyś jest mój Syn umiłowany, w Tobie mam upodobanie».

Jezus zostaje nazwany Synem Boga. A więc tak tworzą się podwaliny pod prawdę, która stanowi sam fundament naszej wiary. Bóg — jedyny — istnieje jako Ojciec, jako Syn, i jako Duch Święty. Dopiero kiedy Bóg w Jezusie stał się człowiekiem możliwy stał się początek objawienia prawdy o wewnętrznym bogactwie życia Boga — o Bogu, który jest w Trójcy Świętej jedyny. Wcześniej było to niemożliwe. Ale ta prawda, najtrudniejsza prawda naszej wiary, pokazuje że Bóg, który istnieje jako Ojciec, jako Syn, jako Duch Święty, nie istnieje jakby dla siebie, w sobie, ze względu na siebie. Ale że spoiwem tych Osób Bożych — będziemy do tego wracać przy innej okazji — spoiwem Osób Bożych jest miłość. Papież konkluduje, że w tym właśnie epizodzie, tym epizodzie chrztu Jezusa, mamy określoną sytuację i znany ludzki historyczny porządek, ale zarazem odsłania się nam rąbek tajemnicy Boga w Trójcy Świętej jedynej.

Kiedy chrześcijanin staje się świadkiem tego chrztu w Jordanie to dowiaduje się o Bogu czegoś zasadniczo nowego. Dowiaduje się o Bogu tego, kim Bóg naprawdę jest. To jest bardzo – można by powiedzieć – newralgiczna strona naszej wiary. Dlatego, że chociaż od tamtej pory upłynęło dwa tysiące lat, to ciągle istnieje niebezpieczeństwo żebyśmy, będąc chrześcijanami, nie przyjmowali pełnej prawdy o Bogu i o tym, kim Pan Bóg jest. Istnieje w nas ciągle pokusa, żebyśmy tę prawdę o Bogu, który jest Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym, żebyśmy jakoś ją spłaszczali i nie przyjmowali do wiadomości tak naprawdę, że oto w osobie Jezusa Chrystusa, prawdziwego człowieka, Bóg stał się jednym z nas.

Ja dam państwu jeden przykład trudności, który pochodzi z ostatniego tygodnia. Otóż w ostatnim tygodniu miała miejsce konferencja chrześcijańsko - żydowska na Papieskim Wydziale Teologicznym jezuitów Bobolanum, nieopodal na ulicy Rakowieckiej. I mam przed sobą takie krótkie sprawozdanie z tej konferencji. Spotkali się za sobą chrześcijanie i Żydzi po to, żeby ze sobą dialogować, rozmawiać. I prowadzący konferencję postawił takie pytanie:

„Czy chrześcijanie powinni się modlić o to, żeby Żydzi uwierzyli w Jezusa i przyjęli chrzest? A z drugiej strony — czy Żydzi mogą pragnąć, aby chrześcijanie powrócili do prawdziwego starotestamentalnego monoteizmu, a tym samym odrzucili naukę o Trójcy Świętej?”

To pytanie postawił chrześcijanin! Jeden i drugi człon tego pytania to zadanie dla chrześcijan, ale zadanie, w moim przekonaniu, niesłychanie przewrotne. Otóż jeżeli owocem dialogu ma być rozmazywanie wiary i tożsamości chrześcijańskiej, to dialog staje się ślepą uliczką, która do niczego nie prowadzi. Za chwilę sprawozdawca napisał jaka była odpowiedź żydowska. Rabin odpowiedział mniej więcej tak:

Każdy ma swoją wiarę. Żydzi mają swoją, chrześcijanie mają swoją. Niech każdy pozostanie przy swojej wierze.

A co odpowiedział ksiądz, który w tym wydarzeniu brał udział? Ksiądz szczerze stwierdził — czytam:

że trudno mu jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, na które wielu innych znawców chrześcijańsko - żydowskiej tematyki nie umiało odpowiedzieć.

Wróćmy zatem do pytania. Czy rzeczywiście trudno odpowiedzieć na pytanie pierwsze, które brzmi tak:

„Czy chrześcijanie powinni się modlić o to, żeby Żydzi uwierzyli w Jezusa i przyjęli chrzest?”

Odpowiadam — a dlaczego mielibyśmy się nie modlić? Dlaczego Ewangelia miałaby być skierowana do całej ludzkości — z wyjątkiem Żydów? Nie naszą rzeczą jest chrzcić, zwłaszcza przedwcześnie, a broń Boże do chrztu zmuszać. Ale jeżeli jakikolwiek człowiek chrzest przyjmuje, dla chrześcijanina jest to spełnienie powinności ewangelizacji i misji, która od Jezusa Chrystusa pochodzi. Chrzest dla każdego człowieka jest dobrem i darem. Jeżeli przyjmujemy, jeżeli uznamy, a dzisiaj mówimy o chrzcie Jezusa, że mogą być ludzie których dar chrztu świętego nie dotyczy, bo go nie potrzebują, to czynimy z chrześcijaństwa zamknięte ghetto, gdzie staje pod znakiem zapytania to, kim jesteśmy. Jezus przyjął chrzest i wskazał na jego symboliczne znaczenie nie w Chinach, nie w Japonii, nie w Ameryce Południowej, ale w samej Ziemi Świętej, pośród swoich rodaków. Czyżby to, co tam się wydarzyło, przestało mieć znaczenie dla nas?

Ale drugi człon tego pytania ma również związek z dzisiejszą refleksją:

Czy chrześcijanie powinni powrócić do prawdziwego staro-testamentowego monoteizmu, a tym samym odrzucić naukę o Trójcy Świętej?”

Podstęp jest już w samym słowie „nauka”. To nie jest li tylko nauka, to jest prawda o Bogu, który objawił siebie. Na kanwie tej prawdy rozwinęła się teologia jako nauka. Ale prawda o Trójcy Świętej to nie jest kwestia teologiczna. To jest kwestia odpowiedzenia „TAK” lub „NIE” Bogu, który nam się objawił. Przyjęcie, sama sugestia, że staro-testamentowa wiara to jest monoteizm, natomiast wiara w Tróję Świętą to jest jakby monoteizm osłabiony, samo to przyjęcie — żeby rzecz nazwać po imieniu — nas ośmiesza i czyni Ewangelię w pewien sposób niepotrzebną. Otóż Ewangelia, poczynając od samego chrztu Jezusa, jest objawieniem Boga, który jest jedyny, i który jest Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym. Oto jest istota monoteizmu. Bóg jest jedyny — powtórzmy to kolejny raz. Ale istnieje w trzech Osobach. Oto jest sedno monoteizmu, który w Starym Testamencie odkrywał się stopniowo by jego pełne bogactwo objawiło się w Testamencie Nowym.

Na sam koniec naszego dzisiejszego rozważania i naszej dzisiejszej konferencji wniosek jest jeden. Ten mianowicie, że w samych początkach publicznej działalności Jezusa Bóg objawia, kim jest Jezus, i w ten sposób objawia także siebie. I my, którzy czytamy o tym chrzcie dzisiaj, towarzysząc Benedyktowi XVI, dowiadujemy się czegoś o Bogu. Ojciec Święty, raz jeszcze przypomnę te słowa, zakończył swe rozważanie wskazaniem na to, że w tym dzisiejszym wydarzeniu odkrywa nam się rąbek tajemnicy Boga Trójjedynego. Całe spotkanie z Jezusem, które chcemy w tym roku odbyć, to będzie spotkanie z Bogiem, który objawił nam siebie jako Ojciec, i Syn, i Duch Święty. I właśnie na tym, na tej wyjątkowości osoby i związku Jezusa z Ojcem zasadza się wiara chrześcijańska. I jeżeli ktoś tego nie rozumie, albo to rozmywa, albo to osłabia, to oczywiście osłabia i rozmywa samą tę wiarę. Dojrzałość zatem polega na tym, ta chrześcijańska dojrzałość, żeby przyjąć i wyznawać Pana Boga naprawdę takim, jakim On jest i jaki się na kartach Pisma Świętego objawia.

Bardzo serdecznie dzisiaj dziękuję. Bardzo dziękuję za uwagę, za to zasluchanie. Na następną konferencję zapraszam na drugi poniedziałek listopada, to będzie 12 XI.

Pod Twoją obronę ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

## 2 Kuszenie Jezusa (12 listopada 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu. Zaczniemy od modlitwy. W imię Ojca ... Ojczy nasz ... Stolico Mądrości ... Królowo Apostołów ...

Drodzy państwo, dzisiaj zacznę nieco inaczej nasze spotkanie dlatego, że dzień, który przeżywam, jest bardzo ważny dla mnie. Myślę, że i dla części państwa też okaże się bardzo ważny. Mianowicie dzisiaj rano dowiedziałem się, że wczoraj wieczorem zmarł mój dobry przyjaciel i po części nauczyciel, w jakimś sensie wychowawca, ksiądz prałat Zdzisław Mikołajczyk, który przez dziesięć lat był kiedyś proboszczem mojej rodzinnej parafii, o którym wspominam na kartach mojej książki „Bóg, Biblia, Mesjasz”. Natomiast później przez ponad ćwierć wieku był proboszczem parafii na Kurpiach, w Myszyńcu. Wczoraj zmarł tak nagle dość na zawał serca, chociaż czuł się cały czas bardzo dobrze. Wszystko to przyszło na niego i w ciągu półtorej godziny przeszedł na tę drugą stronę życia. Dla mnie to ogromne przeżycie, wielkie przeżycie dlatego, że przez bardzo długi czas byłem z nim związany. Także część z państwa go znała. Ci, którzy byli na pielgrzymkach w ub. roku w Ziemi Świętej, w Egipcie, a także w tym roku w Turcji, również dwa lata temu w Tunezji, pamiętają — pełen życia, pełen takiej werwy. I teraz nie ma go pośród nas. I naszą dzisiejszą refleksję chciałbym jakoś dedykować jego pamięci i jemu. I z tą właśnie myślą tę refleksję rozpoczynam.

Przedmiotem naszej tegorocznej refleksji jest zaduma nad Jezusem, nad Ewangelią, nad obrazem Jezusa w Ewangeliach. Ale zaduma, w której towarzyszy nam papież Benedykt XVI. Czytamy bowiem Ewangelię, ale czytamy je przez pryzmat książki „Jezus z Nazaretu” Benedykta XVI. I chciałbym, żeby także państwo zobaczyli Jezusa Chrystusa trochę tak, jak widzi Go obecny papież. Na ostatnim naszym spotkaniu, na ostatniej konferencji zatrzymaliśmy się nad chrztem Jezusa. I powiedzieliśmy w konkluzji, że chrzest Jezusa w Jordanie ma dwa wymiary, ma dwie płaszczyzny, ma dwa znaczenia. Wymiar pierwszy — to w tym chrzcie Bóg objawia siebie i Bóg objawia to, kim jest. Czyli w chrzcie, na samym początku, jeszcze zanim Jezus rozpoczął publiczną działalność, Bóg objawia coś z bogactwa swojego wewnętrznego życia. Objawia się jako Ojciec, jako Syn i jako Duch Święty. Ta prawda o Bogu w Trójcy Świętej jedynym będzie stawała się coraz mocniej i mocniej widoczna, aż wreszcie potem znajdzie wyraz w tych wyznaniach wiary Kościoła, które składamy po dzień dzisiejszy. I drugi aspekt, na który również zwróciliśmy uwagę przed tygodniem to to, że chrzest Jezusa można by porównać do jego wprowadzenia na urząd. Można by porównać do starotestamentowego namaszczenia. W Starym Testamencie udzielano namaszczenia na mocy którego osoba, która otrzymywała to namaszczenie, stawała się królem, kapłanem albo prorokiem. Chrzest Jezusa, chrzest w wodach Jordanu, jest odpowiednikiem tego starotestamentowego obrzędu namaszczenia. A będąc tym odpowiednikiem oznacza, że oto Jezus rozpoczyna swoją misję, rozpoczyna swoje posłannictwo. W ubiegłym tygodniu, w drugiej połowie tygodnia byłem w Toruniu, gdzie było bardzo ciekawe sympozjum poświęcone stykom między religią a kulturą. I jeden z uczestników tego sympozjum, pan profesor Krzysztof Byrski, opowiedział coś z własnego życia, przygodę, która ma związek z naszym dzisiejszym rozważaniem — bo przechodzimy do kolejnego epizodu. Otóż on przez 14 lat mieszkał w Indiach, był również niedawno ambasadorem Rzeczypospolitej w Indiach, nauczył się języka, poznał ich religię, poznał ich kulturę, nawiązał bardzo wiele znajomości, zaprzyjaźnił się z wieloma rodzinami. I pewnego dnia takiemu bardzo zaprzyjaźnionemu Hindusowi, człowiekowi bardzo głębokiemu, podarował egzemplarz Pisma Świętego, egzemplarz Biblii. I powiedział mu «Poczytaj o Jezusie!» Ten Hinduś, człowiek bardzo uczony, wziął to Pismo Święte do siebie. I za dwa czy trzy dni przychodzi do naszego profesora i powiada «Słuchaj, weź to Pismo Święte z powrotem. Otóż kiedy ja je czytałem, to znalazłem tylko kilka fragmentów, które mogę zrozumieć, w których mogę rozpoznać Pana Boga. To są np. takie fragmenty, jak początek Ewangelii św. Jana:

Na początku było Słowo,  
a Słowo było u Boga,  
i Bogiem było Słowo.  
Ono było na początku u Boga.

To mogę zrozumieć. To jest mój język religijny, to jest język objawienia. To jest język Boga, który

jest poza naszym światem i który się temu naszemu światu objawia. Ale» mówił ten Hindus «kiedy czytałem Ewangelie, a w Ewangeliach czytam, że Jezus udał się z Nazaretu do Kany Galilejskiej i tam brał udział w weselu. Następnie udał się do Kafarnaum, Następnie poszedł do Betsaidy. Następnie był w Jerychu, był również w Jerozolimie — to jest tak bardzo ludzkie, tak bardzo osadzone w tym, co ludzkie, w ludzkim świecie, że trudno mi uwierzyć, że Ten, o którym mowa, to jest Bóg. Tak o Bogu» zakończył Hindus « mówić nie można».

Drodzy państwo, kto z państwa bierze dłuższy udział w naszych konferencjach to wie, że bardzo wiele razy podkreślałem, że największą trudnością dla człowieka wierzącego, jeżeli naprawdę zastanowimy się nad tajemnicą Jezusa Chrystusa, jest fakt, że Bóg stał się w jego Osobie człowiekiem. Największą tajemnicą, którą bardzo trudno człowiekowi przyszłoby uwierzyć, gdyby Jezusa zobaczył, to jest właśnie to misterium Wcielenia Syna Bożego. To jest to zgorzenie, które było zgorzeniem dla Żydów, głupstwem dla pogan, i o którym także dzisiejszy Hindus, o którym słyszeliśmy, powiada, że umyka ono jego możliwości pojmowania Boga. Otóż to nam pokazuje, że człowiek ma zawsze w sobie jakiś wizerunek Pana Boga, i że każdy człowiek chciałby, żeby Pan Bóg był daleko, pełen majestatu, transcendentny, ponad światem. A kiedy Bóg objawia nam siebie i kiedy wchodzi w realia tego świata, kiedy staje się człowiekiem, to ileż razy cytowaliśmy już te słowa, to wtedy protestujemy i wołamy «To nie przystoi Bogu». My, ludzie wierzący, przyjmujemy to. Ale wyznawcy innych religii, Żydzi, muzułmanie, hinduiści, Hindusi, wszyscy inni mówią «Nie, Bóg nie może być taki, żeby stać się człowiekiem».

Ale w dzisiejszym epizodzie, który mamy rozważyć, sprawa jest jeszcze trudniejsza, jeszcze poważniejsza. Mianowicie mamy rozważyć razem z Benedyktem XVI epizod kuszenia Jezusa. Czy nie przychodzi to państwu do głowy kiedy ten tekst jest czytany na początku okresu Wielkiego Postu, że samo to ewangeliczne opowiadanie, sam ten tekst wywołuje swoistą reakcję — już nie tylko ostrożności, ale swoistego odrzucenia. Jakże to było możliwe, żeby Jezus Chrystus, Syn Boży był kuszony przez szatana? Jakże to jest możliwe, żeby szatan miał tak bezpośredni dostęp do Syna Bożego? Jakże to jest możliwe, żeby Jezus, prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, doświadczał czegoś takiego, jak kuszenie złego? Otóż jest to jeden z najtrudniejszych, a zarazem najważniejszych — jeżeli tak można powiedzieć, tekstów ewangelicznych, chociaż jest to tylko krótki epizod.

Dlaczego ewangeliści o nim mówią tak krótko? Bo tam, gdzie jest zło, tam, gdzie jest grzech, tam, gdzie jest szatan, tam nie ma się co rozwłóczyć. Szatan lubiłby, żeby o nim rozmawiać, żeby nim się zajmować. Żeby również to, co złe, szeroko opisywać. Na tym opierają się rozmaite sensacyjne gazety i doniesienia. Ale pamiętać trzeba że tam, gdzie jest zło, gdzie jest grzech, gdzie jest takie zepsucie, gdzie jest szatan, tam potrzebna jest zdawkowość. Dlatego, że samo mówienie o tym, co ma taki zły charakter, samo to mówienie jest niejako przywołaniem zła. Ewangeliści mówią więc bardzo krótko. Dla nas ważne jest, i Benedykt XVI na to zwraca uwagę, powiada: Zastanówcie się, że zanim Jezus rozpoczął swoją publiczną działalność, to przechodzi przez próbę kuszenia przez szatana. Zanim dokonał jakiegokolwiek cudu po chrzcie, który przyjął w Jordanie, to przechodzi tę trudną próbę. I papież zadaje pytanie: Dlaczego tak jest? Dlaczego tak się stało? Dlaczego Jezus przez tę próbę przeszedł? I powiada, odpowiada na to, że stał się człowiekiem. Stał się człowiekiem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Doświadczył tego, czego doświadcza każdy człowiek. Aż do tego samego dna naszej egzystencji, którą jest grzech, którą jest słabość, i którą jest zło. Papież powiada: Jeżeli chcecie to zrozumieć, sięgnijcie do Listu św. Pawła do Hebrajczyków. Otóż w tym Liście do Hebrajczyków wyjaśniona jest sama istota Wcielenia Syna Bożego i wyjaśnione jest to, na czym polegało Jego uniżenie. Autor Listu do Hebrajczyków napisał tak (Hbr 2, 17 - 18):

Dlatego musiał się upodobnić pod każdym względem do braci, aby stał się miłosiernym i wiernym arcykapłanem wobec Boga dla przebłagania za grzechy ludu. W czym bowiem sam cierpiał będąc doświadczany, w tym może przyjść z pomocą tym, którzy są poddani próbom.

Jezus przeszedł przez pokusy, przeszedł przez kuszenie żebyśmy nie powiedzieli, że kuszenie jest czymś, co przeżywa każdy z nas, czymś ludzkim, a co zostało Wcielonemu Synowi Boga oszczędzone. Jezus przeszedł przez kuszenie żeby także to, co w naszym życiu jest najtrudniejsze, zostało wzmocnione przykładem Jego życia. Jeszcze raz przeczytajmy te przedziwne słowa: „W czym bowiem sam cierpiał będąc doświadczany, w tym może przyjść z pomocą tym, którzy są poddani

próbom.” Ktokolwiek przeżywa ciężkie pokusy, ktokolwiek przeżywa trudności, ktokolwiek zмага się ze złem, nie jest w tym sam — dlatego, że ma w tym jako przykład, ale jednocześnie jako siłę, Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, który również przez pokusy przeszedł. Przeszedł dlatego, że chciał pod każdym względem upodobnić się do braci.

A na czym polegała odmienność Jezusa? Na tym, że inaczej niż my, od początku do końca, wyszedł z tych pokus zwycięsko i okazał siłę, okazał moc ducha właściwą Bożemu Synowi.

Przejdziemy za chwilę do ewangelicznych tekstów, które mówią o kuszeniu Jezusa. Ale zanim zaczniemy je czytać musimy zwrócić uwagę, że nigdy nie jest tak, że szatan otwarcie sprzeciwia się Bogu. Nigdy nie jest tak, że szatan i że zło występuje przeciwko Bogu wprost. Otóż występuje w sposób zawołany. I podstęp pokusy na tym polega, że chce nam ukazać zmieniony, odmieniony obraz Pana Boga. Otóż nie ciągnie bezpośrednio do złego tylko sprawia wrażenie, że proponuje nam coś lepszego. Bo przecież gdyby człowiek z góry wiedział że to, co mu się proponuje, jest złe, to oczywiście by go unikał. Dlatego zło w pokusie musi się jawić pod płaszczykiem dobra. Musi się jawić jako coś lepszego od tej sytuacji, która jest teraz, albo która jest pożądana, albo której człowiek chciałby. Pokusa jest więc zawsze związana z fałszem. Z zafałszowaniem własnego wizerunku, własnego obrazu samego siebie, własnego życia, a także z zafałszowaniem i zakłamaniem obrazu Boga. Pokusa — żeby mogła zwyciężyć, żeby mogła człowieka przemóc, to musi zafałszować obraz Pana Boga i przedstawić Pana Boga jako kogoś groźnego, niegodnego, innego niż ten, w którego wierzymy. Jako kogoś, kto nie jest godzien zaufania. Jako kogoś, komu trzeba wymówić posłuszeństwo. Jako kogoś, kto nie jest wart naszej miłości. Pokusa więc zawsze jest jakimś zakłamaniem wizerunku Pana Boga. Zawsze jakąś obietnicą czegoś lepszego, przy czym niezupełnie wiadomo na czym to lepsze polega.

Benedykt XVI powiada tak: Zwróćcie uwagę, że gdy czytamy Ewangelię św. Marka, to z Ewangelii wg św. Marka dowiadujemy się że Jezus, gdy udał się na pustynię i tam pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, był otoczony przez dzikie zwierzęta. Oczywiście nie wyrządziły Mu żadnej krzywdy. Mamy więc odwrócony jak gdyby obraz rajy na ziemi. Te dzikie zwierzęta, które są zawsze symbolem zagrożenia, towarzyszą Jezusowi i są razem z Nim. Tutaj mamy w kulturze chrześcijańskiej taką bardzo ciekawą osobliwość. Otóż jeżeli państwo pojedą do starych klasztorów, zakładanych w średniowieczu, np. klasztory benedyktyńskie, klasztory dominikańskie, klasztory franciszkańskie, to przy tych klasztorach, zwłaszcza benedyktyńskich, zawsze był, zawsze jest ogród. Ten ogród to nie tylko okazja do odpoczynku dla zakonników. Ten ogród — z pięknymi kwiatami, z roślinami, ze zwierzętami również — ma znaczenie teologiczne. Zwłaszcza benedyktyni, poczynając od opactwa na Monte Cassino, dookoła swoich klasztorów umieszczali ogrody, również ze zwierzętami. Te zwierzęta, które w naturze uciekają od człowieka, które się człowieka boją, tam zaprzyjaźniają się z człowiekiem i stają się obrazem spokoju Bożego. Stają się obrazem rajy, stają się obrazem Ogrodu Eden a także tej upragnionej harmonii, którą Pan Bóg zamierzył dla nas w odnowionym świecie. Warto na to zwrócić uwagę. Np. w klasztorze na Monte Cassino, ile razy tam się pojechało, to dookoła tego ogrodu chodził wilk. Wilk oczywiście bardzo zaprzyjaźniony, i bardzo grzeczny — tak to nazwijmy — dla ludzi. Zaprzyjaźniony z ludźmi jako obraz tego, że można pokonać to, co naturalnie złe, co naturalnie wrogie. Nawiązując te oazy pokoju, te oazy stworzeń do obrazu, do tekstu o kuszeniu Jezusa w Ewangelii św. Marka.

My przejdziemy do Ewangelii św. Mateusza. Będziemy czytać ten tekst i starać się go zrozumieć i wyobrazić go sobie oczami Benedykta XVI. Muszę państwu powtórzyć to, o czym mówiłem parę tygodni temu, że czytając Pismo Święte, starając się je zrozumieć, byłem pełen podziwu dla tej egzegezy, dla tego komentarza, który Benedykt XVI zaproponował. Znaczy to, że obecny papież naprawdę myśli w sposób najgłębszy, a jego komentowanie Pisma Świętego można porównać do wielkich komentarzy Ojców Kościoła z samych początków istnienia Kościoła, z pierwszych stuleci życia Kościoła. Czytamy w Ewangelii św. Mateusza tak (Mt 4,1)

Wtedy Duch wyprowadził Jezusa na pustynię, aby był kuszony przez diabła.

To wydarzenie kuszenia będzie rozgrywać się w dwóch perspektywach. Jest tam pustynia i być może Jezus został na tę pustynię faktycznie wprowadzony. Ale jest to przede wszystkim perspektywa duchowa. To, o czym będziemy słyszeć, rozgrywa się we wnętrzu Jezusa. Może jest tak, że Jezus na początku swojej publicznej działalności duchowo doświadczał tego wszystkiego, o czym

czytamy? Nie możemy tego do końca przeniknąć dlatego, że jesteśmy na granicy dwóch światów. Tego świata, który nawiązuje do realiów codzienności, pustyni itd., ale także tego świata, który jest tam gdzieś we wnętrzu człowieka i we wnętrzu Jezusa, i daje nam poznać Jego najbardziej osobiste, najbardziej indywidualne przeżycia. Czy więc była to rzeczywiście podróż na pustynię? Dzisiaj w okolicach Jerycha pokazuje się Górę Kuszenia. Czy też być może nie była to podróż w geografii, nie była to podróż w przestrzeni, ale była to podróż w duchu. Komentatorzy nie są co do tego zgodni, nie jest to zresztą takie bardzo ważne. Najważniejsze – zapamiętajmy – rozgrywało się we wnętrzu. Coś podobnego bywa i z nami. Kiedy przeżywamy coś bardzo intensywnie wtedy w zasadzie jest wszystko jedno, gdzie to przeżywamy. Dlatego, że to miejsce obok staje się mało ważne. Najważniejsza jest ta intensywność, która jest w nas.

A gdy przepościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, odczuł w końcu głód.

Czterdzieści dni i czterdzieści nocy to cyfra symboliczna, występująca w Starym i Nowym Testamencie. To „czterdzieści” powtarzało się wielokrotnie. Czterdzieści dni szedł Eljasz do świętej góry Choreb. Czterdzieści dni pościł Mojżesz. Czterdzieści dni, czterdzieści lat także — to była cyfra, która wyznaczała długość życia jednego pokolenia. Jezus pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Nie potrafimy powiedzieć jak z fizjologicznego punktu widzenia jest to możliwe. Rozmaici lekarze, specjaliści od ascezy próbowali udowodniać, że człowiek wielkiego ducha może żyć czterdzieści dni i czterdzieści nocy bez jedzenia i bez picia. Nas te szczegóły, dotyczące ludzkiej i anatomii i fizjologii, mniej interesują. Interesuje nas przede wszystkim to, co najważniejsze. A to, co najważniejsze, podkreślmy jeszcze raz, rozgrywa się we wnętrzu Jezusa. „Odczuł w końcu głód” — i ten głodny Jezus staje się przedmiotem kuszenia. Otóż sytuacja głodu — kto odczuwał kiedykolwiek wielki głód dobrze wie, że jest to sytuacja sprzyjająca temu, by człowiek ulegał temu, co mu się proponuje. Przypomnijmy Jakuba i Ezawa choćby. Kiedy Ezaw wrócił bardzo głodny z polowania, to za miskę soczewicy sprzedał bratu swoje pierworództwo. Ludzie, aby zaspokoić głód, gotowi są niemal do wszystkiego. Do czego jest gotowy Jezus, prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek?

Wtedy przystąpił kusiciel i rzekł do Niego: «Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem».

W tym pytaniu, w tym zawołaniu kusiciela do Jezusa, do głodnego Jezusa, mamy najpierw ironię, mamy kpinę. Ludzie głodni, ludzie potrzebujący bardzo często stają się powodem czy sposobnością do kpiny. I te kpiny, te szyderstwa, bywają z wielu powodów. Jezus przeżywa coś podobnego, mówi papież, przeżywa coś podobnego na Krzyżu kiedy ci, co przechodzili obok, mówili: «Jeżeli jesteś Synem Bożym, zstąp z krzyża, a uwierzymy Ci». A tutaj: «Jeżeli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem». Nakarm się sam! Po co masz czuć głód! Spraw, żeby te kamienie stały się chlebem! Jezus, Człowiek i Bóg zarazem, zostaje wystawiony na próbę. Ma udowodnić kusicielowi, że jest Synem Bożym. Papież w tym miejscu powiada: Ludzie wiele razy, także wtedy, kiedy nastał czas Kościoła, próbowali naciskać na Pana Boga, żeby się wobec nas uwiarygadniał. Ludzie wiele razy mówią: Jeżeli jesteś Bogiem, to pokaż mi, że jesteś! Jeżeli jesteś Bogiem, to uzdrów! Jeżeli jesteś Bogiem, to pomóż! Jeżeli jesteś Bogiem, to daj jeść! Jeżeli jesteś Bogiem, to zrób to i tamto! Otóż niestanna pokusa i niestanne wyzwanie kierowane wobec Boga ze strony nas ludzi, żeby Bóg wobec nas się uwiarygodniał. Żeby Bóg wobec nas potwierdzał swoją moc. Żeby potwierdzał nie tylko to, że istnieje, ale że może wszystko, i żeby tę moc spożytkować to tak, jak byśmy sobie tego życzyli albo jak nam jest tego potrzeba.

Papież podkreśla, że mamy tutaj do czynienia ze swoistym paradoksem. Rzeczywiście w świecie zawsze są ludzie głodni. Tak, jak głodny był Jezus, tak i przed Nim, i w Jego czasach do naszych czasów włącznie tysiące, może nawet miliony ludzi głodują. Chcielibyśmy powiedzieć, że zadaniem Boga, a szerzej — zadaniem religii — jest sprostać głodowi. Że jedyne zadanie ludzi wierzących i jedyne zadanie religijności, to jest wymiar społeczny. Pomóc tym, którzy są głodni. nakarmić głodnych. Otóż tego wymiaru w żaden sposób lekceważyć nie wolno. Ale papież powiada, że kuszenie Jezusa Chrystusa ukazuje nam, że sytuacja głodu nie jest największym nieszczęściem człowieka. Głód istnieje. Są ci, którzy są głodni, cierpią z tego powodu — to prawda. Ale istnieje, jest do pomyślenia, nieszczęście jeszcze głębsze. Mianowicie nieszczęście polegające na tym, że człowiek



odrzuca Boga albo zafałszuje Jego wizerunek. Otóż konieczna jest, mówi papież, właściwa hierarchia wartości. I tą hierarchię wartości Benedykt XVI ustawia tak: Chleb, ale ważniejsza niż chleb jest wolność, a ważniejsza niż wolność jest wierność, a ważniejsze niż wierność jest uwielbienie Boga.

Żeby myśleć w ten sposób trzeba być człowiekiem wielkiego ducha i niezwykłego formatu. Papież nie neguje tego, że trzeba karmić głodnych. Ale zadanie, czy jedyne zadanie, religii nie polega na tym, żeby wychodzić wyłącznie naprzeciw potrzebom głodujących. Chleb, wolność, wierność, adoracja. W odpowiedzi, której udzielił Jezus, jest kierunek, w którym mają pójść chrześcijanie.

Lecz On mu odparł: «Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych».

Chleb jest ważny, ale jest coś ważniejszego od chleba. Mianowicie coś, co pochodzi od Boga: życie z Bogiem i życie Boże. Dla nas chrześcijan zrozumienie tej tajemnicy, czy przyjęcie — bo o zrozumieniu trudno mówić — przyjęcie tej tajemnicy staje się o tyle łatwiejsze, że dotykamy tutaj tajemnicy Eucharystii. Pamiętamy zapewne, jak to Jezus rozmnożył chleb i ryby. Rozmnożył nie dlatego, że zastąpił ówczesny sklep. To nie było tak, że ludzie szukali chleba i ryb, więc Jezus sprawił, że ludzie dostali chleb i ryby. Ludzie przyszli słuchać Słowa Bożego, przyszli słuchać słowa Jezusa o Bogu. Przyszli karmić się tym, co duchowe. Ale przyszedł wieczór. I wtedy, kiedy uczniowie mówią

Każ więc rozejść się tłumom: niech idą do wsi i zakupią sobie żywności!»

Jezus mówi:

«Nie potrzebują odchodzić; wy dajcie im jeść!»

Do tych, którzy przychodzą do świątyni, do Kościoła, którzy chcą słuchać Słowa Bożego, do wszystkich, którzy chcą pogłębić swoje rozumienie i przyłgnięcie do Boga, do nich wszystkich, dla nich wszystkich Kościół, a więc także i my, musi troszczyć się w decydującym momencie o chleb, bo on jest ważny.

Ale ten epizod miał swoją drugą stronę. Następnego dnia Jezus wyszedł z tego miejsca i udał się na drugą stronę Jeziora Galilejskiego. I tam Go szukają. I znaleźli Go dopiero około południa, znaleźli Go w synagodze w Kafarnaum. I mówią: «Nauczycielu, kiedy tu przybyłeś?» A Jezus mówi: «Szukacie Mnie nie dlatego, że widzieliście znaki, tylko dlatego, żeście się najedli do syta». I w tej sytuacji mówi: «Szukajcie tego chleba, który pomaga nam przetrwać ku życiu wiecznemu.» A ono do Niego: « To jaki znak zrobisz dzisiaj, abyśmy to widzieli i uwierzyli?» Ci, którzy się wczoraj najedli, dziś są głodni. Chcieliby znów, żeby im dać chleb i ryby. A Jezus ukazuje, że to wczorajsze nakarmienie staje się znakiem głębszego głodu a także głębszego nasycenia, i że tym głębszym nasyceniem jest Eucharystia. Otóż można by powiedzieć, że Eucharystia to jest pokarm wszystkich ludzi, także ludzi głodnym. Jest odpowiedzią na największy głód, jaki może człowiek odczuwać. Zatem trzeba troszczyć się o sprawy głodu i pragnienia, które są związane z fizjologią, z organizmem, z potrzebami. Ale nie są to jedyne, nie są to najważniejsze potrzeby człowieka. Obowiązkiem religii, religijności, wiary jest dawanie ludziom Boga. Słowa papieża można by tak wyrazić, i zrobimy to raz i drugi: Kiedy Bóg jest na pierwszym miejscu, wtedy wszystko jest na swoim miejscu. Ci, którzy mają Boga w sercu, z pewnością nie dopuszczają, aby w ich otoczeniu najbliższym byli biedni, byli głodni, byli spragnieni. Z pewnością ci, którzy myślą po Bożemu, są wyczuleni na potrzeby społeczne.

Gdyby jednak to odwrócić: najpierw zadbajmy o głód i o pragnienie, a potem będziemy ludziom mówić o Bogu, to religia staje się ideologią. Wtedy proponuje się ludziom wizję lepszego świata, o który człowiek może zadbać sam. Taka wizja lepszego świata, zwłaszcza w XX wieku, została na rozmaite sposoby przerobiona. Pamiętamy przede wszystkim obietnice, które dawał ludziom komunizm — obiecując ten lepszy świat bez Boga, i wiemy dobrze, jak ten eksperyment się skończył. Potem następuje pokusa druga:

Wtedy wziął Go diabeł do Miasta Świętego, postawił na narożniku świątyni i rzekł Mu:

Miejszem pokusy staje się Jerozolima, Miasto Święte. I miejscem pokusy staje się świątynia, narożnik świątyni. Nie ma miejsca na świecie, gdzie człowiek mógłby schronić się przed tym, co złe. Nie ma takiego miejsca, gdzie nie dosięgłaby człowieka pokusa. Ja myślę, że kiedy obserwujemy dzieje Kościoła, również w naszych czasach, to wiele razy przekonał się o prawdziwości słów Ewangelii że również tam, gdzie jest Miasto Święte, gdzie jest świątynia, gdzie jest to, co jest najświętsze — również tam istnieje kusiciel i związana z nim pokusa. A więc Jerozolima i świątynia staje się miejscem kuszenia Syna Bożego. Z tego wniosek, że wszędzie musimy być uważni i rozważni. Bo to nie jest tak, że jednym jest złe, bo są niby zabezpieczeni przed tym, co złe. Ale to, co najbardziej osobliwe, przychodzi za moment:

i rzekł Mu: «Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół, jest przecież napisane: Aniołom swoim rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień».

Papież mówi: zwróćmy uwagę w jakiej roli szatan tutaj występuje. Występuje w roli kogoś, kto cytuje Pismo Święte. I to jeszcze nie pierwszy lepszy fragment Pisma Świętego, ale psalm ściśle ze świątynią związany. Mało tego, szatan nie tylko Pismo Święte cytuje, on je również komentuje, objaśnia. Papież Benedykt nawiązywał do tego epizodu kilka razy. W 1988 r. został zaproszony do Nowego Jorku, aby na tamtejszym wydziale teologii wygłosić do teologów wykład. I rozpoczął swój wykład tak.

Włodzimierz Sołowiow, pisarz rosyjski, napisał krótką opowieść o Antychryście. I w tej opowieści, która jest przypowieścią, przedstawił Antychrysta i napisał o nim, że chcąc się uwiarygodnić wobec słuchaczy pokazywał im dyplom z teologii uzyskany na renomowanym wydziale teologicznym w Tybindze. W ten sposób teologom amerykańskim, ale to samo można odnieść do teologii w innych rejonach świata, papież powiada: Nie wystarczy Pismo Święte czytać. Nie wystarczy je także objaśniać. Trzeba je czytać i objaśniać w takim duchu, w jakim zamierzył to Pan Bóg. Dlatego, że za egzegezę Pisma Świętego, za jego objaśnianie, za jego komentowanie biorą się także ci, którzy są gotowi je wypaczać. I dalej w swoim wykładzie mówił o zasadach akademickiego naukowego czytania i objaśniania Pisma Świętego. Trzeba powiedzieć że słuchacze, którzy byli zebrani na tym wykładzie nowojorskim, prawie 20 lat temu, kręcili się tam bardzo mocno. Nie spodziewali się bowiem, że kardynał Józef Ratzinger tak mocno dotknie odpowiedzialności związanej z czytaniem i objaśnianiem Pisma Świętego. Popatrzmy — kusiciel nie tylko zna Pismo Święte, ale je cytuje, i to cytuje z pamięci, i je komentuje. Otóż to już jest ten większy, bardziej wyrafinowany rodzaj przewrotności. Mówi do Jezusa:

«Jeśli jesteś Synem Bożym ...

Jeszcze raz to samo! Uwiarygodnij się! Jaka to jest pokusa! Każdy z nas wobec tej pokusy zdaje się odczuwać słabość. Jeżeli możesz to zrobić, to zrób! Jeżeli masz taką moc, to zrób! Jeśli jesteś Synem Bożym, to rzuć się w dół!

jest przecież napisane: Aniołom swoim rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień».

Zachęca kusiciel Jezusa żeby, jeżeli tak można powiedzieć, kusił samego Boga słowami pochodzącymi z Pisma Świętego.

Odrzekł mu Jezus: «Ale jest napisane także: Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego».

Otóż po jednym cytacie z Pisma Świętego następuje cytat drugi. Chodzi o obraz Boga, o wizerunek Boga. To, co proponuje szatan, to czytać i objaśniać Pismo Święte, i wystawiać Boga na próbę, kierując się pychą. Wystawić Pana Boga na próbę, żeby Go zmusić do działania. Spraw to, czego potrzebuję! To, co proponuje Jezus, to droga poznania Boga poprzez pokorę, poprzez uznanie Jego panowania i poprzez uznanie i przyjęcie Jego woli. Wola, którą Bóg zamierzył wobec nas, wobec Jezusa, była inna niż ta, którą proponuje szatan. I następuje pokusa trzecia:

Jeszcze raz wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych

Mamy tutaj dwa paradoksalne nawiązania. Z jednej strony ta wysoka góra i pokusa władzy — pokusa żeby to wszystko, co widzimy, posiadać, to, co jest na dole, mieć. Ogarnąć to, co ogarniamy wzrokiem. Mieć dla siebie, posiadać. Ale z drugiej strony ta wysoka góra to także nawiązanie do Góry Tabor i nawiązanie do Kalwarii, na której Jezus został powieszony. To również były góry czy wzgórza, z których widać było znacznie więcej. Ta perspektywa góry staje się czymś, co będzie od tej pory, od początku publicznej działalności, Jezusowi stale towarzyszyć. Jaką górę wybierze? Otóż ukazał Mu „wszystkie królestwa świata oraz ich przepych”. Rodzi to chciwość, chęć posiadania, chęć tego, by mieć to, co widzimy, na wyłączność. A z tym związana jest zawsze pokusa władzy. I czytamy:

i rzekł do Niego: «Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon».

W tej trzeciej pokusie szatan już nie ukrywa, o co mu chodzi. W tej trzeciej pokusie szatan już nie próbuje zawoalować tego wszystkiego, o czym była mowa wcześniej. Dostaniesz to, na co patrzysz, dostaniesz to, co widzisz, jeżeli upadniesz i oddasz mi pokłon. Otóż końcem całej pokusy jest poddanie się sile zła. Upadek, który niesie pokusa, polega na tym, żeby uznać przemożną siłę diabła. Gotów jest dać on za to człowiekowi obietnicę wszystkiego, żeby go tylko uznał. Powiada Benedykt XVI, że bardzo często działo się tak, że również w życiu Kościoła oddawanie czci Panu Bogu łączyło się z pokusą władzy, z pokusą sprawowania władzy, i to taką, że człowiek albo społeczeństwa gotowe się były od Pana Boga odwracać. I zamiast tych wartości, które są z Bogiem związane, wybierają wartości zupełnie inne, i pójsć w zupełnie innym kierunku. Powiada papież, że nieszczęściem dla religii jest to, kiedy dostaje upolityczniona. I nieszczęściem dla wiary jest to, kiedy człowiek uwierzy, że może na jakiś czas zapomnieć o Panu Bogu. A to, co zyska w zamian, będzie cenniejsze niż to, co było z Bogiem związane, «Otrzymasz to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon».

Na to odrzekł mu Jezus: «Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz».

W ten sposób Jezus nawiązuje do samego początku Dekalogu. Intencje kusiciela zostały rozpoznane. Na samym początku publicznej działalności próbował odwieść Jezusa Boga, Jezusa Człowieka, od jego misji, od jego posłannictwa, próbując zmusić Go do tego albo skłonić Go do tego, albo namówić Go do tego, żeby postawił to, co złe, ponad dobro. Żeby postawił szatana ponad Boga. Bywa, że udaje się to wobec ludzi. Nie udało się to wobec Syna Bożego, który — czytamy zakończenie:

Wtedy opuścił Go diabeł, a oto aniołowie przystąpili i usługiwali Mu.

Kiedy uznał swoją porażkę, odszedł. A Jezus może teraz rozpocząć swoją publiczną działalność. Ostał się wobec tych trzech pokus: pokusy chleba, pokusy cudowności, pokusy władzy.

Przez te trzy pokusy przechodzi praktycznie każdy człowiek. Są tacy, którzy doznają wszystkich trzech, są tacy, którzy przechodzą przez jedną z nich. Ale wszystko to nie jest nam obce i dlatego przez całość tej człowieczej egzystencji przeszedł Jezus. Wobec tego całego opowiadania — to znowu myśl Benedykta XVI — wylania się jedno bardzo ważne pytanie: *Co Jezus, przezwyciężając te pokusy, chciał nam pokazać? Co osiągnął? Czego chciał nas nauczyć?* Pokazał nam, że nie chleb jest najważniejszy. Pokazał nam, że nie doraźne cudowności są najważniejsze. Pokazał nam, że nie władza jest w życiu najważniejsza. Może więc — kontynuuje papież — może więc Jezus poniósł porażkę? Może, kiedy przyszedł Jezus, Syn Boży, na świat, to trzeba było żądać od Niego, wymagać od Niego, oczekiwać od Niego, żeby wprowadził dobrobyt, żeby wprowadził równość, żeby zlikwidował ubóstwo, również żeby zapewnił tym, którzy w Niego wierzą, władzę? W gruncie rzeczy na kartach Ewangelii nie brakuje tych pokus tak, jak były one przeżywane także przez uczniów Jezusa, którzy sądzili, że przebywając w Jego bliskości, w Jego obecności, będą mieć zapewniony dobrobyt, pomyślność, władzę. Przypomnijmy sobie choćby taki epizod, jak matka synów Zebedeusza przyszła do Jezusa, już pod koniec Jego publicznej działalności, i powiada: Słuchaj, ja mam prośbę. Spraw, żeby ci dwaj moi synowie zasiedli w Królestwie Twoim jeden po prawej, a drugi po lewej stronie. Prośba matki — tak, jak każda matka by prosiła dla swoich synów. I wtedy Jezus ukazuje jej, że droga wywyższenia, którą On proponuje, to jest zupełnie inna droga niż ta, którą matka synów Zebedeusza chciała pójsć. I pokazuje jej że pewnie jest tak, że kielicha, który On ma pić, oni nie będą w stanie przyjąć.

Wróćmy więc jeszcze raz do tego pytania. Jezus przyszedł na świat. I co się zmieniło? Nadal są biedni, nadal są głodni, nadal są spragnieni. Żydzi, religia żydowska mówi tak: Gdyby Jezus był Mesjaszem, to by wprowadził na świat czas mesjańskiego dobrobytu. Bo gdy ma przyjść Mesjasz, to wszystko musi być odnowione, przemienione, uspokojone, harmonijne i ma zniknąć wszystko, co złe. W związku z tym, powiadają, zaczekamy — że gdy przyjdzie Mesjasz, to wszystko to odmieni. Dodają więc — że może Jezus był Mesjaszem, ale Mu się nie udało. I dodają z sarkazmem, z ironią: poczekamy na takiego Mesjasza, któremu wreszcie się uda. A Benedykt XVI odpowiadając na ten sposób myślenia, zauważmy – dość atrakcyjny dlatego, że każdy z nas miałby pokusę, żeby wprowadzać w świat porządek już teraz, już dzisiaj, i to naszymi ludzkimi siłami – to Benedykt XVI odpowiadając na pytanie **To co Jezus przyniósł światu?**

Nie przyniósł dobrobytu materialnego wszystkim. Nie przyniósł równości społecznej. Nie przyniósł tego wszystkiego, czego byśmy w wymiarach tego świata oczekiwali. To co przyniósł? Odpowiada papież:

Jezus przyniósł nam Boga. Pokazał, że Bóg jest wszędzie tam, gdzie są ludzie, którzy są w potrzebie, którzy są prześladowani, którzy cierpią. Ale mało tego — Bóg stał się jednym z nas. I Bóg też był prześladowany, i Bóg w osobie Jezusa Chrystusa też cierpiał. I raz jeszcze dochodzimy do tego momentu, wobec którego człowiek się buntuje. Mianowicie Bóg, który tak dalece stał się człowiekiem, że podziela z nami naszą ludzką egzystencję — nie taką, jaką chcielibyśmy, żeby ona była, ale taką jaką ona naprawdę jest. Jezus ukazał, że Bóg jest rzeczywistym dobrem człowieka. Potrzebujemy jeść, potrzebujemy pić, potrzebujemy ochrony, potrzebujemy obrony, potrzebujemy władzy, potrzebujemy spokoju, potrzebujemy bezpieczeństwa. Ale nad tym wszystkim jak jeden parasol, który nas osłania, jest to, co przyniósł nam i co umożliwił nam Jezus. Mianowicie Pan Bóg, Jego potrzebujemy przede wszystkim. Jego obecności, zaufania Mu i świadomości, że On jest święty, a więc inny od tego wszystkiego, z czym mamy do czynienia w świecie. Dlatego w Jego ojcowskie ręce — bo Jezus ukazał Go nam jako Ojca — w Jego ojcowskie ręce możemy powierzyć nasze losy.

Trzeba nam zmieniać świat. Ale nie można nam ulegać rozmaitym potrzebom i pokusom, które są w świecie tak, by zdradzić Pana Boga. On jest najważniejszy. Ci, którzy to rozumieją, idą Jego śladami — powiada papież. Ale zrozumienie tego zakłada przede wszystkim przyjęcie tej wzniosłej nauki. Zakłada przyjęcie, że Bóg pośród tych rozmaitych wartości, które spotyka, o które ociera się człowiek, Bóg jest najważniejszy. Bardzo to jest wzniosłe, moglibyśmy powiedzieć. Ale przecież religia, wiara w Boga, nie mogą być inne. I nie mogą nie wymagać od nas tego, co jest prawdziwie głębokie i prawdziwie wzniosłe. Ukazują nam światy i horyzonty, które zaledwie przeczuwamy. Tęsknimy za takim właśnie Bogiem i takiego potrzebujemy. Takiego spotykamy w naszym życiu i koniec końców możemy cieszyć się, że nie podporządkujemy Go sobie. Że nie sprawimy, że wykonuje wszystko, czego chcemy. Dlatego, że istnieje zasadnicza różnica między religią a magią i zabobonem. W magii, zabobonach i w przesądach próbuje się wymusić na Bogu czy na bóstwie określone zachowania. W religii przyjmuje się Pana Boga takiego, jaki On jest, z pełnym zaufaniem, wiedząc, że wszystko, czego dla nas chce, jest dobre. Magia, zabobon, przesąd próbują Pana Boga zinstrumentalizować, uczynić Go narzędziem w naszym ręku. Natomiast religia czyni z nas partnerów Pana Boga, przy czym wiemy, że nie jest to partner równy, tylko jest to partner, który może wszystko. Zatem magia, przesąd, zabobon opierają się na strachu przed bóstwem, podczas gdy religia opiera się na zaufaniu, na powierzeniu Panu Bogu naszego życia. Jeżeli ktoś z nas to przyjmuje, wtedy to życie nabiera nowych barw. I wtedy — również Benedykt XVI do tego doprowadza — tak jak w życiu Jezusa dopiero możemy zaczynać to wszystko przeżywać inaczej. Po kuszeniu On rozpoczął publiczną działalność. Jeżeli ci, którzy idą śladem Jezusa, postawią Boga na pierwszym miejscu, mogą spokojnie i owocnie działać w świecie, w którym żyją. Wtedy są z całą pewnością skuteczni.

Tyle dzisiejsze nasze rozważanie. W książce Benedykta XVI można znaleźć dalsze myśli, jeszcze głębsze, w tym właśnie rozdziale, który poświęcony jest kuszeniu Jezusa.

Następna konferencja, przypadająca już w Adwencie, będzie w drugi poniedziałek grudnia, czyli 10 XII, i też na nią bardzo gorąco zapraszam. A teraz bardzo dziękując za tak liczną obecność poproszę o chwilę modlitwy również za św. pamięci ks. Zdzisława Mikołajczyka, i za wszystkich, którzy brali udział w naszych konferencjach, i za wszystkich naszych bliskich. Zdrowaś Mario ... Wieczne odpoczywanie ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

### 3 Ewangelia o królestwie Bożym (10 grudnia 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... W imię Ojca ... Stolico Mądrości ...

Bardzo, bardzo serdecznie i bardzo ciepło w grudniowy wieczór witam wszystkich państwa. Raz jeszcze powtórzę to, co powtarzam zazwyczaj o tej porze roku, czyli jesienią i wczesną zimą, że z największym uznaniem dla państwa spotykam się z państwem. Z największym uznaniem dlatego, że my kapłani zdajemy sobie doskonale sprawę jak wielkim wyzwaniem jest taka konferencja biblijna, przyjdzie na nią, obecność na niej. A przecież tak się składa, że teraz wieczory są najdłuższe, dni najkrótsze, państwo muszą pokonać sporo trudności, sporo przeciwności żeby z domu wyjść, żeby tutaj przyjść. I jestem za to również bardzo osobiście wdzięczny za te konferencje biblijne. A ten udział państwa cieszy się uznaniem nie tylko tutaj, tylko dużo szerzej, i to jest jeszcze jeden powód do zadowolenia. Więc bardzo się cieszę i bardzo serdecznie, bardzo ciepło państwa witam bo w takim czasie, jak czas zimowy, taka obecność jest bardzo znacząca i bardzo zobowiązująca.

Weszliśmy w okres Adwentu i temat, który dzisiaj podejmujemy, będzie w dużej mierze adwentowy. Aczkolwiek państwo pamiętaj, że wybraliśmy pewien cykl, który jakby z góry ma swój schemat. I jeżeli pokrywa się z okresem liturgicznym czy z czasem, w którym jesteśmy, to wydaje się że jest to sprawa przypadku. Ale tak w gruncie rzeczy przypadków nie ma. Otóż tytuł tego cyklu to „Spotkać Jezusa Chrystusa dzisiaj”. I zastanawiamy się właśnie nad Jezusem Chrystusem tak, jak On jest przedstawiony na kartach Ewangelii. Ale zastanawiamy się nad Jego znaczeniem dziś, dla nas, i spotykamy go oczami Ojca Świętego Benedykta XVI. Bo powiedzieliśmy sobie dwa miesiące temu, że papież jest autorem książki „Jezus z Nazaretu”. I właśnie wg tej książki, wg jej zawartości staramy się raz jeszcze na postać Jezusa Chrystusa spojrzeć.

Dzisiejszy temat jest adwentowy dlatego, że kolejny rozdział tej refleksji nosi tytuł „Ewangelia o królestwie Bożym”. Już sam ten tytuł wydaje się dość trudny. Stąd trzeba wyjaśnić obydwaj jego człony, a następnie zwrócić uwagę dlaczego dla nas dzisiaj, na progu XXI wieku, ta rzeczywistość Ewangelii o królestwie Bożym jest ciągle ważna.

Zacznijmy od słowa, które powtarzamy setki i tysiące razy, które dobrze znamy, ale papież Benedykt XVI zwrócił uwagę na szczególny rodowód, szczególną genealogię tego słowa, mianowicie słowa *Ewangelia*. Otóż papież zwrócił uwagę, przypomniał, że greckie słowo [euangelijon] było używane w odległej starożytności na oznaczenie dekretów cesarskich. Cesarz wydawał dekryty, te dekryty miały bardzo różną treść, ale wszystkie były pojmowane jako „euangelijon”. Znaczący to po polsku *dobra wieść, dobra nowina, dobra wiadomość*. Wszystko, co wychodziło od cesarza i obowiązywało na terenie całego Imperium Rzymskiego, miało być „dobrą wiadomością” — i to nawet wtedy, kiedy treść dekretu cesarskiego wcale taka pocieszająca nie była. Kiedy więc ewangeliciści pisali o Jezusie Chrystusie, to użycie przez nich nazwy „Ewangelia” miało charakter polemiczny. Wskazywało że ci, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, mają nowego Pana, mają nowego władcę. Że tym panem nie jest już cesarz, który wydaje euangelijon czyli tę dobrą nowinę. Że prawdziwa „Dobra Nowina” ma inny rodowód, inne pochodzenie, inną jakość, inną wartość i zobowiązuje daleko bardziej. Że prawdziwa Dobra Nowina to jest nowina o Jezusie Chrystusie, który przyszedł na świat i który w tym czasie dokonał przemiany takiej, jakiej nie może dokonać żaden cesarz. To jest właśnie rodowód tego greckiego słowa [euangelijon]. I cztery Ewangelie, które mamy w Kanonie Nowego Testamentu, noszą odpowiednio nazwy Ewangelia wg św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza i św. Jana — a więc dobra nowina w znaczeniu Dobra Nowina o Jezusie Chrystusie, który dla wierzących w Niego zastąpił cesarza. Dekryty cesarskie tracą jak gdyby moc bo ci, którzy są chrześcijanami, mają innego władcę, mają innego Pana, innego przełożonego. Tym przełożonym jest sam Bóg w wewnętrznym bogactwie Jego życia czyli jako Ojciec, jako Syn, jako Duch Święty. Bóg, który dla nas i dla naszego zbawienia stał się człowiekiem. Stąd Ewangelia — Dobra Nowina o Jezusie Chrystusie — przynosi nam wiadomości o Nim, o jego życiu, o jego nauczaniu. I te wiadomości nie mają tylko charakteru informacyjnego ale podawane są po to, że mają charakter normatywny, charakter zobowiązujący. A więc stają jak gdyby na antypodach tego dekretu cesarskiego, który wtedy był wydawany.

I tak dochodzimy do pierwszego tekstu, na który Ojciec Święty Benedykt XVI zwrócił uwagę, i który w gruncie rzeczy stanowi o przesłaniu Adwentu, a nawet o przesłaniu całego życia chrześcijańskiego. We wszystkich Ewangeliiach, ale w sposób najbardziej zwięzły w Ewangelii św. Marka, w rozdziale 1 znajdujemy takie słowa (Mk 1, 14-15):

Gdy Jan został uwięziony, Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą. Mówił:  
«Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!»

Niech państwo łaskawie zwrócą uwagę na swoiste napięcie, z jakim mamy do czynienia w tym, co mówię. Powiedzieliśmy tak: Ewangelia to jest Dobra Nowina o Jezusie Chrystusie. O tym, kim On był i czego On dokonał dla zbawienia człowieka i zbawienia ludzkości. A tu Ewangelia św. Marka kieruje nasz wzrok w nieco innym kierunku. Mianowicie „Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą” mówiąc „Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże”.

Treścią czterech Ewangelii jest Jezus Chrystus. Ale Jezus Chrystus również głosił Ewangelię, głosił Dobrą Nowinę. I ta Dobra Nowina, którą On głosił, to była Nowina o królestwie Bożym. Wobec tego zauważmy, że dokonało się znamienne przesunięcie. Kiedy Jezus żył na ziemi, to jego Dobra Nowina, ta dobra wieść, którą przyniósł swoim słuchaczom i wszystkim, do których docierała treść jego orędzia, było głoszenie królestwa Bożego. A kiedy Jezus zmartwychwstał i został uwielbiony, to wtedy treścią tej Ewangelii stał się On sam.

W ten sposób dochodzimy do myśli, wokół której będzie się obracała nasza dzisiejsza refleksja. Mianowicie — ja zdaję sobie sprawę, że ta myśl jest na razie trudna, mam jednak nadzieję że ją wyjaśnimy — mianowicie *rzeczywistość Jezusa Chrystusa w gruncie rzeczy pokrywa się z królestwem Bożym*. Królestwo Boże to jest Jezus — to, czego dokonał, to, czego nauczał, i to, kim On jest. I właśnie teraz chciałbym tę prawdę wyjaśnić. Wyjaśnić tak, żeby ona miała również znaczenie dla naszego życia.

Zacznijmy od początku, czyli cofnijmy się do czasów Starego Testamentu. Kilka razy przy różnych okazjach zwracaliśmy na to uwagę, a teraz raz jeszcze powtórzmy. Kiedy Izraelici stali się narodem Bożego wybrania to doskonale wiedzieli, że Bóg zamierzył dla nich określoną przyszłość. Że Bóg jest obecny w ich dziejach, jako narodu Bożego wybrania, z myślą o tym, żeby tę przyszłość kształtować. I rozmaicie sobie tę przyszłość wyobrażali. Ale zawsze w tej przyszłości, przez nich wyobrażanej i oczekiwanej w czasach Starego Testamentu, było miejsce dla króla. Wyobrażali sobie, że sam Bóg jest królem. Ale wyobrażali sobie także że ten, którego Bóg ześle, którego kształt zaledwie przeczuwali, również będzie królem. A ponieważ najznamienitszym królem w ich historii byli król Dawid i król Salomon — obaj żyli w X w. przed Chr., król Dawid panował w latach 1000 do 970 przed Chr. a król Salomon w latach 970 do 930 przed Chr. — to te dwie postacie stały się takimi swoistymi prototypami, takimi prawzorami, przez pryzmat których patrzono później na przyszłość, oczekując zwłaszcza nowego Dawida. I wyobrażano sobie, że kiedy Bóg będzie zaprowadzał to swoje królestwo, ten swój porządek na ziemi, to będzie zaprowadzał go w ten sposób, że ześle kogoś kto będzie królem, a Izraelici będą takim królewskim narodem, do którego to narodu będą należały rządy, będzie należało panowanie, a więc uprzywilejowane miejsce pośród innych. Wybranie bardzo często pojmowano właśnie jako przywilej. Znacznie rzadziej pojmowano je jako zobowiązanie. I te oczekiwania mesjańskie mamy na kartach Starego Testamentu bardzo widoczne. Niech państwo sobie przypomną zwłaszcza jeden z psalmów, który pojawia się także w naszej liturgii, zwłaszcza w tłumaczeniu Jana Kochanowskiego, który brzmi (Ps. 110):

Rzekł Pan do pana mego łaskawym swym głosem:  
„Siądź mi przy boku prawym,  
Aż moje wszystkie zuchwałe wrogi  
Dam za podnózek pod twoje nogi.

Otóż te oczekiwania w Starym Testamencie bardzo często sprowadzały się do tego, że kiedy Bóg zaprowadzi swoje rządy, to pokona tych, którzy są źli, niesprawiedliwi, w jakikolwiek sposób grzeszni i występni, i uczyni z tych wrogów „podnózek pod nogi” króla, który będzie Go reprezentował, który będzie Jego przedstawicielem. Mamy tutaj obraz, który część z państwa na pewno pamięta z Muzeum Egipskiego w Kairze. Tam był taki fotel faraona, a obok fotela był podnózek. A na tym podnóżku wyrzeźbione były w drewnie głowy wrogów, głowy nieprzyjaciół. I kiedy faraon siadał na swoim tronie, to wtedy nogami gniótł tych swoich wrogów w symboliczny sposób. Tak właśnie wyobrażano sobie działanie Boga i jego przedstawicieli. Kiedy więc Jezus rozpoczął głoszenie Dobrej Nowiny, musiał wyprostować te oczekiwania. Ale z drugiej strony bez przerwy miał z

nimi do czynienia. Wyprostował je wtedy, kiedy np mieliśmy Niedzielę Palmową. Jezus wjeżdża do Jerozolimy, wszyscy zebrani krzyczą (Mt. 21,9):

Hosanna Synowi Dawidowemu!  
Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie!

Jezus daje wyraźnie poznać, że nie o takie królestwo i nie o takie panowanie chodzi. Mamy też na kartach Ewangelii inne sytuacje, kiedy to Piłat przesłuchując Jezusa pyta:

«Czy Ty jesteś Królem?»

Jezus odpowiada: «Tak», ale

«Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom.

I Piłat zastanawia się: co to za król? Z kim ma do czynienia? I wreszcie ta idea królewska osiąga swoje apogeum, ale także zostaje sparodiowana, na Krzyżu kiedy to nad głową Jezusa, który na Krzyżu umiera, zawieszono tabliczkę:

Jezus Nazareński, Król Żydowski

Okazało się, że królestwo, które zaprowadza Jezus, i królowanie, które reprezentuje, jest zupełnie innego rodzaju niż to, które zamierzali Izraelici, które przewidywał naród Starego Testamentu, lud Boży pierwszego przymierza. Że wszystko to odbywa się nie wg ludzkich wyobrażeń, ale wg wzorca zamysłonego i przygotowanego przez Boga.

Tyle tytułem pewnego wstępu, bo do tej myśli za chwilę wrócimy. Natomiast niech państwo zwrócą uwagę że później, już w czasach chrześcijańskich, próbowano na rozmaite sposoby zaprowadzić coś, co mogło być parodią królowania Bożego. Tzn na różne sposoby próbowano zaprowadzić porządek, który by się opierał na sprawiedliwości, który by się opierał na równości, na braterstwie. Porządek, w którym wszyscy mieliby się cieszyć jednakowymi prawami. Zdarzało się w dziejach świata, że robiono to bez Boga. Widać to było zwłaszcza w XX wieku, widać na przykładzie tzw totalitaryzmów czyli takich systemów politycznych, które miały objąć wszystkie dziedziny życia człowieka. Dla nas tym, który wydawał się najbliższy, był ten totalitaryzm czerwony, komunistyczny. On obiecał raj na ziemi, a żeby ten raj osiągnąć trzeba było odwrócić jak gdyby proporcje. Zrobić światową rewolucję w której bogaci straciliby to, co mają, biedni zyskaliby to, czego nie mają. I dobrze wiemy jak w różnych regionach świata ta rewolucje wyglądały, do jakiego stopnia były krwawe, i do jakiego stopnia pod hasłami sprawiedliwości odbywała się rażąca niesprawiedliwość. Mało tego — krzywdy, przemoc, gwałty i krew. Niedawno, kilka tygodni temu wspominaliśmy jeden z epizodów tego krwawego przewrotu, jakim było wywołanie głodu na Ukrainie. Epizod stosunkowo mało znany, a przecież w latach 30-tych właśnie w imię tego lepszego świata na Ukrainie zamordowano głodem, wzięto głodem kilka milionów ludzi. Szacunki są różne — od 4 do 7 milionów ludzi zagłodzonych w okrutny sposób. Te przykłady moglibyśmy mnożyć. Nawet nie chodzi tutaj o to, by rozpalać wyobraźnię i przypominać te wszystkie epizody. Wiemy, że łączyło te rozmaite polityczne epizody jedno. Mianowicie usunięcie Boga, zastąpienie Boga i zastąpienie Go utopią sprawiedliwego świata. Świata, w którym będzie pokój, pamiętamy jeszcze z niedawnych czasów: walka o pokój, taki swoista sprzeczność: żeby pokój osiągnąć, to trzeba o niego walczyć. Zatem drogą do pokoju są zmagania, rywalizacja, konfrontacja, napięcia.

Próbowano zatem budować królestwo sprawiedliwości, miłości i pokoju bez Boga, i takie budowanie zawsze obracało się przeciwko ludziom. W różnych rejonach świata, w różnych okolicznościach, ale zawsze dramatycznych, ginęły setki tysięcy i miliony ludzi. Ludzi zwłaszcza tych, którzy do tego porządku projektowanego i prognozowanego z jakichś względów nie przystawali, nie pasowali, albo zostali uznani za takich, którzy do tego porządku światowego się nie nadają.

Ale obok tego istnieją również inne próby budowania porządku sprawiedliwości, miłości i pokoju. Jedna z tych prób, z którą często w historii niestety mieliśmy do czynienia, polegała na

wprzęgnięciu religii do budowania takiego właśnie sprawiedliwego pokoju, i na posługiwaniu się hasłami religijnymi w zaprowadzaniu porządku w świecie. Do tego stopnia, że zdarzały się okresy historyczne, w których religia stawała się narzędziem przemocy. Jest to jeden z najwstydlivszych zawsze rozdziałów w dziejach ludzi religijnych czy w dziejach danego wyznania. Zdarzało się, że rozmaite wyznania, także chrześcijańskie, walczyły między sobą. Zdarzało się, że w imię szczytnych haseł religijnych i z powoływaniem się na religię przeprowadzano rozmaite akcje, czasami bardzo zmasowane, wskutek których bardzo wielu ludzi cierpiało. Tu, w naszym rejonie świata pewnie nie jest to wyłącznie stereotyp lecz coś, co ma związek z prawdą, kojarzy nam się tego rodzaju zaprowadzanie porządku na siłę, i taka chrystianizacja na siłę zwłaszcza z Krzyżakami, o których krążyły czarne legendy, i krążą jeszcze do naszych czasów. W imię wzniosłych haseł, w imię szczytnych ideałów przeprowadzano całe akcje wyniszczające ludy czy ludzi, który do tych szczytnych haseł nie pasowali. Coś podobnego wydarzyło się po odkryciu Ameryki w r. 1492 i w trakcie jej podbijania przez białych, przybywających tam zwłaszcza z Europy. Otóż miejscowi ludzie, także w imię szczytnych haseł chrześcijańskich, byli krwawo niszczeni póki wreszcie pod koniec XIX i w XX wieku nie zepchnięto ich całkowicie do rezerwatów. Coś podobnego, podobna tragedia, wydarzyła się również na terenie Australii. Widzimy zatem, i musimy uznać z bólem i ze wstydem, że także religia bywała używana i nadużywana do celów, które z naturą religii nie mają nic wspólnego.

Mówił o tym dość często w kontekście roku 2000 papież Jan Paweł II, zalecając tzw proces oczyszczania pamięci. Dobrze wiemy, że to są trudne karty, także w dziejach chrześcijaństwa. Ale do tego trzeba dodać jeszcze jeden wymiar, niesłychanie delikatny, który odbywa się na styku religii i zaprowadzania takiego światowego porządku sprawiedliwości i pokoju. Mianowicie ten wymiar ma charakter zupełnie nowoczesny. I papież Benedykt XVI jest bodaj pierwszym papieżem, który na ten wymiar tak wyraźnie wskazuje. Ojciec Święty mówi tak: Po Soborze Watykańskim II, który odbył się w latach 1962 - 1965, pojawiła się tendencja aby uznać równość rozmaitych kultur, i aby uznać równość rozmaitych religii. Wiadomo, że w świecie zróżnicowanie religijnie jest posunięte bardzo daleko. Chrześcijaństwo jest podzielone, bo są rozmaite wyznania chrześcijańskie, są różne religie monoteistyczne — judaizm, islam, chrześcijaństwo, są religie środkowej Azji, Dalekiego Wschodu, religie afrykańskie. A więc jest daleko posunięte zróżnicowanie, i pojawiają się tendencje, żeby uznać wszystkie te religie za równoprawną drogę do Boga. A ponieważ wyznawcy tych religii i tak w sprawach teoretycznych się nie dogadają, to żeby współpraca pomiędzy religiami odbywała się na tzw poziomie praktycznym. Czyli żeby ekumenizm, z jakim mamy do czynienia w naszych czasach, polegał na tym, żeby wyznawcy różnych religii współpracowali ze sobą w zaprowadzaniu światowego pokoju, sprawiedliwości, w pomocy ubogim i w ulepszaniu tego świata na tyle, na ile to jest możliwe.

Otóż papież mówi tak. Na pierwszy rzut oka ta wizja jest bardzo sugestywna. Mianowicie zalecać współdziałanie ludzi religijnych dla wspólnego dobra ludzkości, dla dobra każdego człowieka. Podjąć działania, wskutek których religie byłyby skuteczne. Otóż ta tendencja, to podejście, ten sposób widzenia roli i miejsca religii wydaje się bardzo atrakcyjny. Ale jest z nim ogromny kłopot dlatego, że celem tak pojmowanej religii staje się człowiek i jego dobro. Staje się świat i zaprowadzana w nim sprawiedliwość. Wobec tego religie tracą swój dynamizm, i ludzie wierzący tracą swój dynamizm. I że miejsce Boga, który powinien być podstawowym odniesieniem wiary religijnej, zajmuje człowiek, jego pomyślność, i jego dobro. I na tym w gruncie rzeczy polega to bardzo poważny kryzys dzisiejszych wysiłków ekumenicznych i dialogowych. Że Bóg został zepchnięty w różnych religiach na daleki plan, natomiast miejsce Boga w tych spotkaniach międzyreligijnych zajął człowiek. Może być tak, że ludzie religijni w gremiach kierowniczych spotykają się między sobą i rozmawiają o wszystkim – o pokoju, o sprawiedliwości, o dobrobycie, o usuwaniu nędzy. Natomiast nie mówią o tym, co jest najważniejszą treścią każdej religii, a zwłaszcza chrześcijaństwa, mianowicie o Bogu. Co więcej — tego słowa „Bóg” unikają. Dlatego, że kiedy wypowiedzą słowo „Bóg” to okazuje się że Bóg ich, jako ludzi religijnych, dzieli. W ten sposób religia, powiada papież, staje się parodią samej siebie bo zamiast prowadzić ludzi do Boga i zbliżać ludzi do Boga, to koncentruje się, skupia swoją uwagę na człowieku. I człowiek, jego pomyślność, jego dobrobyt, jego dobrostan zajmuje miejsce Boga. Papież mówi: „Tak dalej być nie może”. Otóż religia, która przestaje zwracać uwagę na Boga, natomiast koncentruje się na człowieku, jest – jak powiada papież – parodią samej siebie. Zwróćmy zatem uwagę, że przekładając to na język codzienności to



choć dzieła, np. charytatywne, dobroczynne mają ogromną wartość, to nie jest tak, że Kościół jest tylko i wyłącznie wspólnotą, która ma pomnażać dzieła dobroczynne. Kościół jest wspólnotą, która ma wielbić Boga i przybliżać ludzi do Boga. A dzieła dobroczynne, dzieła charytatywne nie mogą tego zastąpić, są jednym z aspektów religijności. Ale chociaż brzmi to dla nas dziwnie czy nawet szokująco — nie najważniejszym. Bo najważniejszym jest prowadzić człowieka do Boga. A dzieła dobroczynne winny być tego narzędziem. Te przykłady można by zresztą mnożyć.

Po tym wróćmy raz jeszcze do Nowego Testamentu. Bo z tego, co powiedzieliśmy, wylania się jeden wniosek, jedna konkluzja. Mianowicie podstawowym zadaniem wiary religijnej, podstawowym zadaniem każdej religii jest ukazywanie Boga, przybliżanie obrazu Boga, prowadzenie ludzi do Boga i sprawianie, żeby Bóg mógł być w świecie obecny. I tak dochodzimy do czegoś, co znowu brzmi paradoksalnie. Otóż Jezus to Syn Boży, który stał się dla nas i dla naszego zbawienia człowiekiem. Głosi królestwo Boże czyli przypomina ludziom to, na co teraz zwróciliśmy uwagę — mianowicie pierwszorzędne miejsce Boga w ich życiu. Co prawda uczy dobrego sposobu życia, wypowiada piękne przypowieści, nawet uzdrawia i pomaga. Ale przede wszystkim ukazuje obraz Boga i chce zbliżyć swoich słuchaczy i tych, którzy w Niego wierzą, do Boga odkrywając kim Pan Bóg jest. I do tego celu Jezus potrzebuje pomocników. Okazuje się, że Bóg Człowiek, Jezus Chrystus, nie może owego królestwa Bożego zaprowadzić sam. Że Pan Bóg, który jest obecny i działa w świecie, potrzebuje tych, którzy by o Nim wiarygodnie i niezłomnie świadczyli. Że Bóg względem ludzkości nie może obyć się bez człowieka. W sanktuarium w Efezie, na terenie Turcji, na Wzgórzu Słowików, jest figura Najświętszej Maryi Panny. Ta figura Najświętszej Maryi Panny nie ma rąk. Te ręce zostały kiedyś odtracone. Nie wiadomo kto, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo w jakich okolicznościach — od wieków tych rąk nie ma. I mówi się tak na Wzgórzu Słowików, że nikt nie będzie tych rąk dorabiał dlatego że ci, którzy przybywają na to wzgórze, i którzy oddają cześć Maryi, oni powinni być Jej rękoma. Oni powinni dokonywać tego, czego Najświętsza Maryja Panna dokonać nie może, bo potrzebuje współpracowników i pomocników.

Dokładnie tak jest z Bogiem. Otóż na początku swojej publicznej działalności Jezus powołuje dwunastu Apostołów. W Ewangelii św. Marka czytamy tak (Mk 3,13):

Potem wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego.

Zwróćmy uwagę na dwie rzeczy. W czasach Starego Testamentu podkreślano przede wszystkim wymiar Ludu Bożego jako wspólnoty, jako zbiorowości. Na kartach Starego Testamentu bez przerwy powtarza się słowo „Izrael” na oznaczenie wspólnoty, na oznaczenie zbiorowości. Jezus przenosi akcent i nacisk ze zbiorowości na pojedynczego człowieka, i dopiero przez pojedynczego człowieka buduje wspólnotę. Przynależność do uczniów Jezusa Chrystusa, do wyznawców Jezusa Chrystusa, do tego grona, nie jest automatyczna. Nie jest przez narodzenie. To nie jest tak, jak w starotestamentowym Izraelu. Tam rodził się w rodzinie żydowskiej chłopiec czy dziewczynka. Przez to samo był Żydem, i przez to samo stawał się członkiem narodu Bożego wybrania. W rodzinie Jezusa, w rodzinie wyznawców Jezusa, jest inaczej. W rodzinie chrześcijańskiej rodzi się chłopiec czy dziewczynka, ale przez sam ten fakt nie jest chrześcijaninem. Potrzebna jest decyzja — jego rodziców, czy w dorosłym wieku jego samego — decyzja, która znajduje wyraz w chrzcie. I dopiero sakrament chrztu włącza do tej rodziny. Dopiero indywidualna, osobista decyzja czy to rodziców, czy to dorosłego człowieka tworzy, sprawia nową wspólnotę. Wspólnota, którą my tworzymy, nie wynika z krwi. Nie jest automatyczna. Ta wspólnota jest wynikiem wyboru. I początek tego procesu wybrania mamy tutaj na kartach Ewangelii: Jezus „wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał”. W tym wyborze, jakiego dokonuje Jezus, jest Jego wolna wola. To szczególne powołanie nie jest adresowane do wszystkich. Jest adresowane do tych, którzy stają się Jego wybranymi. Ale to powołanie wymaga odpowiedzi: „a oni przyszli do Niego”. Przecież mogli nie przyjść! Tam, pod tą górą, zgromadziły się setki a może nawet tysiące ludzi. I spośród tych setek czy tysięcy Jezus wybiera bardzo wąskie grono. Wskazuje na tych, których chce mieć jako swoich współpracowników, a oni przyszli do Niego.

Otóż powołanie i wybranie zakładają zawsze odpowiedź człowieka. Ta odpowiedź winna być dobrowolna i winna być pozytywna. Ona odnosi się do każdego chrześcijanina. a w obrębie chrześcijaństwa oczywiście do tych, którzy mają szczególniejszą odpowiedzialność związaną z powołaniem

i związaną z wybraniem. Napisał Jan Paweł II, że w każdym powołaniu, powołaniu chrześcijańskim, spotykają się dwie miłości: miłość, z którą Pan Bóg występuje względem nas, i nasza miłość, przez którą odpowiadamy Panu Bogu. I te dwie miłości spotykając się tworzą nową jakość. Na tym w gruncie rzeczy polega dojrzałe życie chrześcijańskie. „Nie szukałbyś Mnie, gdybyś Mnie nie znalazł”. Znajdujemy Pana Boga, wierzymy w Niego dlatego, że On nas szuka, On wychodzi na nasze spotkanie, że On nas wzywa, wręcz po imieniu. A my na to wezwanie odpowiadamy. Tak tworzy się ta pierwsza wspólnota, o której czytamy (Mk 3, 14 - 15):

I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki, i by mieli władzę wypędzać złe duchy.

Zwróć państwo uwagę na każdy z tych członów. Jezus ustanowił Dwunastu. Dlaczego dwunastu? Dla skuteczności Jego nauki byłoby lepiej, gdyby było ich więcej, pięćdziesięciu, stu, albo pięciuset. Dlaczego właśnie dwunastu Apostołów staje się filarami nowej wspólnoty, której sedno stanowi indywidualna odpowiedź? Otóż dlatego, że Jezus w ten sposób wskazuje na ciągłość z ekonomią Bożą pierwszego przymierza, Starego Testamentu. Izraelici Starego Testamentu jako trzon, jako sedno swojej tożsamości mieli dwanaście plemion, dwanaście pokoleń. Był pewnie czas w zamierzchłym Izraelu, kiedy każdy z nich mógł wskazać, do którego plemienia należy. W czasach Jezusa już takiej możliwości nie było. Istniała jeszcze świadomość wśród niektórych, do którego plemienia należą, ale generalnie biorąc ta świadomość została zatracona. Jezus chce powiedzieć: czas Starego Testamentu się dopełnia. Potrzebne są filary nowego ludu Bożego. Filarami tego pierwszego ludu Bożego było dwunastu patriarchów i wywodzące się od nich poprzez rodzenie, poprzez wydawane na świat pokolenia, plemiona. Natomiast nowy lud Boży ma nowe filary. Te filary to Dwunastu Apostołów wybranych przez Jezusa. I oni są zadatkami nowego rodzaju wspólnoty. Zatem pierwszym zadaniem tych, którzy uwierzyli w Jezusa, którzy poszli za Nim, jest budowanie jedności, jednoczenie ludzi wokół Niego. Już nie według krwi, nie według pochodzenia, nie według pokoleń, tylko pozyskiwanie ludzi z każdego ludu, narodu i języka, aby stali się wyznawcami Pana Boga.

Tak staje się jasne, że Izrael nie został wybrany ze względu na siebie samego, lecz że wybranie Izraelitów było przejściowym etapem do tego wybrania, które obejmuje całą ludzkość. A więc że Izraelici stanowili pomost, przez który Bóg okazał swoją zbawczą moc wszystkim. Powiedzmy w tym miejscu, że Izraelici w dużej mierze zbuntowali się przeciwko takiej wizji. Zaczęli pojmować swoje wybranie jako coś partykularnego, skierowanego wyłącznie do nich. Nie wszyscy przyjęli to właśnie otwarcie, które znalazło wyraz w Jezusie i w chrześcijaństwie. Dlatego osoba Jezusa i jego nauczanie stały się także punktem wyjścia dla rozłamu. Byli tacy w biblijnym Izraelu, którzy za Nim poszli, za Jezusem, a filarami tej pozytywnej odpowiedzi są Apostołowie, przeciw Żydz. I byli tacy, którzy ten взгляд na powszechne powołanie odrzucili. I to jest początek judaizmu rabinicznego, który istnieje do dnia dzisiejszego. Dochodzimy znów do sedna problemu rozdziału Kościoła i Synagogi. To, na co zwraca uwagę papież Benedykt XVI, to co podkreśla, to wskazuje nam, że Jezus wybierając Dwunastu podejmuje tę samą logikę, która była związana z dwunastoma plemionami Izraela w czasach Starego Testamentu. Jakie jest ich zadanie?

Po pierwsze: „aby Mu towarzyszyli”. Towarzyszyli — tzn patrzyli, stawali się Jego uczniami, uczyli się. Towarzyszyli — tzn byli z Nim, dojrzewali przy Nim. Tak kształtuje się pierwsza szkoła uczniów Jezusa. Można by powiedzieć dzisiejszym językiem, z pewną przekorą: tak kształtuje się pierwsze seminarium duchowne. A rektorem, kierownikiem, mistrzem tego seminarium jest sam Jezus. Apostołowie kształtują siebie, dojrzewają przy Nim towarzysząc Mu, słuchając jego nauk, słuchając jego przypowieści, oglądając jego cuda, słuchając wyjaśnień, które dawał. A wreszcie przygotowując się wraz z Nim do podjęcia tego losu, który zakończył się w Jerozolimie pojmaniem Go, aresztowaniem, skazaniem na śmierć i wreszcie ukrzyżowaniem. Apostołowie mieli Jezusowi towarzyszyć, mieli się Mu przypatrywać. Takie jest również zadanie uczniów Jezusa. Mianowicie ci, którzy chcą być świadomymi chrześcijanami, muszą przyglądać się Jezusowi. Nie możemy pójść za Nim tak po ziemsku. Nie możemy, nawet jeżeli pojedziemy do Palestyny, przyglądać Mu się z bliska, bo On jako człowiek przeszedł do historii. Towarzyszy nam jako Bóg, a to jest inny poziom, znacznie bardziej duchowy. Ale przecież musimy nieustannie starać się Jezusa poznawać.

Gdyby chrześcijanie traktowali tę powinność poważnie, gdyby znali Jezusa, jego orędzie, jego Ewangelię, jego nauczanie, jego życie, jego los, wtedy chrześcijaństwo wyglądałoby zupełnie inaczej. Problem polega na tym że wśród tych, którzy uwierzyli w Jezusa albo którzy deklarują wiarę, są tacy, którzy za Nim nie idą, nie towarzyszą Mu tzn nie starają się Go poznać. A nawet więcej — może się zdarzyć, że On ich wcale nie obchodzi. Jak więc można ukochać kogoś, kogo się nie zna? Jak można pójść za kimś, co do kogo nie ma się żadnej roztropnej wiedzy? Jak można postępować w zaufaniu Jezusowi, jeżeli człowiek nie ma w sobie tego wewnętrznego dynamizmu, który go do Jezusa zbliża? Otóż to jest jeden z powodów letniości i powierzchowności chrześcijaństwa w każdym czasie.

Zatem pierwszy wymiar, to towarzyszenie. Drugi: „by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki”. Oni najpierw słuchali, czego Jezus uczy, aby następnie powtarzać to innym. Drodzy państwo, wiara — podkreśla Nowy Testament — rodzi się za słuchania. Tam, gdzie człowiek słucha, tam wiara jest najbardziej żywa, najbardziej poruszająca. Nic tak nie trafia do wnętrza człowieka, jak zwłaszcza żywe słowo. W dzisiejszym świecie i w dzisiejszym Kościele nastąpiła dewaluacja wiary dlatego, bo nastąpiła dewaluacja słowa. Zamiast słowa żywego pojawia się słowo odtwarzane, a to już nie jest to samo. Zamiast żywego słowa pojawia się obraz. A obraz, wbrew pozorom, nie działa tak mocno, jak słowo. Otóż tych dwunastu Apostołów — bo tak zostali nazwani — zostają przeznaczeni do tego aby szli, aby zostali wysłani na głoszenie nauki. Wiara w Jezusa, żeby mogła się rozwijać i żeby wartości, o których Jezus nas uczył, mogły kwitnąć, to muszą być głoszone. Muszą być ci, którzy na ten temat mówią. Otwarcie mówią, w porę i nie w porę, w dobrych i niesprzyjających okolicznościach.

I wreszcie trzecia rzecz: „i by mieli władzę wypędzać złe duchy”. Otóż wierność Jezusowi, głoszenie Jezusa, łączą się zawsze z umniejszaniem obecności zła w świecie. Zło jest tak, jak chwast, zło jest tak, jak zaraza. Zło jest jak trucizna. Ono dochodzi w rejony, o których człowiek nie zdaje sobie sprawy. Ono się pleni wbrew naszej woli. Dlatego mówiąc o Jezusie, głosząc Jezusa, wyznając Jezusa, trzeba jednocześnie umniejszać zło tam, gdzie ono istnieje. Proszę zauważyć — jeżeli chcemy żeby świat był sprawiedliwy, żeby świat był pod każdym względem dobry, żeby w świecie istniały te wszystkie przymioty, które wypływają z dobra, to warunkiem do tego jest ograniczanie zła, ograniczanie obecności zła. I ewangelista mówi (Mk 3, 16-19):

Ustanowił więc Dwunastu: Szymona, któremu nadał imię Piotr; dalej Jakuba, syna Zebedeusza, i Jana, brata Jakuba, którym nadał przydomek Boanerges, to znaczy synowie gromu; dalej Andrzeja, Filipa, Bartłomieja, Mateusza, Tomasza, Jakuba, syna Alfeusza, Tadeusza, Szymona Gorliwego i Judasza Iskariotę, który właśnie Go wydał.

Dlaczego wszyscy ewangeliści wymieniają tak szczegółowo imiona Apostołów? Dlatego, że każda odpowiedź na powołanie Jezusa ma charakter osobisty, indywidualny. Ewangeliści chcą powiedzieć: tych Dwunastu zostało powołanych i tych Dwunastu odpowiedziało. Ale mamy tu jednocześnie swoisty zaczątek tragedii. Mianowicie o jednym z tych Dwunastu, o Judaszu Iskariocie, mówi się: „który Go wydał”. Gdyby ewangeliści chcieli retuszować życie Jezusa, z pewnością o Judaszu nie byłoby żadnej wzmianki. Gdyby chcieli wybielać Apostołów, mogliby go przemilczeć. Wiele razy przecież dzieje się tak że to, co złe, jakoś zamiatamy pod dywan. A jednak Judasz jest tutaj wspomniany. Ewangeliści dają wyraźnie poznać że tam, gdzie dokonuje się dobro, nigdy nie możemy być pewni tego, że tylko o nie chodzi. Że tam, gdzie dokonuje się dobro, odbywa się także jakiś tajemniczy posiew zła. Że jedno i drugie jest obecne. Jezus głosi królestwo Boże, a więc to panowanie Boga na ziemi. Ukazuje rozmaite wymiary ludzkich powinności. Wzywa do tego Dwunastu. Ale zarazem jeden z tych Dwunastu stanie się sprawcą porażki.

I tak będzie w gruncie rzeczy w każdym chrześcijańskim pokoleniu. Obecność tych, którzy stają się sprawcami porażki, była od samego początku i ona — można by powiedzieć — jest czymś normalnym. Ież to razy mówimy nawet coś więcej — że granica między dobrem i złem nie przebiega między ludźmi. Granica między dobrem i złem przebiega w człowieku, w sumieniu każdego z nas. A więc i w nas toczy się to zmaganie między tym dobrem, które chcemy, a złem, które popełniamy. Ale niektórzy spośród nas ulegają temu w sposób tak widoczny i tak gwałtowny, że to zło jest zdecydowanie bardziej widoczne. Tak było właśnie z Judaszem.

To, jak widzimy, dość wymowny wymiar tego głoszenia królestwa Bożego. Jezus potrzebuje współpracowników. Bóg potrzebuje współpracowników w świecie. A zarazem niektórzy z tych współpracowników popełniają błędy, grzechy, są skazani na porażkę. I taki jest los Boga pomiędzy ludźmi. Tak długo, jak długo Jezus głosił królestwo Boże, a następnie sam stał się przedmiotem głoszenia, tak długo byli ci, i są ci, którzy wiernie wypełniają jego posłannictwo, oraz są ci, którzy temu sprostać nie mogą i nie potrafią.

Przybliżając to królestwo Boże i obecność Boga w ludzkiej historii Jezus używał różnych obrazów. I te obrazy w gruncie rzeczy pokrywają się z tym, na co teraz zwróciliśmy uwagę. Czy państwo przypominają sobie przypowieść o ziarnku gorczycy? Jezus powiedział: ono jest najmniejsze. Rzeczywiście ta gorczyca jest bardzo mała, ziarnko gorczycy tak jak ziarnko maku. Ale kiedy się je zasieje, to ono rozrasta się w potężny krzew. Tak jest z królestwem Bożym. Powiada Jezus: wydaje się, że obecność Boga w świecie jest niewidoczna, że Bóg jest bez przerwy spychany do narożnika. Że Bóg bez przerwy musi się uwiarygodnić wobec człowieka. Ale kiedy popatrzymy na dzieje świata, to królestwo Boże trwa. To w świecie wydarza się wiele dobra. To w świecie jest wiele dzieł miłości i miłosierdzia, które są odwzorowaniem miłości Boga. To do Boga należy ostatnie słowo.

Inna przypowieść, która ukazuje nam, że los głoszenia królestwa Bożego jest zróżnicowany. Pamiętamy tę przypowieść doskonale — o ziarnie. Jedno rzucone na drogę, i ptaki je wydziobują. Inne na grunt skalisty — nie może zapuścić korzenia. Jeszcze inne między ciernie, a ciernie wyrosły i zagłuszyły. I wreszcie inne — na glebę uprawną. I to wydaje plon: 30-, 60- i 90-krotny. W każdym pokoleniu głosi się Boga. W każdym pokoleniu mówi się o Bogu. Takie jest zadanie każdej religii, a w szczególności sposobu chrześcijaństwa, w którym Bóg objawił siebie w szczególny sposób. A przecież ludzie reagują bardzo różnie. Są tacy, jak droga — niedostępni, jak gdyby nie przeznaczeni dla Boga, zbyt twardzi dla Niego. Są tacy, jak skała — nieprzystępni dla tego, co od Boga pochodzi. Są tacy, jak ciernie — którzy zajęci są zupełnie innymi sprawami, niż ta Boża oferta. I są wreszcie tacy, którzy odpowiadają Bogu całym sercem i przynoszą plony. Kiedy patrzymy na świat musimy uznać obecność wszystkich.

Tak było, tak jest, tak pozostanie. Jezus ukazuje nam, że losy Boga są niejako włożone w nasze ręce, i że odpowiedź, jakiej udzielamy, jest bardzo zróżnicowana. Ale tym, którzy uwierzyli w Boga i uwierzyli Bogu, Jezus daje dwie inne przypowieści, przedziwne, które kierują się przedziwną logiką.

Powłada tak: z królestwem Bożym, czyli z tą obecnością Boga w świecie to jest tak, jak z pewnym człowiekiem, który znalazł skarb ukryty w roli. Ale ta rola nie była jego. Poszedł więc, sprzedał wszystko, co miał, i nabył tę rolę. I w ten sposób nabył również ten skarb. Sens tej przypowieści jest oczywisty. Czasami w naszym życiu natrafiamy na coś, co jest naprawdę bardzo ważne. Odkrywamy wagę tego. I wtedy musimy podjąć odważną decyzję. Żeby wybrać to jedno jedyne trzeba nieraz wyrzec się wielu innych rzeczy. I odpowiedź na tę przypowieść nie jest odpowiedzią teoretyczną, tylko każdy z nas musi jej udzielić sam. Tzn każdy z nas musi odpowiedzieć na pytanie czy odnalazł ten skarb? Czy tym skarbem jest Pan Bóg? I czy jest gotów we wszystkich okolicznościach swojego życia zaufać Mu i związać z Nim swoje życie?

I druga jeszcze przypowieść, o drogocennej perle, która ma dokładnie taką samą wymowę. Że pewien człowiek znalazł drogocenną perłę. Kiedy więc przekonał się o jej wartości, sprzedał wszystko co miał i nabył tę perłę. Lepsza jest jedna, drogocenna, wspaniała i godna podziwu, niż wiele innych, które takiej wartości nie mają. I z Bogiem w naszym życiu jest tak samo. Kto Boga wybiera, nic nie traci. Nawet jeżeli wyzbywa się innych rzeczy, to nabywa dobro które przekracza wszystko, cokolwiek inne rzeczy dać mogą. Ktoś pomyśli, że to jest wzniosłe i trudne, i że mnie konkretnie — myśli ktoś — nie dotyczy. Że przed tym wyborem być może stają niektórzy. Ale to nie jest prawda. Przed tym wyborem staje każdy człowiek w różnych okolicznościach swojego życia. A zwłaszcza w takich okolicznościach, kiedy musi odpowiedzieć sobie na pytanie: czy rzeczywiście Bóg, Jego sprawy, są w jego życiu najważniejsze. Może to być wobec czegoś trudnego, bolesnego. Może to być wobec perspektywy choroby, wobec cierpienia. A wreszcie — wszystkich nas to dotyczy — wobec perspektywy sensu naszego życia i śmierci, która nas czeka. Człowiek musi wtedy udzielić odpowiedzi na pytanie: czy rzeczywiście Bóg w naszym życiu jest na pierwszym miejscu, czy jest najważniejszy.

I jeżeli ta odpowiedź wypada pozytywnie, jeżeli ta odpowiedź jest dobra, jest właściwa, i jeżeli tej odpowiedzi udziela wielu ludzi, wtedy Bóg staje się w świecie jak gdyby bardziej obecny. Wtedy

ten stan, który osiągamy, do którego dochodzimy, nosi nazwę królestwa Bożego. Bo oto Bóg staje się panem, powiedzielibyśmy naszym językiem — królem, naszych sumień. Bo oto Bóg bierze w posiadanie nas jako swoją własność. I przez to Jego obecność staje się bardziej widoczna. Spełniony też zostaje wówczas cel religii. Tzn jeżeli religia i nasza wiara przybliży nas do Boga tak dalece, że w najtrudniejszych okolicznościach naszego życia potrafimy Mu zaufać, to znaczy że powoli należymy do Pana Boga. Że związaliśmy z Nim swoje życie tak, że staliśmy się jego narzędziami, a nawet jego swoistym mieszkaniem. Jeżeli człowiek przyjmuje to, co go spotyka, z takim nastawieniem, i nawiązuje bezpośredni kontakt z Bogiem, daje mu to niebywały spokój.

Ja wczoraj wysłuchałem takiej opowieści. Opowieści, która dotyczy życia jednej z kobiet. A ponieważ mieszka ona bardzo, bardzo daleko stąd, to z całą pewnością nie usłyszy i nie będzie miała za złe, że tę opowieść, dotyczącą jej życia, powtarzam. Otóż jest matka. I jej córka wkrótce po wyjściu za mąż zachorowała na raka. Spodziewała się dziecka i lekarze odkryli raka. Oczywiście diagnoza była porażająca. Córka wróciła do domu kompletnie załamana. Przewidziano bardzo trudną operację o której lekarze mówili — ponieważ sprawa dotyczyła też krwi — że nie ma szans na powodzenie. I wtedy matka, dowiedziawszy się o tym, zaczęła prosić gorąco Boga żeby to ona zachorowała, żeby Bóg tę chorobę przeniósł na nią, a jej córka niechby żyła. Wydawać by się mogło, że prośba nie tylko nieracjonalna ale wręcz nie do spełnienia. Mówiła, że prosiła Boga tak gorąco, tak mocno, że któregoś dnia uzyskała pewność, że zostanie wysłuchana. Córka udała się do szpitala na operację. Ale kiedy zaczęto diagnozować do operacji stwierdzono, że nie ma żadnych śladów raka. Że córka jest zupełnie zdrowa. Rzecz działa się za granicą. Lekarze byli oniemiałi — cała dokumentacja lekarska wskazywała na konieczność operacji. A teraz kobieta spodziewa się dziecka, i jest zupełnie zdrowa. Za kilka miesięcy matka poczuła się bardzo źle. Okazało się, że ma raka. Udała się do szpitala i tam lekarze zdiagnozowali dokładnie tę samą chorobę, co u córki. Zanosilo się na operację i operacja się odbyła. Udała się. Ale idąc na operację matka — opowiadała mi o tym z pełnym przekonaniem — szła tak, jak gdyby szła na spotkanie z Panem Bogiem. Lekarze byli zaszokowani, pielęgniarki zaszokowane. Nie widziały nigdy kobiety czy człowieka — bo i mężczyźni to dotyczy — który by szedł na operację z takim spokojem. Poddawa się temu, wszystko ustąpiło, i żyje. Daje ona o tym świadectwo.

I ja państwu powtarzam jako, w moim przekonaniu, dobry przykład tego, że także w naszych czasach dzieją się cuda wtedy, kiedy człowiek poza wszelką logiką i wbrew wszelkiej logice zaufa Panu Bogu. Jeżeli uczyni dla Niego miejsce w swoim życiu tak dalece, że Pan Bóg to życie przejmie. Nie może to być droga wszystkich ludzi. Nie liczymy na to, że wszystkimi Pan Bóg pokierowałby dokładnie tak samo. Gdyby tak było, to cud stałby się zwyczajnością. A cud ma to do siebie, że przecież jest niepowtarzalny i nadzwyczajny. Ale te rzeczy się zdarzają, te sprawy są. Nie dlatego, żeby Pan Bóg chciał nas zaskoczyć, tylko dlatego, jestem o tym przekonany również, że jeżeli ktoś Mu zaufa, to daje temu człowiekowi siłę do przyjęcia i zniesienia wszystkiego. Do męznego zniesienia wszystkiego. A to mężne znoszenie sprawia, że niektórym jak gdyby przedłużał życie po to, aby mogli o Nim świadczyć.

Zdarza się bowiem — i to już na zakończenie naszego spotkania — że w naszym życiu wydarzają się rzeczy ważne, bardzo ważne, dziwne, znaczące, cudowne, ale bardzo szybko przyzwyczajamy się do tego, co jest, i puszczamy je w niepamięć. I wtedy też nie daje świadectwa o tym, czego Pan Bóg w naszym życiu i w życiu naszych bliskich dokonał. A przez to jak gdyby troszeczkę pomniejszamy Jego obecność w świecie. Warto więc spojrzeć na swoje życie, spojrzeć na to, co przeżyliśmy, i zauważyć, że we wszystkim, a w niektórych momentach szczególnie, był On wyraźnie obecny. I właśnie przez te pojedyncze epizody buduje się Jego obecność w człowieku i w świecie. I przez to wszystko buduje się również królestwo Boże.

Dlatego Ewangelia o królestwie Bożym to nie jest li tylko sprawa przeszłości. To jest sprawa, rzeczywistość, która jest głoszona w każdym pokoleniu.

Bardzo serdecznie państwu dziękuję za dzisiejszą uwagę. Mam na koniec jeszcze jedno do powiedzenia. Mianowicie w ostatnich tygodniach, dosłownie dwa tygodnie temu, ukazała się książka Benedykta XVI „Świadkowie Chrystusa, Apostołowie i uczniowie”. Jest to bardzo piękna i bardzo mądra książka. Ona zawiera 31 katechez papieża poświęconych najpierw tajemnicy Kościoła, następnie poszczególnym Apostołom — każdemu z osobna. Następnie uczniom i wyznawcom, o których mowa w Nowym Testamencie, także kobietom. Jeżeli ktoś z państwa zdecydowałby się tę książkę

nabyć, to radziłbym państwu żeby codziennie przeczytać po jednej katechezie, trzy stroniczki. Jest ich 31, czyli czytania na miesiąc. Tylko trzeba wziąć flamaster albo długopis, podkreślać sobie pewne myśli. Jest to wspaniała, mądra, piękna książka, która kieruje nas do początków chrześcijaństwa po to, byśmy zrozumieli na czym dzisiaj polega być świadkiem i uczniem Jezusa Chrystusa. Otóż Benedykt XVI te katechezy wygłosił w ubiegłym roku. Zostały zebrane i bardzo pięknie wydane. A ja miałem szczęście napisać do tego przedmowę. Wyjaśniam w niej nieco klucz do tych katechez, więc może też trzeba byłoby przeczytać. Natomiast nowością czy osobliwością jest też to, że papież odsyła do różnych tekstów biblijnych i po każdej katechezie te teksty biblijne są tutaj podane, są tutaj przytoczone. A więc książka nadaje się do takiego zimowego poczytania sobie, codziennie te dwie - trzy stroniczki, po jednej czy drugiej katechezie. Za pierwszym czytaniem nie jest łatwa, za drugim jest łatwiejsza. Za trzecim czy czwartym, kiedy tak sobie poczytamy, będą mieli państwo tutaj mnóstwo materiału do refleksji, do medytacji, a nawet do modlitwy. Nadaje się więc też na jakiś upominek dla osób, które prowadzą głębsze życie. Coś dla każdego, kogo te Boże sprawy interesują.

Dzisiaj dziękuję bardzo serdecznie. Życzę dobrych, błogosławionych, radosnych świąt Bożego Narodzenia. Życzę wszystkiego dobrego w nowym 2008 roku. Raz jeszcze powtórzę to, co chciałbym powiedzieć naprawdę gdzieś tam z głębi wnętrza: jestem bardzo wdzięczny za tę obecność, za to zasluchanie, za udział w tych konferencjach. I bardzo serdecznie życzę, żeby zbliżające się Święta przyniosły chociaż odrobinę tych treści, które rozważamy, o których mówimy. I żeby wniosły dużo dobra i ciepła również do życia rodzin państwa.

Następna nasza konferencja odbędzie się w drugi poniedziałek stycznia, tj 14 I. Zatem jeszcze raz wszystkiego dobrego i szczęść Boże! Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

## 4 Osiem Błogosławieństw (14 stycznia 2008)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór. Witam państwa bardzo gorąco na pierwszym spotkaniu po Nowym Roku, w roku 2008. Oby był dla nas wszystkich pomyślny i dobry. I w tej intencji pomodlimy się prosząc Boga by Jego błogosławieństwo nam we wszystkim towarzyszyło. W imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Drodzy państwo, bardzo serdecznie witam w nowym roku raz jeszcze. Cieszę się bardzo, że znów się spotykamy po świętach Bożego Narodzenia, po okresie noworocznym. Już tak na dobre nam się ten nowy rok zestarzał — to może za dużo — ale podróśl na pewno, bo mamy za sobą prawie połowę miesiąca stycznia. I wracamy do naszego spotkania z Chrystusem. I chcielibyśmy Chrystusa zobaczyć przy pomocy również Ojca Świętego Benedykta XVI. Tak bowiem umówiliśmy się w tym roku, podczas tych katechez, które teraz mamy, że będziemy czytali Ewangelie i będziemy przyglądali się Ewangeliom po to, żeby rozpoznać w nich Jezusa Chrystusa. Ale za przewodnika naszej drogi obraliśmy papieża, który jest następcą Jana Pawła II, obecnego papieża. Gdybyśmy szukali jakiegoś obrazu, jakiegoś klucza do tych konferencji, to można by powiedzieć tak. Biorąc Ewangelię do ręki, biorąc do ręki Nowy Testament, chcemy oczami wyobraźni — ale nie tylko, bo także oczami serca, i również poprzez rozum, poprzez intelekt, chcemy jak gdyby wmieszać się w tłum tych, którzy prawie 2000 lat temu słuchali Jezusa, którzy Go oglądali, którzy za Nim chodzili, którzy patrzyli na Niego. Możemy wyobrazić sobie, żeby na chwilę dać ujście marzeniom, że oto Jezus gromadzi przy sobie kilkaset osób tak, ile tu jest w tej chwili. I te kilkaset osób — a wiemy dobrze, że było ich przy Jezusie znacznie więcej, czasami tłumy sięgające wielu tysięcy — te kilkaset osób wsłuchuje się w to, co mówi Jezus, ogląda Jego cuda, idzie za Nim, zostawia wszystko, zwłaszcza tak jak Apostołowie i uczniowie. I wyobraźmy sobie, że oto jesteśmy w tym tłumie, albo jesteśmy w tej grupie i chcemy przysłuchać się uważnie temu, czego Jezus naucza.

I zadajemy sobie pytanie co w Jego nauczaniu jest takiego, co może nas porwać, że może nas zachwycić, że może nas zastanowić, że udało Mu się zdobyć tylu ludzi, do których przemawiał. Ale nie tylko zdobyć i pozyskać, ale wewnętrznie przemienić tak, że kiedy Go spotykali, zostawiali za sobą wszystko, co do tej pory mieli, i rozpoczynali zupełnie nowe życie. „Co takiego jest w nauce Jezusa?” — pytamy również i my po 2000 lat, i bierzemy do ręki Pismo Święte, i próbujemy je czytać. A towarzyszy nam w tym obecny papież. To jest sens tych katechez.

Dzisiaj weźmiemy za punkt oparcia jeden z tekstów z Ewangelii bardzo dobrze znany. Ale jak państwo wielokrotnie mogli się przekonać, to, co jest doskonale znane, nie zawsze jest doskonale rozumiane. Możemy wiedzieć więcej i więcej, natomiast rozumieć coraz mniej i mniej. Ten tekst, który dzisiaj stanowi przedmiot naszej refleksji — właściwie gdybyśmy zapytali każdą i każdego z państwa to myślę, że w dużej części moglibyście nawet na pamięć powiedzieć o co chodzi, wypowiedzieć tekst. Natomiast gdybyśmy mieli powiedzieć dlaczego właśnie ten fragment Jezusowego nauczania jest tak ważny, tak doniosły, tak piękny, dlaczego mamy pójść tą drogą — to myślę, że właśnie pod tym względem ta nasza wspólna refleksja jest bardzo potrzebna. Idziemy więc za papieżem. I posiłkując się także jego książką — przemyślaną, przetrwonioną, i oby również przeżytą — bierzemy dzisiaj za punkt oparcia Kazanie na Górze. A ponieważ to Kazanie na Górze zajmuje pełne trzy rozdziały w Ewangelii św. Mateusza, zatem byłoby za długie, abyśmy mogli je omówić w całości. Skupimy się na pierwszym elemencie Kazania na Górze, który bardzo dobrze znamy, mianowicie na Ośmiu Błogosławieństwach. Chciałbym, żebyśmy dzisiaj raz jeszcze z drugiej strony, tak jakby oczami papieża, przyjrzeni się tym Ośmiu Błogosławieństwom, próbowali zrozumieć te Błogosławieństwa i odpowiedzieć na pytania dlaczego i w jakim stopniu one dzisiaj dla nas pozostają drogą życia, i dlaczego Jezus nam Osiem Błogosławieństw pozostawił i jaka jest treść, czego od nas pragnie, co pragnie osiągnąć dając nam właśnie Osiem Błogosławieństw.

Zacznijmy jak zawsze od kontekstu bardzo szerokiego. Osiem Błogosławieństw ma swoje początki na terenie Galilei. Są wśród państwa osoby, i to w liczbie pewnie co najmniej kilku dziesiątków, które były w Ziemi Świętej. Kiedy więc za chwilę przeniesiemy się do rozważania Ośmiu Błogosławieństw, możecie zamknąć oczy. I doskonale państwo wiedzą, że Góra Błogosławieństw, która była miejscem, gdzie Jezus te Błogosławieństwa wygłosił, jest jednym z najpiękniejszych miejsc Ziemi Świętej. Oprowadziłem tam po Ziemi Świętej, i zawsze była w tym Galilea i Góra Błogosławieństw, do tej pory 48 grup. Zatem jest to jakieś doświadczenie. I mogę powiedzieć z czystym sercem, że

co najmniej 48 razy, przy każdej sposobności, wysłuchałem tych samych zwierzeń. Mianowicie że dla bardzo wielu uczestników pielgrzymek było to jedno z największych doznań, porównywalne z tym, co można przeżyć na Kalwarii, co można przeżyć przy pustym Grobie, co można przeżyć w Getsemani. Natomiast Góra Ośmiu Błogosławieństw to takie miejsce, gdzie człowiek siada – jeżeli tylko czas na to pozwala, patrzy przed sobą na Jezioro Galilejskie. Widać przed nami ponad 20 km. Widać góry Transjordanii, widać góry Galilei, widać tę taflę jeziora. Dookoła zielono, pięknie o każdej porze roku. To wszystko zadbane, słychać ptaki, mnóstwo kwiatów. Można by powiedzieć — w jakimś sensie raj na ziemi. Otóż to właśnie w tym miejscu Jezus wygłosił Błogosławieństwa, na które chcemy zwrócić dzisiaj uwagę. Myślę że każdy, kto tam był, ma w sercu jedną potrzebę. Tę mianowicie, że jeżeli można by tam raz jeszcze wrócić, to już nie na pół godziny czy na godzinę, nie na czas przeznaczony na mszę świętą, ale wrócić tam na dłużej, na przykład na rekolekcje albo na jakiś dzień skupienia, na osobiste przeżycie tego spotkania z Chrystusem, gdyby to marzenie spełnić się mogło, to bardzo wielu chrześcijan byłoby zadowolonych.

Przenieśmy się więc na Górę Ośmiu Błogosławieństw. Ci z państwa, którzy tam byli, oczami pamięci, ci z państwa, którzy tam nie byli, oczami wyobraźni. Ale będziemy zwracać uwagę teraz nie tyle na krajobraz zewnętrzny, na geografę, topografię tego terenu, ile zwrócimy uwagę na krajobraz wewnętrzny. A więc zwrócimy uwagę na to, co duchowe, co głębokie, co wewnętrzne, co może się nam przydać w życiu, co powinno pozostać jako pamięć tego Kazania na Górze i Góry Ośmiu Błogosławieństw.

Zatem Galilea. Otóż Galilea nie cieszyła się dobrą opinią w czasach Jezusa z tego powodu, że w Galilei mieszało sporo pogan. Dlatego kiedy Jezus udał się do Jerozolimy, i kiedy tam przebywał w okresie wielkich świąt żydowskich, to mieszkańcy Jerozolimy zadawali sobie pytanie: Może być coś dobrego z Galilei? Galilea źle się kojarzyła. I tutaj już dotykamy pierwszej sprawy, pierwszej rzeczywistości, która w Ośmiu Błogosławieństwach daje wyraźnie znać o sobie. Pan Bóg, który objawia siebie w osobie Jezusa Chrystusa, Jezus, który usiłuje pozyskać ludzi do Bożej drogi życia, Jezus naucza w miejscu, co do którego istniały złe skojarzenia. Stał się człowiekiem, ale takim człowiekiem który, można by powiedzieć, schodzi na samo dno ludzkiej egzystencji. Idzie tam, gdzie inni pójść nie chcą. Państwo pamiętają z Ewangelii wiele takich fragmentów, gdy miano Jezusowi za złe, że udaje się do grzeszników, udaje się do faryzeuszów co do których istniała wtedy daleko idąca podejrzliwość, że pozwala podejść do siebie blisko kobiecie cudzołożnej, pozwala, żeby ocierała mu stopy swoimi własnymi włosami, pozwala, żeby wylewała olejek. „Gdyby wiedział” mówili niektórzy „kim jest ta kobieta, to by nie pozwolił tego robić”. A więc takich, którzy gorszyli się Jego postawą, było sporo. A On okazywał miłosierdzie każdemu człowiekowi. I również Jego obecność na terenie Galilei, i nauczanie przez trzy lata na terenie Galilei, to jest nic innego, jak znak miłosierdzia dla tych ludzi, którzy w ówczesnej Palestynie byli pogardzani i zepchnięci na margines. Spodziewano się, że ważna jest Jerozolima. Oczekiwano, że to, co najważniejsze, musi rozegrać się w Jerozolimie. A Jezus właśnie w Galilei! Z Galilei czyni centrum swojego nauczania i czyni centrum swojego przepowiadania i swojej działalności. I czytamy w Ewangelii św. Mateusza takie słowa (Mt5,1):

Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę.

Mamy tutaj jak gdyby dwa punkty odniesienia. Jezus widzi tłumy Te „tłumy”, po grecku jest takie słowo [ochloj], ono zawsze znaczy tysiące ludzi. Tłum to taka liczba ludzi, której nie sposób bardzo szybko policzyć. Więc Jezus widzi tłumy. I ze względu na te tłumy idzie na górę. Być może po to, żeby być lepiej widocznym. Być może po to, żeby być lepiej słyszany. Ale być może po to, żeby ogarnąwszy wzrokiem jak największą liczbę ludzi do nich skierować swoje nauczanie.

Nauczanie Jezusa, nauczanie Ośmiu Błogosławieństw, jest adresowane do wszystkich. Nie jest tak, że ta droga życia, chociaż jest bardzo wzniosła i bardzo trudna, zastrzeżona jest tylko dla niektórych. Mówi się czasami, że Ośmiu Błogosławieństw to jest droga życia dla osób konsekrowanych, dla zakonników, dla zakonnice, może dla kapłanów. A więc dla tych, którzy poświęcili się służbie Bożej. Natomiast przeciętny chrześcijanin jest niezdolny do tego, żeby pójść drogą Ośmiu Błogosławieństw. Nic bardziej błędnego!

Droga Ośmiu Błogosławieństw jest dla wszystkich bo Jezus, głosząc te Błogosławieństwa, uczając, miał przed sobą tłumy! Z całą pewnością mogą sobie to państwo wyobrazić, że w sta-



rożytności nie było głośników, nie było mikrofonów, nie było nagłośnienia. Jeżeli Jezus nauczał, robił to pewnie pod wieczór, albo nawet wieczorem. Wtedy głos rozchodzi się dalej, jest bardziej donośny. Ale możemy się domyślać, że było tak, że oto Jezus nauczał a ci ludzie, którzy siedzieli bliżej, powtarzali Jego słowa tym, którzy siedzieli dalej. I tak trwał taki swoisty dialog, swoista rozmowa tego, który uczy, z tymi, którzy słuchają.

I wyszedł na górę.

Wychodząc na górę jest jak Mojżesz, bo i Mojżesz przecież spotkał Pana Boga na Górze. To góra Synaj, którą też część z państwa widziało. Natomiast są wśród państwa tacy, którzy mieli szczęście również na niej być i doświadczyć tego trudu Mojżesza wchodzącego na górę Synaj. Górę Synaj leży dzisiaj na terenie Egiptu, Góra Błogosławieństw na terenie północnego Izraela. Jezus chce przez to powiedzieć, że oto daje Prawo Nowe, nową drogę życia która nie usuwa tego, co Bóg dał ludzkości na Synaju, nie usuwa Dziesięciu Przykazań, lecz Dziesięć Przykazań Bożych zakłada. Oto do Dziesięciu Przykazań Bożych dochodzi coś więcej niż to, co było do tej pory. I na czym polega to więcej?

Co nam chce powiedzieć Jezus dając te Ośmiem Błogosławieństw? Na czym polega ta nowość nauczania Jezusa? Jest jak Mojżesz, to prawda. Ale proszę zwrócić uwagę, że w tych prostych słowach „Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę” Jezus również przemienia, znacznie poszerza, pojęcie narodu Bożego wybrania. W Starym Testamencie narodem Bożego wybrania był Izrael, pozostawał Izrael, Izraelici, którzy stawiali się narzędziem Bożego działania. Jezus już nie czuwa by tymi, którzy Go słuchają, byli przede wszystkim Izraelici. Na pewno było ich najwięcej. Ale słuchaczem Jezusa i tym, który odpowiada na Jego wezwanie, może być każdy człowiek. W ten sposób już za swojego ziemskiego życia Jezus dokonuje poszerzenia narodu Bożego wybrania. Nie zastępuje tamtego wybrania, ale je poszerza. Bóg, który związał się z Izraelitami, związał się z nimi miłością nieodwracalną. Pomiędzy Bogiem a Izraelem nie jest tak, jak pomiędzy mężczyzną i kobietą, którzy zawierają małżeństwo, a następnie jedno z nich decyduje się na rozwód. Miłość Boga jest nieusuwalna. Nawet jeżeli Izraelici byli niewierni Bogu, co zdarzało się wielokrotnie, to Pan Bóg pozostaje wierny samemu sobie. Nawet kiedy oni się sprzeniewierzali, i to wielokrotnie, Bóg pozostał wierny swoim obietnicom. Można by powiedzieć tak: Bóg nie zawsze spełnia nasze zachcianki. Ale zawsze jest wierny obietnicom, które nam dał. I to jest właśnie istota tego wybrania.

Zatem krąg tych, do których Jezus adresuje swoje nauczanie, jest znacznie szerszy niż krąg wiernych Starego Testamentu. Otóż Stary Testament zaczyna jak gdyby pękać w szwach. Ten lud Bożego wybrania staje się szerszy, pojemniejszy, większy niż do tej pory. Dzięki temu do tego ludu Bożego wybrania należymy również i my. Nie dlatego, żeby Bóg tamtej miłości zaprzestał — bo to jest jedna i ta sama miłość. Ponieważ Bóg jest wierny wobec Izraelitów, to jest wierny również i wobec nas. Mówiliśmy kiedyś, że my możemy Bogu się sprzeniewierzać, możemy grzeszyć, my możemy deptać Jego przykazania, deptać Jego wolę. Ale On jest zawsze wierny, a więc mamy do kogo wracać. A więc możemy się nawracać i nigdy nie jest tak, że Bóg powie nam «Dość!» I dalej Ewangelista napisał:

A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie.

Jezus siedzi — tak jak starotestamentowi prawodawcy, jak Mojżesz, jak rabini, jak wielcy nauczyciele, którzy i w starożytności i po dzień dzisiejszy nauczają. Otóż nauczanie z autorytetem w świecie semickim, Bliskiego Wschodu, odbywa się nie na stojąco tak, jak my to teraz mamy, ale odbywa się na siedząco, i tak było również w pierwotnym Kościele. Państwo wiedzą, że biskup, który naucza, który głosi, który przepowiada Ewangelię — mówi się o takim biskupie czy o papieżu, że naucza *ex cathedra*. Co znaczy *cathedra*? *Cathedra* po łacinie to przede wszystkim krzesło, fotel, coś do siedzenia. A więc ten, który naucza *ex cathedra*, to ten, który siada. I właśnie przez to, że siedzi, jest to postawa, jest to gest który u innych wymaga uwagi i jednocześnie wzmaga autorytet.

Jezus więc siada. A najbliżej Niego Jego uczniowie. Nauczanie Jezusa będzie adresowane do wszystkich. Ale tymi, którzy je słyszą jako pierwsi, i tymi, którzy mają je podać i przechować, ale także tymi, którzy mają je wypełniać i czynić, tymi ludźmi są Jego uczniowie. Być uczniem Jezusa Chrystusa to znaczy być człowiekiem Ośmiu Błogosławieństw. Zaraz zobaczymy co to znaczy. Hasłem tego roku liturgicznego są słowa: „Bądźmy uczniami Chrystusa”. Otóż podczas tego

nauczania na Górze Błogosławieństw uczniowie siedzą najbliżej po to, żeby patrzeć jak najlepiej, słuchać jak najuważniej, ale także po to, żeby wypełniać. Jezus bowiem nie tylko naucza ale, jak to wielokrotnie mówiliśmy, również uzdalnia do tego, żeby Jego słowa przyjąć i żeby Jego słowa wypełniać. Jezus nie jest nauczycielem, który chce wtłoczyć w głowy uczniów i słuchaczy jakąś wiedzę. Jezus jest drogowskazem który chce żeby ci, którzy Go słuchają, nie tylko wiedzieli więcej, ale co ważniejsze, żeby żyli inaczej. Jezus podaje drogę życia. I ci, którzy siedzą najbliżej, mają obowiązek przyjąć ją i wykonywać jako pierwsi. Nie tylko chronologicznie, ale przede wszystkim mają stawać się świadkami tej drogi. To właśnie Apostołowie i uczniowie zadbali o to, żeby Błogosławieństwa zostały zapamiętane, żeby były powtarzane. Najpierw tam, w kontekście Palestyny, a później po śmierci i Zmartwychwstaniu Chrystusa te Błogosławieństwa szły tak jak Ewangelia po całym starożytnym świecie. A wreszcie zostały zapisane w Ewangelii wg. św. Mateusza.

Mateusz kierował swoją Ewangelię przede wszystkim do nawróconych Żydów. Do tych, którzy będąc z urodzenia Żydami, stali się wyznawcami Jezusa Chrystusa. I dla nich analogia między Mojżeszem a Jezusem była oczywista. Oczywista była również analogia między górą Synaj a Górą Błogosławieństw. I także oczywista była analogia, która w tradycji Starego Testamentu miała takie bardzo silne zakorzenienie. Mianowicie to wszyscy Izraelici byli pod Synajem — niezależnie od czasu, kiedy przyszli na świat. A więc i wszyscy wyznawcy Jezusa Chrystusa są pod Górą Błogosławieństw — niezależnie od tego, w jakim pokoleniu żyją. Dlatego, że Błogosławieństwa do nas docierają, i dlatego, że mają nas przemieniać, ubogacać, i sprawiać, żebyśmy stawali się takimi właśnie nowymi ludźmi. I dalej (Mt5,2):

Wtedy otworzył swoje usta i nauczał ich tymi słowami:

„Otworzyć swoje usta” — to znaczy mieć do powiedzenia coś ważnego, coś istotnego. Mamy tutaj również słowo „nauczał”. Naucza się po to, żeby to zostało zapamiętane. Jezus nie „mówi” — tylko „naucza”. Jeżeli nauczamy, to właśnie dlatego, żeby to zostało zapamiętane, podjęte i wypełniane. Jezus jest nie tylko nauczycielem, ale Jezus jest również Odkupicielem, że już użyjemy tutaj tej formuły, to znaczy tym, który daje siłę do tego, by te Błogosławieństwa podjąć, przyjąć, wypełniać.

Skoro tak, to przejdziemy do Błogosławieństw. Jezus jest nowym Mojżeszem. Siedzi, można by powiedzieć, na nowym Synaju. Ten nowy Synaj to Góra Błogosławieństw. I proszę niech państwo przez chwilę się zastanowią, każdy sam, osobno. Jeżeli komuś uda się dojść do tego, możecie być z siebie słusznie dumni. Proszę odpowiedzieć sobie na takie pytanie: Do kogo można odnieść następujące słowa. Gdybyśmy chcieli te słowa Błogosławieństw skumulować, ułożyć w jeden ciąg, i gdybyśmy chcieli odpowiedzieć na pytanie: Kto jest takim człowiekiem, o którym można powiedzieć, że jest ubogi w duchu i smuci się, jest cichy, łaknie i pragnie sprawiedliwości, jest miłosierny, jest czystego serca, wprowadza pokój i cierpi prześladowania dla sprawiedliwości? Do kogo można to odnieść? Czyż nie przychodzi nam do głowy, że taki właśnie jest Jezus Chrystus? Otóż to, co mamy w Błogosławieństwach, te przymioty, które nam daje, to jest, można by powiedzieć, biografia Jezusa. On taki jest. Taki był jako człowiek, taki pozostaje jako Bóg. Wszystkie te przymioty Go dotyczą.

Zwróćmy uwagę, że gdybyśmy chcieli to powiedzieć mądrym teologicznym językiem, to moglibyśmy powiedzieć, że te Błogosławieństwa mają silną, ogromną wymowę chrystologiczną, to znaczy ukazują nam Chrystusa. Czy państwo nie pamiętają, że kiedy odmawiamy Litanię do Najświętszego Serca Pana Jezusa, to wiele z tych przymiotów tam jest? Jezu cichy i pokornego serca — modlimy się — uczyn serca nasze według Serca Twego. Otóż te Błogosławieństwa odkrywają nam kim jest Jezus. A ponieważ Jezus to jest prawdziwy człowiek, tak jak my, i prawdziwy Bóg, to te Błogosławieństwa, same te przymioty odkrywają nam kim jest Bóg. Kim jest Bóg w spotkaniu z człowiekiem. Okazuje się, że wielkością Boga jest jego pokora i jego uniżenie. Że mocą Boga jest jego upokorzenie i jego słabość. Na tym polega paradoks Boga, przeciwko któremu często ludzie się buntują. Paradoks, którego ludzie nie chcą przyjąć. Bo ludzie chcą sobie wyobrażać Boga, także ci, którzy w Boga wierzą, na nasz ludzki sposób. Bo mieć władzę to znaczy rządzić. Być silnym to znaczy decydować o losach innych. Być mocnym to znaczy przywracać sprawiedliwość na nasz sposób. Być potężnym to znaczy nie pozwolić, by ktoś inny zajął nasze miejsce. We wszystkim, co mówimy o sprawach wielkich, dochodzi do głosu nasza pycha, nasz egoizm, nasza żądza wielko-

ści. Tak, jak my to pojmujemy, i przenosimy to na Boga. Nam się wydaje, że Pan Bóg powinien natychmiast karać tych, którzy są źli. Powinien natychmiast wynagradzać tych, którzy są dobrzy. Powinien zaprowadzić porządek w świecie, żeby wszystko było klarowne tak, jak zaprowadzają to nieraz ludzie – do czego za chwilę wrócimy.

Tymczasem Jezus w Błogosławieństwach ukazuje nam drogę życia, która burzy wszystkie ludzkie schematy. Dlatego Błogosławieństwa są czymś tak trudnym — nie dlatego, żebyśmy ich nie rozumieli. Tylko one są trudne, bo rozumiemy je aż nadto dobrze. Aż nadto dobrze rozumiemy, o co w nich chodzi, i dlatego buntujemy się przeciwko tej treści. Moglibyśmy nawet powiedzieć, że chcemy bronić Boga przeciwko Jemu samemu. Chcemy ocalić taki obraz Boga, jaki istnieje w naszych głowach. A nie chcemy, nie życzymy sobie, żeby Bóg – i w osobie Chrystusa również – był upokorzony, cichy, pokorny, nieznany do tego stopnia, do jakiego mowa tutaj jest w Błogosławieństwach. Zaraz przejdziemy do każdego z nich z osobna.

Ale państwo zwróć uwagę, że w tych Błogosławieństwach, w tym losie Jezusa, w biografii Jezusa, który jest ubogi w duchu, smutny, cichy, łaknie i pragnie sprawiedliwości, jest miłosierny, jest czystego serca, wprowadza pokój i cierpi prześladowania, w tej biografii Jezusa widać już cień Krzyża. Sedno tego, ten drogowskaz, prowadzi do Krzyża. On prowadzi już do Jerozolimy. Tam w Jerozolimie dopełni się to wszystko, zwłaszcza ostatnie Błogosławieństwo: którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości. Te Błogosławieństwa dotyczą tej strony w ludzkiej egzystencji Jezusa, która zmierza w kierunku Krzyża. W kontekście świąt Bożego Narodzenia przy jakiejś okazji powiedzieliśmy tak. W Betlejem rodził się Jezus. Śpiewali aniołowie. Najświętsza Maria Panna przyjmowała Go z miłością. Józef otaczał Go swoją czcią. Pasterze oddawali Mu hołd. Przybyli nawet mędrcy, żeby Go uznać. A więc mamy obraz, który doskonale znamy z naszych polskich kołęd. Ale w tym czasie rosło już drzewo na Krzyż Jezusa, już to drzewo było z pewnością zasadzone. Może już było bardzo duże i gotowe do tego, żeby ciężar ciała Jezusa przyjąć. Kiedy Jezus uczy w Galilei, kiedy Jezus uczy na Górze Błogosławieństw, to drzewo, na którym miał zawisnąć, było już z pewnością gotowe. Jezus naucza, a to drzewo rośnie. Taki jest ludzki los, taki jest obraz ludzkiego życia. Nigdy nie wiemy co nas czeka. Nigdy nie możemy być pewni że to, co przeżywamy, co jest wzniosłe, wielkie, radosne, wspaniałe, że to będzie wieńczyło nasz los. Zawsze gdzieś już to drzewo krzyża rośnie i któregoś dnia komuś z nas przyjdzie przez ten los przejść.

I Jezus ukazuje tę właśnie drogę. Drogę dla ludzi, dla każdego człowieka, która dotyczy tych ciemniejszych, trudniejszych, bardziej mrocznych stron naszego życia. Oto jest sens tych Błogosławieństw, zanim przeczytamy jeszcze każde z nich z osobna. Błogosławieństwa chcą nas przygotować do przeżywania tego, co w życiu jest zazwyczaj trudne, od czego człowiek ucieka, czego sam nie jest w stanie przyjąć, czego unika. Jezus nie mówi nam: „Nigdy nie będziecie smutni, nigdy nie dojdziecie sprawiedliwości, nigdy nie doznacie miłosierdzia itd.” Jezus nam mówi: „Wszystko to będzie waszym udziałem, stanie się udziałem człowieka. Ale jest sposób na to, żeby to przeżyć. Skoro nie da się uniknąć, to trzeba przyjąć i przeżywać z Bogiem. I właśnie na tym polega sedno Błogosławieństw. Jeżeli chcemy je zrozumieć, to musimy sięgnąć do tego światła, które od Pana Boga pochodzi.

Komentarzy do Błogosławieństw są dziesiątki. Bardzo wiele z nich w gruncie rzeczy nie mówi nic istotnego. Ojciec Święty Benedykt XVI podał do Błogosławieństw komentarz pod każdym względem przydatny i pod każdym względem znakomity. Mianowicie papież powiedział tak. Jeżeli chcecie zrozumieć Błogosławieństwa, cofnijcie się do Starego Testamentu, do Psalmu 1, a Psalm 1 wyjaśnia co to znaczy „błogosławieństwo”. Tam po hebrajsku jest słowo [aszrej], *błogosławieni*, a początek Psalmu 1 brzmi tak: „Błogosławiony, kto zaufał Panu”. Otóż Błogosławieństwo to zwiążanie swojego życia z Bogiem i zaufanie Panu Bogu. Błogosławieni czyli szczęśliwi są ci, którzy w życiu nigdy nie są samotni, gdzie w ich życiu obecny jest Pan Bóg. Uczynić w swoim życiu miejsce dla Boga to znaczy odczuć rodzaj szczęścia, rodzaj pomyślności, rodzaj spokoju, jakiego nie jest człowiekowi nic innego w stanie dać. Bóg odpowiada na głód, który jest najgłębszym głodem naszej duszy. Błogosławiony, kto zaufał Panu i chodzi Jego drogami. Zaufać Panu i podjąć Jego drogę życia. Oto droga ludzi, którzy zwiążawszy z Bogiem swoje życie odnajdują swój nowy sens i cel w życiu.

Jeszcze jedna uwaga, zanim przejdziemy do poszczególnych błogosławieństw. Kiedy będziemy słuchać drugiej części każdego Błogosławieństwa to nagroda, która czeka za spełnianie Błogosła-

wieństw, to jest zawsze nagroda w życiu po śmierci, w życiu przyszłym. Tymczasem ludzie są niecierpliwi. Mało tego, ludzie są podejrzliwi. Nie zabrakło takich, którzy jak Marks w XIX wieku mówili, że religia to jest opium dla ludu. Dlatego lud powinien wziąć sprawy w swoje ręce i już teraz na ziemi zaprowadzić pokój, porządek, sprawiedliwość, równość, braterstwo. Natomiast to, co po śmierci, to nas – jak mówił – nie interesuje, albo być może tej przyszłości wcale nie ma. Otóż na tym polega różnica między religią a ideologią. Religia ukierunkowuje nas zawsze ku przyszłości zamierzonej przez Boga. Religia powiada: wyszedłeś z ręki Boga, jesteś jego stworzeniem i dzieckiem. Zatem Ten, kto cię stworzył, przeznaczył cię do życia ze sobą. Tak, jak masz swój doczesny początek, tak również masz swój doczesny koniec. Ale ten koniec nie jest końcem bezwzględny. Bo Bóg przeznaczył nas dla siebie. Zatem to, co przeżywamy teraz, to jest doczesność, która jest elementem wieczności. Nie możemy jej sobie wyobrazić ale wiara w Boga, zawierzenie Panu Bogu, ukierunkowuje nas zawsze ku tej wieczności, która jest darem Boga, bo oznacza wszczęcie w Jego życie.

Ideologia mówi inaczej. Wszystko, co mamy do zaoferowania, jest na tym świecie. Zatem na tym świecie trzeba dochodzić sprawiedliwości, pokoju. Pamiętają państwo przewrotne hasło: „Walka o pokój”. Żeby pokój osiągnąć, to trzeba walczyć. W związku z tym żniwo, jakie zbierają ideologie, śmierć, którą za sobą niosą — zdarza się, że jest to śmierć setek tysięcy i milionów ludzi. Chcąc zbudować raj na ziemi ideologia, a na jej usługach polityka, idzie po trupach. Bo chce usunąć wszystkich, którzy do tego rajy nie pasują, którzy do tego rajy nie przystają. Mielśmy ideologie w XX wieku, i to takie, jakich nigdy przedtem ludzkość nie znała. Można by te ideologie wymieniać: brunatna czyli narodowo - socjalistyczna, czerwona czyli komunistyczna, żółta czyli na Dalekim Wschodzie, które pochłonęły ok. 100 milionów ludzkich istnień. Sto milionów! Czym to się skończyło w różnych częściach świata — i my Polacy tego żeśmy dobrze doświadczali, zwłaszcza w połowie XX w.

To jest ideologia. Religia kieruje człowieka ku Bogu i ku życiu, które On obiecuje i które z pewnością nam da. Ideologia chce zamknąć wszystko w ramach tego świata. Ktoś mógłby jednak powiedzieć tak: Czy to nie za ciężko wypatrywać życia, które przyjdzie? Czy to nie za ciężko wypatrywać życia, które będzie po tamtej stronie bramy, której kształtu też nie znamy? Czy Pan Bóg nie mógłby trochę przyspieszyć swojej nagrody? Czy nie mogłoby być tak, żebyśmy już teraz doznali pożytków z Błogosławieństw? Otóż ci wszyscy, którzy przyjmują Błogosławieństwa i wypełniają je, którzy idą drogą Błogosławieństw, po pierwsze odczuwają już światło wieczności. A po drugie właśnie to, że odczuwają blask wieczności, to zupełnie inaczej wygląda ich życie doczesne. Oni już w tym życiu doświadczają mocy, mądrości i dobroci Bożej. Otóż drogą Ośmiu Błogosławieństw idą święci! To oni są najlepszymi komentatorami, egzegetami Ośmiu Błogosławieństw. To oni są najlepszymi komentatorami Pisma Świętego. Człowiek, który żyje w przyjaźni z Bogiem, wie o Bogu najwięcej i już teraz odczuwa pożytki z tego bliskiego obcowania z Bogiem. Bóg nie tylko się do nas zbliża, ale Bóg się nam udziela. Jeżeli ktoś zrozumie i przyjmie tę prawdę, że warto przyjąć drogę Błogosławieństw i trzeba zaufać Bogu, wtedy ten ktoś zobaczy, że jego życie nabiera zupełnie innego kształtu. Że w tym, co przeżywa dzisiaj, zaczyna już oglądać tak, jak zza firanki czy zza zasłony, tak jak gdyby trochę uchylonej, kształt wieczności. Dlatego ludzie prawdziwie dobrzy — ja nie używam tutaj słowa „święty” dlatego, że nie chcę robić wrażenia, że chodzi tylko o świętych z kalendarza liturgicznego — osiągnają w swoim życiu taki stan, w którym to życie jest tak, jak dojrzałe zboże, tak, jak dojrzała roślina, jak dojrzały owoc. Że kiedy patrzymy na ten owoc, który jest jeszcze na drzewie, to widzimy, że on jest gotowy by bez żalu powierzyć się tym, którzy chcą go skosztować. I z człowiekiem jest podobnie. Jeżeli człowiek zawierzy Panu Bogu: „Błogosławiony, kto zaufał Panu i kto chodzi Jego drogami”, to pewnego dnia wchodzi na taką drogę życia, która już teraz czyni go uczestnikiem wieczności. Nie da się tego wyjaśnić, nie da się tego zracjonalizować, nie da się tego wytłumaczyć, nie da się tego osiągnąć w jednej chwili, chyba że ktoś przeżyje jakiś cud nawrócenia. Ale najlepszym komentarzem do czytania Pisma Świętego są zyciorysy świętych. Najlepszym komentarzem do Ośmiu Błogosławieństw są odejścia tych, którzy mówią: „Pozwólcie mi odejść do mojego Ojca”. Otóż świętość przynosi swoje owoce już teraz i Błogosławieństwa mają zatem podwójne odniesienie. Jedno — ku życiu przyszłemu, a drugie — ku nadaniu sensu i kierunku temu życiu.

Przyjrzymy się zatem każdemu z Ośmiu Błogosławieństw. Oczywiście bardzo krótko, bo nie ma po pierwsze na to czasu, a po drugie chcemy dzisiaj ogarnąć to taką pewną syntezą. Pierwsze brzmi tak (Mt5,3):

Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Musimy znów te słowa zrozumieć tak, jak rozumiał je Ten, który je wypowiadał, i jak rozumieli Go ci, którzy Go słuchali po raz pierwszy. W języku hebrajskim, gdybyśmy chcieli przełożyć ten fragment Nowego Testamentu na język hebrajski, brzmiałoby to [aszej anawim], *błogosławieni anawim*. To [anawim] tłumaczymy *ubodzy w duchu*, nasz język polski nie ma tutaj bardzo dobrego odpowiednika. O kogo chodzi? W dziejach biblijnego Izraela byli tacy, którzy cieszyli się splendorem, uznaniem, autorytetem, przywódcy świeccy i przywódcy religijni – tak jak dzisiaj. Umieeli chodzić koło swoich spraw i umieli je załatwiać. Potrafili zadbać o swoje interesy i potrafili tak żyć i opływać we wszystko, że nie tęskno im było do życia darowanego przez Boga. Także dla wielu ludzi dzisiaj lepiej byłoby, gdyby Bóg nie istniał. Niebo nie jest czymś, za czym tęsknią, bo wydaje im się że to, co chcieliby naprawdę mieć, to mają już teraz. Ale obok tych, takich którzy – można by powiedzieć – po ludzku się spełniali, były takie masy ludzi, które pozostawały na marginesie — biednych, wykorzystywanych, spychanych, niedocenionych, niezauważonych. Nazywano ich [akaares], czyli tacy pospolici wieśniacy. I ci byli tymi [anawim]. Zwróćmy uwagę — myślę, że to jest dobra ilustracja. Kiedy Jezus urodził się w Betlejem, to król Herod się przeraził. A kto przywitał Jezusa? Zwyczajni pasterze. To byli ci ubodzy w duchu. Ci, którzy umieli się i chcieli się otworzyć na działanie Boże takie, jakie ono w gruncie rzeczy jest. I do dnia dzisiejszego są tacy, którzy unikają Pana Boga bo boją się, że to ograniczy ich władzę, że to ograniczy ich wpływy, że przykazania ich skrepują a sam Pan Bóg im zagraża. Dlatego Bóg udziela się tym, którzy umieją uczynić dla Niego miejsce w życiu, którzy są jak Maryja, jak Józef, jak Zachariasz, jak Elżbieta, jak starzec Symeon o którym będzie wkrótce mowa, jak prorokini Anna, jak pasterze. A więc idą tą drogą, tą drogą ludzi, którzy zdają sobie sprawę z tego, że człowiek, aby w pełni być sobą, nie może na sobie polegać. Sam sobie nie wystarczy. Że potrzebny jest Bóg. Do takich bowiem „należy królestwo niebieskie”.

Nagrodą za otwarcie się na Pana Boga, na głód Boga, na potrzebę Boga jest to, że Pan Bóg się takiemu człowiekowi udziela. I że prosty człowiek może odnaleźć i rozpoznać Pana Boga, a przez to również zobaczyć takie wymiary swojego życia co do których do tej pory nie był pewny, że one w ogóle mogą istnieć. Nagrodą za takie otwarcie jest to, że Bóg nam udziela samego siebie.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

A papież napisał tak. Dwa są powody smutku, dwie są okoliczności. Jeden to jest smutek taki, kiedy człowiek stracił nadzieję na to, że może być lepiej albo na to, że może być inaczej. I straciwszy nadzieję traci poczucie sensu. Straciwszy nadzieję traci również poczucie kierunku w swoim życiu i wartości w życiu. Papież napisał: obrazem takiego smutku, który stracił nadzieję, może być na kartach Pisma Świętego Judasz. A ponieważ Judasz nie spotkał nikogo – mówiliśmy o tym kiedyś – który by mu przyszedł z pomocą, to siostrą beznadziei jest rozpacz. A rozpacz popycha człowieka nawet do tego, że targnie się na swoje życie. Pamiętamy, że kiedy Judasz przyszedł do arcykapłanów i powiada: „Zgrzeszyłem, przelałem krew niewinną” to oni mu odpowiedzieli: „A co nas to obchodzi! To twoja sprawa.” Rzucił 30 srebrników tak, że tam zabrzęczały na dziedzińcach arcykapłańskiego pałacu, poszedł i powiesił się. Bywa, że i dzisiaj ludzie, którzy chcieliby zawrócić ze swojej drogi, którzy są smutni – właśnie dlatego, że tracą nadzieję – słyszą dokładnie to samo: „A co nas to obchodzi! To twoja sprawa.”

I jest drugi rodzaj smutku. Ten mianowicie, który rodzi nadzieję, który budzi nadzieję. Imieniem tego smutku jest żal. Oto człowiek ogląda się w swoją przeszłość, oto ogląda się na swoje życie, obejmuje to wszystko spojrzeniem – zwłaszcza to, co w tym życiu było najtrudniejsze i mroczne. I z tego spojrzenia rodzi się nadzieja, że skoro Bóg jest po naszej stronie, to może być zupełnie inaczej. Ta nadzieja wyciska człowiekowi łzy z oczu. Smutek, któremu towarzyszą łzy. Ale wiemy dobrze, że te łzy to są łzy Piotra. Że one mogą być początkiem czegoś nowego dlatego, że człowiek, który żałuje, ten człowiek już jest po Bożej stronie i wchodzi na nową drogę. Więc: „Błogosławieni, którzy

się smuć, bo oni będą pocieszeni.” Każdemu, kto wyraża skrucę przed Bogiem, Bóg odpowiada, nie odrzuci nikogo. „Choćby wasze grzechy były czerwone jak szkarłat” — czytaliśmy w Księdze Izajasza w Starym Testamencie — „nad śnieg wybieleją”.

Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię.

W czasach Starego Testamentu też nie zabrakło takich, którzy cichymi być nie chcieli. Izraelici szli do Ziemi Obiecanej, i dopominali się o nią siłą. Wymagali na Panu Bogu, by wreszcie im ją dał. A kiedy weszli do Kanaanu, przelali tam niemało krwi, by ją przejąć. Ten starotestamentowy paradygmat powtarza się niestety i dzisiaj. A oto Jezus proponuje drogę nową, Nie drogę dochodzenia głośnego swoich praw, ale drogę cichości i uniżenia, drogę pokory. A nagroda, którą obiecuje, to jest ziemia. Ale już nie jeden skrawek ziemi, jakieś jedno terytorium, nie jedna Ziemia Obiecana, choćby tak piękna jak Ziemia Święta, ani nie jedna Ziemia Obiecana, choćby tak piękna jak Łódź, którą kiedyś budowano — pamiętamy z powieści i filmu „Ziemia Obiecana”. Nie jedna Ziemia Obiecana tak jak Stany Zjednoczone, do której miliony ludzi ciągnęły, aby szukać tam i znaleźć lepszą przyszłość. Tylko cichość, do której wzywa Chrystus, sprawia, że człowiek wszędzie czuje się dobrze. Bo jego ziemia to jest od morza do morza, od rzeki aż po krańce ziemi. Wszędzie tam, gdzie jest człowiek dobry, ziemia jest mu przyjazna. Czuje się dobrze i czuje się u siebie. Już nie musi polegać na jednym terytorium, na jednym skrawku. Nie chodzi o doczesność ale chodzi o to, że dla ludzi dobrych i ziemia staje się przyjazna.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyćeni.

Paradoks na tym polega że ludziom wydaje się, że na straży sprawiedliwości stoi prawo. I tak być powinno. Wołano już w starożytności, a to przeniesiono na budynek sądów na dawnej Świerczewskiego a obecnie Al. Solidarności, że „najwyższym prawem dobro Rzeczypospolitej”. Ale ktoś, kto przygląda się prawu i prawnikom, przy całym szacunku dla tych z nich, którzy myślą i żyją inaczej, dobrze wie, że celem prawa wcale nie jest sprawiedliwość. Widać to doskonale w ostatnich latach w Polsce. Bo celem prawa jest tworzenie takiego systemu w którym ci, którzy go dobrze znają, mogliby się biegle i sprawnie poruszać. W Stanach Zjednoczonych widać to aż nazbyt dobrze. Można za jedno i to samo wykroczenie być albo przykładowo ukaranym na 800 lat więzienia albo otrzymać siedem wyroków śmierci, albo można cieszyć się uznaniem pod warunkiem, że włoży się miliony dolarów w obronę. I nie szukając gdzie indziej, na świecie jest zupełnie podobnie. Prawo nie gwarantuje sprawiedliwości. Kiedy zapytamy prawnika czy idąc do sądu broni swojego klienta, bo chce dochodzić sprawiedliwości, albo wydaje wyrok, bo to ma być wyrok sprawiedliwy, odpowiedź jest zawsze jedna: Nie, wyrok ma być zgodny z prawem!

Dlatego już w Starym Testamencie były bardzo surowe słowa proroków pod adresem tych, którzy układają złe prawa. Takich przykładów nie brakuje i dzisiaj. Jezus nie mówi: „Błogosławieni ci, którzy postępują według prawa”, Jezus mówi: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości”. A pragnienie sprawiedliwości może się obracać przeciwko systemowi prawnemu, jaki istnieje w danym czasie czy w danym miejscu. Widzimy to dobrze na rozmaitych przykładach, gdzie napięcie między prawem a moralnością jest ogromne. „Pragnąć sprawiedliwości” to znaczy opowiadać się po stronie Boga.

„Albowiem oni będą nasyćeni.” Pragnienie sprawiedliwości to jest tak jak głód. Człowiek prawdziwie dobry chce, żeby sprawiedliwość była zachowana. I Jezus powiada: nagrodą dla tych, którzy pragną sprawiedliwości, będzie to, że przekonają się, że Bóg jest sprawiedliwy. I będzie satysfakcja, że stanęli po słusznej stronie.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Sprawiedliwość jest czymś dobrym, ale nie jest celem w sobie. Otóż czymś wyższym, ideałem, jest miłosierdzie. Sprawiedliwość to oddanie każdemu tego, co mu się słusznie należy. Ale świat, który by polegał wyłącznie na sprawiedliwości, byłby — nie waham się użyć tego słowa — okrutny. Bo gdyby tylko mierzyć życie sprawiedliwością to ci, którzy dopuścili się jakiegoś zła, musieliby być surowo i bezwzględnie ukarani w każdych warunkach. Więc w świecie potrzebne jest miłosierdzie.

Sprawiedliwości musimy dochodzić. O miłosierdziu trzeba się starać. Miłosierdzie wychodzi poza sprawiedliwość. W miłosierdziu człowiek naśladuje Boga. Bo Bóg wobec nas jest nie tyle sprawiedliwy, co miłosierny właśnie. Jezus mówi: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.” Człowiek, który jest miłosierny, staje się narzędziem miłosierdzia, a także sam ma prawo do tego, by z miłosierdzia korzystać. Zawsze musimy pamiętać: prawo tworzą ludzie. O sprawiedliwość trzeba zabiegać, bo tak również Pan Bóg chce, i tak nakazuje rozum i poczucie moralności. A miłosierdzie jest wyrazem naśladowania Boga. Jest czymś więcej niż sprawiedliwość, i czymś zupełnie innym, niż prawo. Czasami więc możemy się buntować, że ktoś korzysta z miłosierdzia, bo przypomina nam to wiele Jezusowych przypowieści. Przypomnijmy zwłaszcza przypowieść o ojcu miłosiernym, który darował wina, grzechy swojemu młodszemu synowi, na co starszy sprawiedliwie się buntował. I otrzymał wtedy odpowiedź że tam, gdzie sprawiedliwość się kończy, tam zaczynają się obszary miłosierdzia.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Człowiek ma w sobie to, co cielesne, jest tym, co cielesne, i jest tym, co duchowe. Jest z człowiekiem przedziwny paradoks. Bóg powiedział: „Stworzmy człowieka na Nasz obraz. I stworzył Bóg człowieka na Swój obraz.” [Istejsa] – czytamy po hebrajsku – [baraotam]. Stworzył ich mężczyznę i kobietę. Obrazem bezcielesnego Boga, obrazem ducha absolutnego, jest mężczyzna i kobieta, człowiek ze swoją płciowością i ze swoją cielesnością. W ten sposób, stwarzając człowieka jako Swój własny obraz, Bóg czyni już punkt wyjścia dla tajemnicy Wcielenia. Właśnie dlatego, że godność człowieka jest tak wielka, to Jezus, Syn Boży, stał się jednym z nas. Można by powiedzieć — w raj, w ogrodzie Eden w stworzeniu mężczyzny i kobiety jest już zarodek Betlejem. Człowiek czystego serca to człowiek, który dba o harmonię między tym, co cielesne, i tym, co duchowe. Który nie jest wyłącznie cielesny w tym znaczeniu, że ulega pożądliwościom i żądzom. Ale który nie jest wyłącznie duchowy w tym znaczeniu, iżby lekceważył albo nienawidził tego, co w nim cielesne. Czyste serce to umiejętność wzniesienia się do Boga takimi, jakimi jesteśmy. Odłożenie na bok tego, co nas pociąga wyłącznie do ziemi. Ale również nie bujanie w obłokach – jak powiedzielibyśmy zwyczajnym językiem – tylko respektowanie siebie takimi, jakimi jesteśmy.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi.

Pokój oznacza harmonię. Harmonię najpierw człowieka za sobą, następnie człowieka z ludźmi, a następnie człowieka ze światem — w takiej właśnie kolejności. Ten człowiek jest narzędziem pokoju, który ma pokój w sobie. Pokój w sobie to znaczy taka harmonia, w której człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że jest Bożym dzieckiem, Bożym narzędziem, stroni od wszelkiego gwałtu, od egoizmu, od pychy, od chciwości, od tego, co go wyniszcza. Bo zdaje sobie sprawę, że prawdziwą wartość osiąga się na innej drodze, niż droga chciwości i egoizmu. Więc ci, którzy czynią pokój to są najpierw ci, którzy umieją i chcą przełamać to, co w nas wewnętrznie złe. Kiedy zapytano Matkę Teresę od czego trzeba zacząć, żeby przewyciężyć zło, odpowiedziała: Trzeba zacząć ode mnie i od ciebie. Budowanie pokoju rozpoczyna się od osiągnięcia pokoju w sobie. Człowiek, który tę harmonię osiągnie, inaczej patrzy na innych, inaczej patrzy na świat. Sprzymierzeńcami dobrego człowieka jest wszystko. Bo nawet jeżeli jest trudno, to potrafi w tym zachować to, co najistotniejsze, czyli właśnie dobroć. A nagrodą za dobroć jest dobroć. I na tym tle możemy zrozumieć ostatnie Błogosławieństwo, mianowicie:

Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Bóg stworzył świat, stworzył ludzi. Ale Bóg nie ma w świecie samych przyjaciół. To jest paradoks ludzkiej wolności. Człowiek może obrócić swoją wolność przeciwko Bogu. Gdyby Bóg był taki, jak my, to by do tego nie dopuścił. Zlikwidowałby wolną wolę. Zaprojektowałby człowieka tak, jak my projektujemy rozmaite sprzęty. To ma być odkurzaczy, a więc ma odkurzać wtedy, kiedy go włączymy. To jest pralka i będzie wtedy pracowała, kiedy tego chcemy. To jest kuchenka, i podgrzewam na niej wtedy, kiedy dostarczę prądu czy gazu. Można przykłady mnożyć w nieskończoność. Bóg

nie stworzył człowieka wyłącznie ku dobremu. Gdyby tak było, byłoby to straszliwie nudne. Bo Bóg nie potrzebuje niewolników, Bóg chce wolnych. Miłość nigdy nie może być owocem przymusu, zawsze jest owocem wolności. I Pan Bóg powołał nas do wolności. Ale cena wolności jest taka, że można ją obrócić przeciw Niemu. Skoro więc Bóg, zdarza się, że ma wrogów, to i ci, którzy w Niego wierzą, idą Jego drogami, też nie mogą liczyć bez przerwy na komplementy i pochwały. Kto chce opowiedzieć się po stronie Boga, po stronie Jego przykazań, Jego woli, po stronie Jego Błogosławieństw, musi się liczyć z niewygoda. Musi się liczyć również z trudnościami, z przeciwnościami a nawet z prześladowaniami. Podejrzane byłoby, gdyby było inaczej. Jeżeli komuś jego chrześcijańskie poglądy nie przysparzają żadnych trudności, to musi zadać sobie pytanie czy rzeczywiście w tych poglądach uzewnętrznia się droga Krzyża i Zmartwychwstania. Czy być może wyobraża sobie taką drogę pójścia za Jezusem, która jest bez Krzyża. Jezus powiedział: „Kto nie bierze swojego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien”. Zawsze jest pokusa, żebyśmy szli za Jezusem bez krzyża. Jeżeli więc tę pokusę przezwyciężymy, i jeżeli w naszym życiu towarzyszy nam krzyż, to musimy się liczyć z tym, że przyjdzie także to, co trudne. „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości,” albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Ci, którzy umieją drogę Chrystusa przyjąć do końca, stają się uczestnikami Bożej nagrody w całości. Oto sens Błogosławieństw. I myślę, że teraz wszyscy możemy powtórzyć tę myśl, którą Benedykt XVI wypowiedział na początku rozważań. A mianowicie, że Błogosławieństwa najlepiej pojmują ludzie święci i ludzie, którzy chcą wejść na drogę świętości. Zatem Błogosławieństwa nie są po to, by je intelektualnie rozważać. Błogosławieństwa są jak drogowskaz, ale ten drogowskaz pokazuje nam drogę, która rzeczywiście istnieje. To nie jest drogowskaz do lasu, w którym wszystkie ścieżki się gmatwiają. To jest drogowskaz, który ukazuje nam drogę, która nie jest łatwa, ale otrzymujemy na niej pomoc, żeby tą drogą pójść i żeby tę drogę przejść. I dlatego do Błogosławieństw, do pójścia tą drogą, zawsze potrzebna jest też modlitwa. Ale o niej Jezus powie w dalszej części Kazania na Górze.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Jestem przekonany, że refleksja nad Ośmioma Błogosławieństwami zwłaszcza wtedy, kiedy jeszcze bardziej je przemodlimy, będzie przynosiła błogosławione owoce w życiu nas wszystkich. A na kolejną konferencję bardzo serdecznie państwa zapraszam w trzeci poniedziałek lutego, tzn. to będzie 18.02.2008, już w okresie Wielkiego Postu.

Dziś dziękuję pięknie. Chwała Ojcu . . . Wszystkim dobrego wieczoru, dobranoc, i pochwalony Jezus Chrystus . . .



## 5 Modlitwa Pańska (18 lutego 2008)

Pochwalony Jezus Chrystus ...Dobry wieczór państwu. W imię Ojca ...Ojcze nasz ...Stolico Mądrości ...

Zawsze rozpoczynamy nasze konferencje modlitwą, bo nie są one tylko wysiłkiem intelektualnym, rozumowym, nie są próbą poznania Pana Boga, ale są także i przede wszystkim może próbą przybliżenia się do Niego i zrobienia dla Niego miejsca w swoim własnym życiu. Witam dziś państwa bardzo serdecznie, w Wielkim Poście w dodatku, to wyjątkowy czas, czas wielkiej łaski dla tych, którzy przyjmują Chrystusa i którzy przejmują się Jego męką i Jego śmiercią. Więc dzisiaj nasza refleksja też będzie miała charakter szczególniejszy. A to dlatego, że jej przedmiotem będzie modlitwa, od której dziś nasze spotkanie rozpoczęliśmy, która jest naszą modlitwą codzienną, a którą znamy jako *Modlitwa Pańska*. Zastanowimy się dzisiaj nad *Ojcze nasz*. Będziemy starali się wydobywać z tej modlitwy, którą doskonale znamy, którą odmawiamy setki i tysiące razy w naszym życiu, w różnych okolicznościach, będziemy starali się wyłuskać te myśli, które są w niej zawarte. I będziemy się starali z tej modlitwy wydobyć całe to bogactwo, którym chrześcijanie powinni się karmić, kiedy tę modlitwę odmawiają. A w tym roku podejmując refleksje nad Ewangelią, nad Jezusem Chrystusem, idziemy, towarzyszymy niejako papieżowi Benedyktowi XVI. Chcemy zobaczyć Jezusa, chcemy posłuchać Jezusa, chcemy wsłuchać się w Jego głos, ale mając przy sobie papieża. Ponieważ rzecz jasna nie może on być z nami i nie może być tutaj obecny, towarzyszy nam przez słowo, które zawarł w swojej książce „Jezus z Nazaretu”. I staram się ukazać państwu te dwie perspektywy: jedną biblijną czyli moc Słowa Bożego, moc Ewangelii, która do nas dociera, i drugą, tę pochodzącą od papieża. Mianowicie, jak papież czyta Ewangelię, jak ją przeżywa, i co z tego czytania i objaśniania Ewangelii może być ważne dla nas.

Zatem dzisiaj modlitwa *Ojcze nasz*. W książce papieża Benedykta XVI następuje ona po Kazaniu na Górze. A to dlatego, że modlitwa *Ojcze nasz* umieszczona jest w Ewangelii wg św. Mateusza, pierwszej Ewangelii kanonicznej, właśnie w kontekście Kazania na Górze. Miesiąc temu powiedzieliśmy, że istotą Kazania na Górze jest Ośmiem Błogosławieństw. Próbowaliśmy zastanawiać się nad tymi Błogosławieństwami, dojść do odpowiedzi, do przekonania, że człowiek, który przejmuje tę drogę Ośmiu Błogosławieństw to jest człowiek, który idzie drogą Jezusa Chrystusa, bo tylko On mógł te Błogosławieństwa przeżyć należycie i wystarczająco głęboko. I w kontekście tego Kazania na Górze i Ośmiu Błogosławieństw mamy modlitwę *Ojcze nasz*. W Ewangelii św. Łukasza znajduje się ona w nieco innym kontekście, mianowicie Jezus udaje się do Jerozolimy. I udając się do Jerozolimy, gdzie miał się dopełnić Jego los, uczy swoich uczniów modlitwy. Oczywiście ci, którzy głębiej czytają Ewangelię, stawiają pytanie: czy wobec tego Jezus nauczył uczniów tej modlitwy w Galilei, właśnie wtedy, kiedy ukazywał im to, co stanowi samo sedno jego Ewangelii, czy nauczył ich tej modlitwy w drodze do Jerozolimy, na Górze Oliwnej, można by powiedzieć – tuż u bram Jerozolimy.

Odpowiedź zapewne jest taka, że Jezus bardzo wiele swoich słów, bardzo wiele swoich nauk wygłaszał nie tylko raz, nie tylko dwa, nawet nie kilka razy, ale po bardzo wiele razy. Bo pamiętamy, że Pan Jezus ze swoimi Apostołami przebywał przez trzy pełne lata publicznej działalności. I przez te trzy lata codziennego życia, codziennego obcowania, odpowiadał na pytania, które się powtarzały, nawiązywał do sytuacji, które były podobne, pojawiał się w okolicznościach, z których jedne przypominały inne. Wobec tego i nauczanie, i przypowieści, i słowa Jezusa pojawiały się w różnych okolicznościach, adresowane do różnych ludzi. Ale były to mniej więcej te same słowa. Zatem i modlitwa *Ojcze nasz* mogła pojawić się i podczas Kazania na Górze, kiedy to Jezus ukazywał perspektywy Królestwa, które ze sobą przyniósł. Ale mogła się także pojawić i na Górze Oliwnej wtedy, kiedy już zbliżał się do Jerozolimy. A być może było i tak, że Jezus uczył cierpliwie tej modlitwy również w innych sytuacjach. Także Apostołowie — jeden z Ewangelistów zapamiętał, że Jezus uczył tej modlitwy w Galilei, drugi zapamiętał, że uczył tej modlitwy na Górze Oliwnej, a jeszcze inni mieli zapewne inne swoje skojarzenia. I pod tym względem te dwa odmienne środowiska modlitwy *Ojcze nasz* nie są niczym specjalnie ani wyjątkowym, ani zaskakującym.

My zatrzymamy się nad tymi okolicznościami, które mamy w trzeciej Ewangelii kanonicznej, tzn. Ewangelii św. Łukasza. Na te okoliczności zwraca również uwagę papież który zachęca, aby bliżej przyjrzeć się tej sytuacji, w której modlitwa została wypowiedziana do Jezusowych uczniów.

Czytamy w Ewangelii tak (Łk11,1):

Gdy Jezus przebywał w jakimś miejscu na modlitwie i skończył ją, rzekł jeden z uczniów do Niego: «Panie, naucz nas się modlić, jak i Jan nauczył swoich uczniów».

Zwróćmy uwagę na ten szczegół, który możemy łatwo pominąć. Jezus przebywa na modlitwie, Jezus się modli. Ewangelista podkreśla: „i skończył ją”. Znaczy to że ci, którzy byli świadkami modlitwy Jezusa, nie przerywali Mu tej modlitwy. Doskonale wiedzieli, że Jezus jest człowiekiem modlitwy. Bo przecież był prawdziwym człowiekiem i widząc Go na modlitwie zostawiali Go niejako samemu sobie. Modlitwa zawsze budzi szacunek, zawsze budzi respekt dlatego, że modlitwa jest wejściem w bardzo intymne, bardzo osobiste spotkanie z Bogiem. Widok rozmodlonego człowieka może działać więcej, niż cokolwiek innego. Warto i trzeba się modlić, a zwłaszcza warto i trzeba prawdziwie się rozmodlić żeby innym pokazać — pokazać nie w sensie, żeby to miało charakter widowiskowy — ale udowodnić i uzasadnić, że wejście w taki bardzo osobisty kontakt z Panem Bogiem jest nie tylko możliwe, ale i owocne. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że modlitwa stanowi o sile wiary. Nie żadne inne czynniki ale właśnie ludzie modlitwy na kolanach wypraszają to wszystko, co jest potrzebne wszystkim innym. I myślę, że każdy z nas od czasu do czasu spotyka takiego właśnie człowieka modlitwy, który wywołuje w nas prawdziwy podziw a nawet swoistą zazdrość, że można tak się modlić. Zadbano o to, że w Kościele obok tej drogi czynnej istnieje droga kontemplacji, droga modlitwy, kiedy to kobiety i mężczyźni oddają się na służbę Panu Bogu wybierając ją tylko. I do tego stopnia izolują się od świata, że nawet nie możemy ich zobaczyć, nie możemy ich widzieć, bo modlitwa nie jest czymś na pokaz. Ale mimo tego, że modlitwa nie jest czymś na pokaz, to przecież od czasu do czasu przynajmniej widzimy ludzi prawdziwie rozmodlonych. I Apostołowie oglądali Jezusa, który był prawdziwie rozmodlony.

I kiedy Jezus skończył tę swoją rozmowę niezwykłą, osobliwą, wyjątkową z Bogiem, wtedy jeden z Apostołów zwraca się do Jezusa: „Panie, naucz nas się modlić, jak i Jan nauczył swoich uczniów”. W modlitwie biorą udział dwie władze, jeżeli tak można powiedzieć. Jedna — po łacinie nazywa się mens, to znaczy umysł, to znaczy władze duchowe. Człowiek swoim duchem, swoją duchowością, swoim wnętrzem zwraca się do Pana Boga. Im ktoś jest wewnętrznie bogatszy, tym również ten zwrot ku Bogu jest pełniejszy i głębszy. I są takie osoby, które potrafią trwać przed Bogiem w swoistej kontemplacji, która nawet nie potrzebuje słów. To doświadczenie bywa bliskie czemuś, co przeciętnemu człowiekowi jest obce i nieznanne, a mianowicie bywa bliskie ekstazie. Takim ekstazykiem na kartach Nowego Testamentu był św. Paweł, który wspominał swoją obecność w świątyni jerozolimskiej i to, że kiedy modlił się przed Bogiem, został porwany — jak to sam opisuje — aż do trzeciego nieba i oglądał sprawy, których człowiekowi oglądać się nie godzi. Widział coś, czegoś nie sposób wyrazić. Zdarza się, że ludzie, tacy ludzie, którzy mają głębokie, urobione wnętrza, wchodzą w tak osobisty, wyjątkowy kontakt z Bogiem, że ich duchowego doświadczenia nie da się przełożyć na żaden język, zwłaszcza na język codzienności. Taka zapewne była modlitwa Jezusa.

Ale obok umysłu w modlitwie potrzebne są jeszcze, obok tego uniesienia serca, potrzebne są jeszcze słowa. Zwyczajny człowiek potrzebuje słów, przeciętnie wierzący potrzebuje słów które wyrażają to, co mamy w sercu. Bo modlitwa powinna wyrazić wszystkie nasze uczucia, odczucia, potrzeby i stany — od uwielbienia, od adoracji, od przepraszania, od skruchy, przez żal po prośbę, po błaganie, po wdzięczność i po dziękczynienie wreszcie. Rozmaite okoliczności i rozmaite nastroje, i rozmaite potrzeby — one bardzo często potrzebują pomocy. Bo człowiek jest albo zmęczony, albo też wydaje mu się, że nie ma do powiedzenia Bogu czegoś ważnego albo, że trzeba to powiedzieć inaczej. I tu, w tym przypadku mamy do czynienia z prośbą, która w gruncie rzeczy jest prośbą wszystkich uczniów Pana Jezusa: „Panie, naucz nas modlić się”. Otóż być wyznawcą Jezusa Chrystusa to znaczy być także uczniem w Jego szkole modlitwy. Nie można sobie wyobrazić wiary w Boga, i nie można sobie wyobrazić pójścia za Jezusem bez modlitwy. Kiedy zastanawiano się nad tym już od dawnych czasów, od starożytności, i w średniowieczu, to Ojcowie Kościoła, którzy bardzo komentowali tekst Modlitwy Pańskiej, mówili tak. Pokaż mi, jak się modlisz, a ja będę wiedział, a ja poznam jaka jest twoja wiara i kim naprawdę ty jesteś.

Otóż modlitwa jest miernikiem, sprawdzianem, ale nie tylko sprawdzianem — probierzem można by powiedzieć — wiary, jej siły i zaufania Panu Bogu. Jeżeli człowiek we wszystkim, w każdej sytuacji swojego życia potrafi się modlić to znaczy, że rzeczywiście przynależy do świata, który

jest Boży. Jeżeli człowiek potrafi się modlić wtedy, kiedy czegoś potrzebuje, jeżeli człowiek potrafi się modlić wtedy, kiedy za coś żałuje, jeżeli potrafi się modlić, kiedy za coś dziękuje, kiedy potrafi się modlić zupełnie bezinteresownie, ale także wtedy, kiedy znajduje się w jakiegokolwiek potrzebie — jednym słowem kiedy we wszystkich okolicznościach zwracamy się do Pana Boga, to można powiedzieć, że nasze życie staje się modlitwą, staje się jedną rozmową z Bogiem. Tak było właśnie w przypadku Jezusa.

I tutaj dotykamy pewnej formuły, która pojawiła się w naszych czasach, także w kontekście nawiązywanych dialogów. Otóż w niektórych obecnych tendencjach, jakie panują w teologii, które są dość powierzchowne, kiedy to teologowie próbują podobać się innym, którzy teologami nie są, pojawiła się taka zręczna formuła, która brzmi mniej więcej tak: gdy patrzymy na Żydów, z których przecież pochodził Pan Jezus, to moglibyśmy powiedzieć, że wiara Jezusa nas łączy, a wiara w Jezusa nas dzieli. Oznaczałoby to, że Jezus wierzył tak, jak wierzył każdy przeciętny wyznawca Boga Jedynego w Jego czasach, jak wierzył każdy przeciętny Jego rodak — a więc, że Jezus był takim mistrzem, nauczycielem, kimś sprawiedliwym, kimś dobrym, może nawet kimś lepszym niż inni, a może nawet najlepszym. Ale Jezus wierzył zupełnie tak samo jak wszyscy ci, którzy Mu towarzyszyli i wszyscy ci, do których się zwracał.

Modlitwa Pańska pokazuje nam, tak jak cała Ewangelia, że jest jednak zupełnie inaczej. To nie było tak, że kontakt, że spotkanie Jezusa z Bogiem było takie, jak spotkanie każdego innego Żyda w tamtym czasie. Otóż stosunek Jezusa do Boga był wyjątkowy. I widać to również, o czym zaraz się przekonamy, na początku Modlitwy Pańskiej. Jezus miał wyraźną świadomość, że Jego związek z Bogiem, Jego więź z Bogiem, Jego relacja do Boga jest inna, niż relacja każdego innego człowieka. Zatem nie jest tak, że po prostu podzielał wiarę wszystkich innych współczesnych sobie Żydów, i że mamy tylko do czynienia z tą perspektywą historyczną, bo On miał świadomość swojej wyjątkowości i wyjątkowości swojego odniesienia wobec Boga. To jest bardzo ważne, bo tego właśnie dotyczy początek modlitwy *Ojcze nasz*.

A On rzekł do nich: «Kiedy się modlicie, mówcie:

Otóż Jezus wychodzi naprzeciw tej prośbie. Sam rozmodlony, skończył się modlić i odpowiada na prośbę jednego z Apostołów który prosi Go, by nauczył ich modlitwy. Proszę zwrócić uwagę na pewien bardzo ważny szczegół. Jezus nie mówi tak: „Pomódlmy się teraz razem” albo „Powtarzajcie za Mną”. Jezus nie mówi: „Będziemy modlić się w ten sposób”. Jezus mówi: „Kiedy się modlicie, mówcie”. „Kiedy się modlicie” — zwraca się do Apostołów — „powtarzajcie tak”. „Kiedy się modlicie” — zwraca się do nas — „mówcie”. Jego modlitwa była inna, niż modlitwa *Ojcze nasz*. Nie dlatego, że potrzebował innych słów, ale dlatego, że Jego stosunek do Boga jako Ojca był inny niż nasza relacja, nasz stosunek do Boga jako Ojca. Jezus nie mówi, że zwraca się do Boga jako Ojca w taki sam sposób, jak zwracają się pozostali Apostołowie i uczniowie. „Kiedy się modlicie, mówcie” — Bóg jest Ojcem Apostołów, Bóg jest Ojcem narodu bożego wybrania, Bóg jest Ojcem każdego człowieka. Ale Bóg jest także Ojcem Jezusa — tylko, że w inny sposób. Jest to inne ojcostwo. W ten sposób modlitwa *Ojcze nasz* wprowadza nas raz jeszcze także w samą głębię Boga, wewnętrznego życia Boga. Raz jeszcze tutaj przeczuwamy, już za życia Jezusa, że Bóg jest Jedyny, ale nie jest samotny. Że Bóg jest Jedyny ale istnieje jako Ojciec, jako Syn i jako Duch Święty. Że spoiwem Osób Boskich jest miłość, że Bóg jest Miłością o czym później na kartach Nowego Testamentu czytamy wiele razy.

Tak przechodzimy do samego tekstu tej modlitwy. Ta modlitwa zachowała się w Ewangeliach, które zostały napisane w języku greckim. Zatem na język polski, na inne języki nowożytnie, została przetłumaczona z języka greckiego. W naszej polskiej tradycji pobożnościowej znamy ją w zasadzie w kształcie, w którym pod koniec XVI w, dokładniej w latach 1590-tych, przełożył ją na język polski z łacińskiego przekładu Wulgaty ksiądz Jakub Wujek. Zatem tekst modlitwy tak, jak odmawiamy we mszy świętej, w naszym pacierzu, ma ok. 400 lat. Oczywiście on był i wcześniej. Tylko to, czego dokonał Jakub Wujek, to było w jego czasach uwspółcześnienie tej modlitwy.

Modlitwa jest więc po grecku. Ale ta modlitwa bardzo łatwo poddaje się obróbce tzw. retranslacji czyli przekładu jej na język, który był językiem jej oryginału. Ta modlitwa odmawiana po grecku bardzo łatwo daje się przetłumaczyć na hebrajski i na aramejski, który był językiem Jezusa. Otóż jest to modlitwa, moglibyśmy powiedzieć, specyficznie semicka w swojej strukturze, w swoim

słownictwie, w doborze tych skojarzeń. Trzeba znać mentalność biblijną, mentalność Starego Testamentu, żeby na dobrą sprawę wiedzieć o co w tej modlitwie na pewno chodzi. Ci z państwa, którzy byli w Jerozolimie, pamiętają że na Górze Oliwnej jest kościół, który nosi nazwę Pater Noster — Ojcze Nasz. Prowadzony jest przez karmelitanki francuskie. I tam taką osobliwością tego kościoła są tablice z modlitwą *Ojcze nasz* napisane w rozmaitych językach. Ale dwie tablice przyciągają uwagę i zapewne ci, którzy byli, obie te tablice pamiętają. Mianowicie tablica w języku hebrajskim i tablica w języku aramejskim. One są umieszczone obok siebie bo w latach 80-tych ub. stulecia, czyli mniej więcej dwadzieścia parę lat temu, najznakomitsi uczeni jerozolimscy, chrześcijańscy dokonali właśnie takiego odtworzenia modlitwy *Ojcze nasz* w języku oryginału. I okazało się, że można ją czytać, można ją wymawiać, można modlić się jej słowami w bardzo prosty, łatwy i przejrzysty sposób. Jest to modlitwa, która wyrasta ze Starego Testamentu i nim się karmi, a zarazem jest to modlitwa, której Jezus nauczył swoich uczniów i która zawiera to, co jest niezwykle specyficzne, osobliwe dla Ewangelii.

Co więc zawiera? Zawiera ona prośby, kolejne prośby, które są uporządkowane i którym za chwilę się przyjrzymy. Te prośby, tak jak powiedziałem, znamy od dziecka i powtarzaliśmy je setki a może nawet tysiące razy. Ale one układają się w pewien ciąg, mają pewną logikę. One ze sobą ściśle się łączą i jednocześnie zawierają myśli, które wyrażają uczucia wierzących tak, jak Jezus chciałby, żeby były wyrażane. Zaczynają się od wezwania, od skierowania tej modlitwy, od adresu tej modlitwy, a adresatem jest Pan Bóg. Nie rozpoczynają się od słów: „Panie”, „Boże” — jak bardzo wiele modlitw żydowskich.

Rozpoczyna się ta modlitwa od słów „Ojcze nasz”. Obydwa te człony są bardzo ważne. Bóg został nazwany Ojcem. Otóż nazywanie Boga Ojcem w Starym Testamencie było częste i opierało się na dwóch przesłankach. Mianowicie jedna: Bóg jest Ojcem człowieka i Ojcem ludzkości, ponieważ nas stworzył, powołał nas do życia. Godność Boga jako Ojca pochodzi z godności i wielkości stworzenia. Każde życie i każdy człowiek jest dziełem Boga — w tym sensie Bóg jest jego Ojcem. Ale w Starym Testamencie mamy także wątek drugi. Bóg jest Ojcem, ponieważ cierpliwie wybrał lud, który przeznaczył do szczególnej odpowiedzialności, towarzyszy mu w dziejach, ponieważ opiekuje się jego losami, i ponieważ towarzyszy także poszczególnym członkom tego ludu, poszczególnym wierzącym. Mamy to także na kartach Nowego Testamentu. Do Boga można się zwracać z ufnością, do Boga można się zwracać z zaufaniem. I kiedy mówimy *Ojcze nasz* to znajdujemy w tym wyrażeniu właśnie zaufanie, które jest źródłem pociechy. Bóg jest daleki, Bóg jest niewidzialny i niewidoczny. Bóg jest poza światem. Bóg jest czystym Duchem. Boga nie możemy zobaczyć, nie możemy Go pozyskać dla siebie. A przecież możemy wejść z Nim w bardzo osobiste więzy, które można by porównać do więzów między ojcem i synem czy ojcem i córką. Nazywamy Boga Ojcem ponieważ obdarzamy Go naszym zaufaniem.

Ale nie tylko to. On rzeczywiście jest naszym Ojcem — z tym, że na kartach Pisma Świętego mamy także szczegół, z którym i dziś trzeba nam się zmagać. Nie dla każdego człowieka słowo „ojciec” brzmi tak samo, nie każdy człowiek ma ze słowem „ojciec” dobre skojarzenia. Są ludzie, którzy nie rozumieją co to znaczy „ojciec” dlatego, że nie doświadczyli rzeczywistości ojcostwa. Albo też „ojciec” dla nich nie kojarzy się z tym dobrem, które jest zawarte w tej modlitwie. Tak było w starożytności, tak jest i dzisiaj. Nie brakuje dzieci, które z czasem wyrastają na dorosłych, dla których słowo „ojciec” jest puste. Dlatego na kartach Pisma Świętego nie tylko mówi się o ojcu, ale także mówi się o tym, kim jest ojciec. Co to znaczy być ojcem i co to znaczy Bóg jako Ojciec. Znajduje to najpełniejszy wyraz w przypowieściach. Pamiętamy dobrze tę najbardziej znaną przypowieść o synu marnotrawnym, która w gruncie rzeczy jest przypowieścią o miłosiernym ojcu. O ojcu, który przebacza marnotrawnemu synowi i który jednocześnie towarzyszy temu synowi, który zawsze był z nim. W wielu przypowieściach powraca ten wątek ojca. I w wielu przypowieściach, w wielu naukach Chrystus nazywa Boga Ojcem: «Wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba». Jezus cierpliwie tłumaczy kim jest Bóg jako Ojciec. Otóż kiedy zwracamy się do Pana Boga zatem, nie zwracamy się jak do kogoś obcego, nieznanego, jak do jakiegoś pana albo władcy, jak do króla albo kogoś możnego czy potężnego. Lecz zwracając się w modlitwie do Boga łączymy z tym wszystkie nasze skojarzenia najlepsze, które wiążą się z ojcem.

Papież Benedykt XVI dodaje jednak: to, że nazywamy Boga Ojcem to jest pójście drogą Pisma Świętego. Ale w Piśmie Świętym Bóg również jest nazywany Matką. Jest to rzadsze, ale pełne treści.

„Jak kogoś pociesza własna matka, tak Ja was pocieszał będę” wołał prorok Izajasz cytując słowa Boże. Wiemy dobrze, że pocieszenie matki przychodzi i jest szczególnie skuteczne w najrozmaitszych okresach naszego życia, nie tylko wtedy, kiedy jesteśmy dziećmi. Daleko bardziej wtedy, kiedy jesteśmy młodzi albo kiedy staliśmy się dorośli. Prorok wydobywa ten aspekt, ten wymiar dobroci Bożej, który przypomina właśnie matkę. W wielu innych miejscach mamy nawiązanie do Boga jako do matki. W języku hebrajskim, podobnie jak w języku arabskim, słychać to np. w modlitwach muźmańskich, ale także w modlitwach żydowskich, Bóg jest nazywany [El Rahanim]. [El] znaczy *Bóg*. Natomiast słowo [rahanim], mówiliśmy o tym kiedyś, ma bardzo ciekawy rodowód. [Rehem] znaczy po hebrajsku, po arabsku, we wszystkich językach semickich *kobiece łono*. To miejsce, w którym życie jest poczęte, w którym się rozwija i z którego potem jest wydawane na świat, to jest [rehem]. Otóż kobieta, która wydaje na świat dziecko, ma z nim bardzo szczególną więź. Nie mnie o tym mówić, bo żaden mężczyzna tego doświadczenia oczywiście nie zna. Ale zna to doświadczenie każda matka. Że miłość matki do własnego dziecka jest wręcz fizyczna, wręcz cielesna. Widzimy tę niezwykłość matczynej miłości nie tylko wśród ludzi. Widać ją w ogóle w świecie żywym. Widzimy ją wśród wszystkich istot, ptaków, zwierząt. Widzimy zwierzęta domowe jaki mają przeogromny potencjał troski, przywiązania do własnego potomstwa, do własnych dzieci. Człowiek patrzy nieraz z podziwem na to, jak matka opiekuje się swoimi małymi, ile daje z siebie miłości, która przypomina do złudzenia miłość ludzką. Otóż miłość matki ma w sobie coś absolutnie wyjątkowego. Stąd urobiono liczbę mnogą od [rehem], ona brzmi [rahamim]. I oznacza po polsku miłość matczyną właśnie, miłość matki, która jest silniejsza niż jakiegokolwiek inne więzy duchowe, która jest irracjonalna i, można by powiedzieć, nielogiczna dlatego, że nie kieruje się logiką. Bo to, co matka daje własnemu dziecku, to jest jakby jej ciało, samą siebie, swoją krew, siebie po prostu.

Bóg jest nazywany [Rahamim], czyli *Bóg miłości matczynej*. Ponieważ po polsku było to niezręcznie tłumaczyć, tłumaczy się to *Bóg Miłosierdzia*, *Bóg Miłosierny*. Oczywiście miłość matczyną jest miłosierna, ale czymś głębszym jeszcze i czymś pełniejszym jest ta miłość matczyną, niż tylko miłosierdzie. Dlaczego więc mówiąc o Bogu nie modlimy się do Boga, dla przykładu: „Matko nasza”? Tu chciałbym być dobrze zrozumiany. Otóż moglibyśmy modlić się do Boga: „Matko nasza, która jesteś w niebie” tak samo jak modlimy się „Ojcze nasz, który jesteś w niebie”. Moglibyśmy to robić na tej zasadzie, że w Bogu nie ma płci. Bóg nie jest mężczyzną tak samo, jak Bóg nie jest kobietą. My używamy ludzkiego języka. Ten język zakłada cielesność i płciowość, bo tacy jesteśmy. Nie możemy nad tym przejść do porządku dziennego. Musimy do Boga odnieść jakiś rodzaj: męski, żeński albo nijaki. Są języki i kultury, w których dla przykładu nie ma rodzaju nijakiego, jest tylko rodzaj męski i rodzaj żeński. W naszej kulturze, w naszym języku jest również nijaki. Mając męski i żeński do wyboru, zgodnie z uwarunkowaniami kultury i mentalności, i idąc za przykładem Jezusa, modlimy się do Boga „Ojcze nasz”. Przywykliśmy do tego i oczywiście byłoby czymś pewnie niestosownym, trudnym i niepotrzebnym, gdybyśmy mieli tę modlitwę zmieniać. Pojawiają się rozmaite ruchy i tendencje które postulują, aby tutaj zmianę wprowadzić i dla przykładu również odwzorowywać to, co zwykło nazywać się wrażliwością feministyczną. Ale skoro mamy do wyboru to albo to, to chyba takie wyjście wybieramy, że używamy „Ojcze nasz” mając żywą świadomość, że w miłości Boga względem nas odwzorowuje się również miłość matczyną. Bóg, od którego pochodzi wszelka miłość, tak sprawił, że zarówno miłość ojcowska, jak i miłość matczyną, stanowią odwzorowanie Jego miłości.

I drugi człon *Ojcze nasz*. Zwróćmy uwagę: nie mówimy *Ojcze mój!* Bardzo często mamy pokusę, by modlić się do Pana Boga tak, jak św. Tomasz Apostoł po tym, kiedy zobaczył Zmartwychwstałego: „Pan mój i Bóg mój”. Ale modlitwa *Ojcze nasz* buduje wspólnotę, ona tworzy Kościół. Modlitwa *Ojcze nasz* uświadamia nam, że warunkiem prawdziwego zbliżenia do Boga jest wspólnota między nami. Że idziemy do Boga nie osobno, ani nie parami, tylko idziemy do Boga wspólnie. Że nasza droga, ta wspólna droga, prowadzi ku Panu Bogu, i każdy z nas jest ogniwem tego łańcucha. Właśnie wiara w Boga nie tylko przybliżyła nas do Boga, ale ona łączy nas między sobą. Stąd to *Ojcze nasz*, ten społeczny, wspólnotowy wymiar modlitwy. Zatem modlitwa tak pojmowana nigdy nie może być źródłem egoizmu. Nie może być tak, że zamykam się w sobie nieczuły na wszystko, co dzieje się dookoła. Modlitwa powinna otwierać nas na innych, i modlitwa powinna nam uświadamiać, że ona jest najskuteczniejsza wtedy, kiedy tworzy Kościół, czyli wspólnotę tych, którzy do Boga zmierzają.

Po hebrajsku by to brzmiało: Amino aszer baszamajm. Amino – *Ojcze nasz*, aszer – *który*, baszamajm – *w niebie*. Tak nawiązujemy do starożytnej kosmologii czyli do obrazu świata, i do kosmologii tzn. do obrazu świata, który istnieje po dzień dzisiejszy. Znow będąc ludźmi i żyjąc w świecie, który jest fizyczny, dotykany, namacalny, nie możemy się z tego obrazu uwolnić. Mianowicie gdybyśmy zapytali, tak zupełnie mimochodem, gdzie jest niebo — podnosimy głowę do góry. Gdzie jest piekło — spuszczaemy w dół jakby tam gdzieś w czeluściach ziemi, gdzie jest gorąc i ogień, i skąd pochodzą trzęsienia ziemi — jakby one były uosobieniem tego wszystkiego, co najgorsze. Myślmy w kategoriach przestrzennych dlatego, że jesteśmy osadzeni w przestrzeni i w czasie. Pojmujemy zatem bardzo często niebo jako miejsce. Wydaje nam się, że niebo jest gdzieś bardzo wysoko. I nawet kiedy dzisiaj była msza święta żałobna za dwudziestu lotników, którzy zginęli kilka tygodni temu w katastrofie, to bardzo wiele mówiono o gwiazdach, wśród których są teraz dusze lotników. I o tym, że kiedy człowiek jest w górze, to jest jakby bliżej nieba. Otóż kiedy wystartuje samolot i osiągnie swój pułap, mamy wrażenie jakbyśmy byli 10 km bliżej nieba. Tak myślimy.

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie”. Wydaje się nam bardzo często, że Pan Bóg przebywa w jakimś jednym miejscu, gdzie cieszy się chwałą, otoczony przez dwór aniołów, otoczony przez tych, którzy na rozmaite sposoby Mu usługują i Go obsługują, wielbią i opiewają Jego chwałę, Jego moc, Jego wielkość i Jego potęgę. Tymczasem niebo to jest nie miejsce ale stan. Jakkolwiek nam to trudno wytłumaczyć i zrozumieć to stan oznacza, że niebo jest tam, gdzie jest Pan Bóg i gdzie są ci, którzy wiążą z Nim swoje życie, którzy polegają na Bogu i którzy osiągają szczęście ze spotkania z Bogiem, z wykorzystania Jego łaski i z obfitości, która pochodzi z bliskości Pana Boga. Niebo jest tam, gdzie człowiek Pana Boga doświadcza, gdzie się Nim cieszy, i gdzie Pan Bóg jest obecny i gdzie działa.

Dam państwu przykład z ostatniego tygodnia. Otóż lekarz opowiadał mi, że pytał o możliwości wyjazdu do Lourdes. Że wybiera się do Lourdes, bo musi pojechać do Lourdes żeby Panu Bogu podziękować. Sam jest lekarzem, i to wysokiej klasy specjalistą. I opowiedział mi przypowieść która dotyczy tego, co wydarzyło się w jego rodzinie. Ma córkę, u której w wieku 8 lat stwierdzono bardzo ciężką odmianę padaczki. Diagnozowano to dziecko wiele razy w najlepszych szpitalach, i rezultat był jeden. Mianowicie, że musi być poddana bardzo ciężkiej operacji mózgu polegającej na jakimś tam usunięciu części tego mózgu. I nie trzeba wyjaśniać, że operacja na mózgu zawsze pozostawia bardzo trwałe ślady. I dziecko było przygotowywane do operacji. I wtedy — ileż takich przypadków było zupełnie podobnych — wtedy do matki tego dziecka i do babci przysła sąsiadka, która kilka lat temu była w Lourdes. I przyniosła butelkę z wodą i powiada «Używajcie tej wody». Oczywiście jak zawsze pojawiło się wątplenie. I mówił mi ten lekarz, że kto może wątpić bardziej, niż lekarze — a ja dodam jeszcze: i księża. Więc woda przysła, woda stoi, on patrzy na tę wodę. I powiada, że po kilku dniach jego uwagę zwróciło to, że ta woda nie mętnieje, że się nie zmienia, tylko została przyniesiona krystalicznie czysta i taka jest. I przyszło mu do głowy, żeby głowę córki smarować tą wodą codziennie po trochu, wbrew sobie — powiedział — i wbrew logice, bo to przecież lekarz. Zrobił to. A kiedy udali się do szpitala, żeby zrobić diagnozę przedoperacyjną, która kwalifikuje już do operacji, okazało się, że w głowie dziecka nie ma żadnego śladu choroby.

I to wszystko dzieje się pośród nas, na naszych oczach, w naszych czasach — nie w dawnych. To się dzieje ciągle, tu jest Bóg, i właśnie na tym polega niebo. I dla tego człowieka oznacza to — chociaż cały czas był wierzący — oznacza to spotkanie z Panem Bogiem i oznacza to życie, w którym odkrył, że Bóg jest bliżej niego, i że odkrył, że Pan Bóg to jest ktoś taki, kto puka do drzwi naszych domów, do drzwi naszych serc. I problem tylko polega na tym, żeby to pukanie usłyszeć, i żeby na czas otworzyć. Bo może się zdarzyć, że przecież nikt nie będzie pukał bardzo, bardzo długo, i że również Pan Bóg jakby poczuje się niechciany czy niepotrzebny.

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie”. Nie musimy Go szukać w przestworzach dlatego, że Bóg jest wszędzie. W niebie, w ziemi i na ziemi, i na każdym miejscu, tak wyznajemy w katechizmie. Bóg jest tam zwłaszcza, gdzie jest człowiek, który w Niego wierzy. Niebiosa to nie jest jedno określone miejsce, ale to jest stan zbliżenia się do Pana Boga, ale jest to taki stan, w którym Panu Bogu pozwalamy działać w naszym życiu, zawieramy Mu się, oddajemy Mu się, i stajemy się narzędziami Jego dobroci, Jego miłosierdzia.

Ojcze nasz, który jesteś w niebie,  
święć się imię Twoje!

Mojżesz, kiedy miał wyprowadzić Izraelitów z Egiptu, to pierwsze jego pytanie, które skierował do Pana Boga, brzmiało: „A jakie jest Twoje imię? Bo gdy będziemy chcieli Cię wzywać, to jak mamy się zwracać?” Usłyszał: „Moje imię jest Jestem”. Imieniem Boga jest Jego życzliwa, dobra, serdeczna, współczująca, opiekuńcza obecność. Bóg jest zawsze z człowiekiem. „Święć się imię Twoje!” — tzn. prośba o to, żeby Boża obecność w świecie, i Boża obecność wśród ludzi i w ludziach, została uznana i przyjęta. Ale to jest także prośba o to, żebyśmy nigdy imienia Bożego nie nadużywali do celów, które są niegodne, ani nigdy go nie nadużywali ani nie posługiwali się imieniem Bożym w takich sytuacjach i w takich kontekstach, które Panu Bogu urągają. „Święć się imię Twoje!” — tzn. dopilnuj, żebym uwierzył w Ciebie w czysty i dobry sposób, żebym przede wszystkim Ciebie uwielbił, i żebym ku Tobie skierował swoją uwagę. „Święć się imię Twoje!” — to zabezpieczenie modlitwy przed egoizmem. Zanim zaczniemy Boga prosić, to najpierw Go wielbimy. Gdyby tego nie było, to każda modlitwa byłaby modlitwą żebraków. Widzimy takie sytuacje na co dzień pośród siebie. Wchodzimy do tramwaju czy autobusu. Pojawia się ktoś, kto żebrze. Otrzymuje jeden datek, drugi i trzeci, i idzie dalej tak, jak gdyby nadal nie miał na chleb czy na bułkę. Gdyby ktoś spróbował dać mu nie tylko na jedną bułkę, ale na całe popołudnie albo na cały tydzień, pójdzie dalej i będzie prosił dalej z nadzieją, że jeszcze ktoś inny zrobi tak samo.

I tak jest w naszym stosunku do Pana Boga. Otóż gdyby nasza modlitwa była tylko i wyłącznie modlitwą prośby, to ona byłaby takim powtarzaniem bez przerwy: Daj! Daj! Daj! Pod adresem Pana Boga byśmy kierowali bez przerwy życzenia, które wyrażają wciąż nasze potrzeby. Na samym więc początku Modlitwy Pańskiej uwielbiamy Pana Boga. Mówimy: „Święć się imię Twoje!” Czyli pośród wszystkich spraw i rzeczy, pośród wszystkich potrzeb, pośród wszystkich naszych uwarunkowań, Ty bądź pozdrowiony, Ty bądź pochwalony, Ty bądź wywyższony, bo do Ciebie kierujemy nasze serce. Cieszymy się, że Bóg istnieje, że możemy się do Niego modlić nie dlatego, że nam coś daje, lecz dlatego, że jest. Na tym polega istota miłości, prawdziwej miłości. Matka czeka na dziecko, mąż na żonę, żona na męża, narzeczeni nawzajem na siebie. Ci, którzy się kochają, jedno na drugie nie dlatego, że spodziewają się upominków, tylko dlatego, że czekają na obecność. W tej obecności, w tym przyjsciu jest jakieś spełnienie. I w tej modlitwie chcemy dokładnie tego samego. Mówimy: „Święć się imię Twoje!” — czyli by spośród wszystkich naszych spraw Bóg był przede wszystkim uwielbiony. Bo jak to powiedzieliśmy przy innej okazji: kiedy Bóg jest na pierwszym miejscu, wtedy wszystko jest na swoim miejscu.

Przyjdź królestwo Twoje;

Celem pobożności, celem każdej wiary, celem religii jest zaprowadzanie królestwa Bożego. Czym jest królestwo Boże? Królestwo Boże to pragnienie, żeby w świecie panowały te wartości, istniały te wartości, dawały o sobie znać te wartości, które pochodzą od Boga: dobroć, sprawiedliwość, miłość, miłosierdzie. Wszystko to, co szlachetne i dobre. Żeby do tego w świecie należało pierwsze słowo. „Przyjdź królestwo Twoje” — to znaczy spraw, żeby ustało to, co złe: wojny, waśnie, kłótnie, spory, egoizmy, chciwość, pycha, głupota, zarozumiałość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zdrady. Żeby to wszystko ustępowało obecności Pana Boga i temu, co od Boga pochodzi. „Przyjdź królestwo Twoje” — to znaczy jakby prośba do Pana Boga, by także On zadbał, zatroszczył się o obecność swoją w świecie, który takiej przemiany potrzebuje. Świat zawsze potrzebuje przemiany i oczyszczenia — do tego za chwilę wrócimy. I na początku tej właśnie modlitwy znajdujemy tę prośbę by to, co dobre, co szlachetne i co Boże, by było w świecie widoczne i by wydawało swoje błogosławione owoce.

Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi

Zwróćmy uwagę na jedną rzecz, taką bardzo powierzchowną, prozaiczną. Kiedy się modlimy, to możemy mówić: „bądź wola Twoja” — przerwa — „jako w niebie tak i na ziemi”. I bywa, że nieraz w obiegowym języku wypowiadając modlitwę *Ojcze nasz* bez należytego zrozumienia jej treści. Ta prośba brzmi: „bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi”. O to, że wola Boża

wypełniana jest w niebie, tam w sferze Bożej, o to dba Bóg. O to, żeby wola Boża była wypełniana tu, między nami, o to my mamy zadbać. Ale także prosimy Pana Boga, by nam w tym pomógł. Jak my poznajemy wolę Bożą? Poznajemy ją, ponieważ została wyrażona w przykazaniach. Ale poznajemy ją także, bo została wypisana w naszych sumieniach. Prośba „bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi” znaczy: pomóż nam żyć zgodnie z naszym sumieniem. Pomóż nam żyć zgodnie z naszym rozeznaniem. Pomóż nam żyć tak w tym świecie, który nas otacza, żeby ten świat stanowił odwzorowanie i odbicie Ciebie samego, żeby Ciebie Boże w świecie było jak najwięcej. To bardzo piękna i podniosła prośba.

I tu kończy się pierwsza połowa modlitwy *Ojcze nasz*. Zwróćmy uwagę teraz dopiero, że ta pierwsza połowa jest w całości ukierunkowana ku Panu Bogu. Otóż ona jest w całości teocentryczna, czyli właśnie za swój punkt odniesienia, za swoje centrum, ma Pana Boga. My Go chcemy uwielbić, chcemy by Jego prawo i Jego porządek panował w świecie. Chcemy, by imię Jego zostało uświęcone. Warto i trzeba tę modlitwę odmawiać w sposób świadomy, bo w niej znajduje wyraz to, jak powinna wyglądać właściwa pobożność. Co to znaczy żyć po Bożemu, co to znaczy być człowiekiem religijnym? To znaczy wziąć sobie do serca to wszystko, co mamy na początku modlitwy *Ojcze nasz*. Ta modlitwa jest kierowana do Pana Boga by Go uwielbić, by Go pochwalić, i jednocześnie by Go prosić by Jego obecność i Jego władza, Jego panowanie były w świecie widoczne.

I wtedy następują prośby kolejne. Mianowicie prośby, które zwracają uwagę bardziej na nasze potrzeby.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj

Otóż słowo *chleb* po polsku, [arpa] po grecku, [lehem] po hebrajsku — w każdym języku jest to słowo podstawowe. Słowo, które jest jednocześnie obrazem wszystkich naszych potrzeb. Prośba o chleb to jest prośba o zaspokojenie tego wszystkiego, co codziennie powinno być zaspokajane. Zwróćmy uwagę: nie „daj mi chleba” lecz „chleba naszego powszedniego daj NAM dzisiaj”. Otóż i ta prośba ma charakter modlitwy wspólnotowej. Nie jest dobrą pobożnością, w której człowiek sam jest najedzony i napity, i syty, albo w której prosi, by Bóg zaspokajał tylko jego potrzeby. Tutaj mamy ten wymiar wspólnotowy. Zatem modlitwa *Ojcze nasz* każe zwrócić naszą uwagę, jak wskazuje to również papież Benedykt XVI: kiedy modlisz się zobacz, czy dookoła ciebie nie ma głodnych, spragnionych, opuszczonych, potrzebujących. Dopiero wtedy, kiedy jesteśmy wyczuleni na potrzeby naszych bliźnich, to możemy modlić się do Pana Boga, by zaspokajał wszystkie te potrzeby.

Chleb codzienny. „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj” — nie znaczy, że nie troszczymy się o jutro. Ale modlimy się o to, co jest nam przede wszystkim do życia potrzebne teraz. Co jest ciekawe — logika Pisma Świętego jest inna niż logika współczesnego człowieka. Współczesny człowiek odkłada, oszczędza, odkłada na długi czas, odkłada na dzieci, na wnuki nawet, gromadzi po to, żeby mieć i patrzy w perspektywie przyszłości zapominając, że nie ma na nią rzeczywistego wpływu. W modlitwie *Ojcze nasz* ta logika jest skierowana bardziej na zaufanie Panu Bogu. Nie znaczy to, że człowiek ma nie troszczyć się o przyszłość, ale znaczy to, że ma ją przyjąć, zaakceptować jako ogniwo tego samego zawierzenia Panu Bogu. „Dosyć ma dzień swojej biedy” mówił Pan Jezus, „jutro samo o siebie troszczyć się będzie”. Trudno nam pojmować te słowa bo chcemy, żeby własną przezornością, zapobiegliwością niejako zapewnić sobie przyszłość. Ale logika modlitwy *Ojcze nasz* jest taka, że zachęca nas do tego, byśmy troszcząc się o zaspokajanie codziennych potrzeb jednocześnie mieli serce wolne od nich tak, by nas nie zniewoliły.

W tej prośbie „Chleba naszego powszedniego” Ojcowie Kościoła odkrywali jeszcze jeden wymiar. Mianowicie w języku greckim jest słowo, które my tłumaczymy jako *powszedni*. Ono po grecku brzmi [epiousios]. I to słowo w języku greckim właściwie w starożytności było nieznanne. Poza Ewangeliami nie ma tego słowa w greckim języku. Zwykło je się nazywać, z greckiego znowu, [habaks legomeron], tzn. po polsku *raz powiedziane, raz występujące*. I od starożytności zwracano uwagę, mówiono: Jak to jest? Człowiek modli się o chleb. A Jezus zalecając modlitwę o chleb używa słowa, które występuje tylko raz jeden? I Ojcowie Kościoła dodawali: Bo i rzeczywistość, o którą się modli jest absolutnie wyjątkowa. Mianowicie mówili: Nie chodzi tylko o chleb, który zaspokaja nasze cielesne potrzeby. Ale chodzi o [pardon] po grecku, o Chleb, który On sam nam daje jako pokarm na życie wieczne.



Otóż w ten sposób objaśniana modlitwa *Ojcze nasz*: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj” ma wymiar — i to papież również przypomina — eucharystyczny. Jest to również modlitwa o to, aby naszym chlebem codziennym stawała się Eucharystia. Chleb zaspokaja potrzeby naszego ciała. Eucharystia wychodzi naprzeciw potrzebom naszego ducha. Człowiek wierzący, chrześcijanin modli się o jedno i o drugie. Ten eucharystyczny wymiar modlitwy *Ojcze nasz* jest nam zupełnie nieznan. Dobrze więc, że papież go przypomniał. A przypomniał go odwołując się właśnie do staro-chrześcijańskich korzeni, do komentarzy ojców greckich, więc tych, którzy język grecki znali doskonale. I odwołując się do znaczenia tego słowa [epiousios] wskazuje, że użyte tak osobliwie, raz jeden jedynie w starożytnej Grecji, musi wskazywać także na wyjątkowy kontekst przez Jezusa zamierzony, kontekst właśnie Eucharystii.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj;  
i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom;

Ta prośba pokazuje, że odpowiedzią na zło, którego doświadczamy ze strony naszych bliźnich, bo świat niestety nie jest idealny, nie jest odwet lecz przebaczenie. Bardzo często mamy taką pokusę, by odpowiadać — jak mówimy w języku codziennym — pięknym za nadobne. By drugiemu człowiekowi odpowiedzieć tym samym za to, czego sami doświadczaliśmy. A Jezus łamie tę ludzką logikę. Z tej logiki wynikają spory, kłótnie, waśnie, wojny, konflikty pomiędzy ludźmi, pomiędzy narodami, pomiędzy ludami — bez przerwy gdzieś te wojny są. Jedni odpowiadają drugim tym samym. A Pan Jezus powiada: módlcie się „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Jest wezwaniem nie do zapomnienia, lecz do przebaczenia. Przebaczenie łączy się zawsze z jakimś oczyszczaniem człowieka. Przebaczenie jest procesem trudnym. Przebaczenie można by porównać do obumierania. Musi w człowieku obumrzeć jakaś część — gniew, złość, uraza, słuszne poczucie urażonej godności, żeby urodziło się, odrodziło się coś nowego. Przebaczenie wymaga czasami heroizmu, wymaga męstwa. Jest trudniejsze niż cokolwiek innego, bo łamie ludzki porządek. A przecież modlitwa jest klarowna: „przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Odpuść nam nasze winy. Wtedy możemy zwrócić się do Boga z prośbą o odpuszczenie win, kiedy przebaczymy naszym winowajcom. Przypominamy sobie z pewnością przypowieść Jezusa o człowieku, który miał dług, któremu ten dług został darowany. A następnie kiedy spotkał swojego bliźniego, który był mu winien znacznie mniej, zaczął go dusić i wołać: „Oddaj, coś winien”. Otóż Jezus ostrzega nas przed taką postawą. Codziennie doświadczamy Bożego miłosierdzia. Zatem powinniśmy być w świecie, i wobec tych, którzy przeciwko nam zawinili, również znakiem i narzędziem miłosierdzia. Ta modlitwa w tym miejscu jest bardzo trudna — zwłaszcza, jeżeli chcemy ją wprowadzać w życie. Bo ta modlitwa przypomina nam podstawową prawdę. Jeżeli niesiesz do ołtarza swój dar a wspomnisz, że twój brat ma coś przeciwko tobie, to zostaw przed ołtarzem swój dar, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Mocne wskazanie, do którego każdy z nas powinien przez całe życie dorastać.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom;  
i nie wódź nas na pokuszenie;

To bodaj najtrudniejsze z tych słów, z którymi przychodzi nam się zmagać. Bo wyglądałoby na to, że Bóg wodzi nas na pokuszenie, że od Niego pokusy pochodzą. Otóż miałem nadzieję, że uda nam się dzisiaj tą prośbą modlitwy *Ojcze nasz* zająć. Ale ponieważ objaśnienie do niej jest długie, a przy tym nawiązuje do starotestamentowej Księgi Hioba, a nasz czas się skończył, to musimy refleksję nad tą najtrudniejszą częścią modlitwy odłożyć na następne spotkanie po to, żeby ta refleksja była pełniejsza. „Nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie” — tak tłumaczy się czasami dzisiaj w nowszych komentarzach i w nowszych tekstach Pisma Świętego. Ale modlimy się „nie wódź nas na pokuszenie”.

Tak więc zatrzymamy się na następnej konferencji nad dylematem Hioba. Dobrze to będzie przystawało, mam nadzieję, do atmosfery, do klimatu tej konferencji. Zapraszam na nią państwa bardzo serdecznie w Wielki Poniedziałek, 17 marca, trzeci poniedziałek miesiąca i jednocześnie poniedziałek przed świętami Wielkanocnymi, w Wielkim Tygodniu. Dobrze będzie wtedy przystawało do tej atmosfery Hiob i sprawa Boga, przed którym stajemy i zmagamy się z trudnym problemem zła, pokusy i grzechu. Na Wielki Tydzień dobry to przedmiot do refleksji. Bardzo dziękuję z nadzieją na spotkanie w marcu. Któryś za nas cierpiał rany ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

## 6 *Nie wódź nas na pokuszenie* — co to znaczy? (17 marca 2008)

W imię Ojca ... Ojcie nasz ... Stolico Mądrości ...

Bardzo serdecznie wszystkich państwa witam. Dzisiejszy temat jest tematem bardzo trudnym. Przede wszystkim trzeba było, abym raz jeszcze sam go dobrze przemyślał, dobrze przygotował się, dobrze się zastanowił. I stąd właśnie ta liczba tekstów przed wami, przede wszystkim Pisma Świętego, dlatego, że chciałbym abyśmy dzisiaj przy sposobności rozważania tego przedostatniego zawołania Modlitwy Pańskiej, żeby państwo również trochę zobaczyli na czym polega takie naukowe uprawianie biblistyki, czyli zajmowanie się Pismem Świętym, dlatego, że dzisiejszy temat, ta refleksja którą podejmujemy, wyjątkowo dobrze temu służą. Pamiętają państwo, że na ostatnim spotkaniu przyglądaliśmy się modlitwie *Ojcie nasz* i próbowali ją poznać, zgłębić kierując się przemyśleniami, rozważaniami Ojca Świętego Benedykta XVI. Z tej modlitwy próbowaliśmy uchwycić to, co może być nam potrzebne dzisiaj, co może być dla nas ważne dzisiaj. A mając na względzie fakt, że choćby przez ten miesiąc odmawialiśmy tę modlitwę co najmniej kilkadziesiąt razy przy rozmaitych okazjach, bo zarówno w modlitwie codziennej, w różańcu, podczas mszy świętej i na inne sposoby, to mam nadzieję że to rozważanie sprzed miesiąca pomogło również pogłębić zrozumienie i przeżywanie Modlitwy Pańskiej.

Dziś przechodzimy do wezwania najtrudniejszego i na nim skupimy swoją uwagę. Mianowicie wezwania, które w modlitwie mówimy, czy wypowiadamy po polsku:

I nie wódź nas na pokuszenie,

Drodzy państwo, właściwie od zawsze słyhać pytania na ten temat. Te pytania także dotarły do mnie mniej więcej dwa miesiące temu, kiedy jeden z panów, uczestników tych konferencji – mam nadzieję, że jest również dzisiaj – napisał prawie dwie strony stawiając właśnie to pytanie: jak rozumieć, jak tłumaczyć, jak objaśniać, jak przeżywać to przedziwne wezwanie „nie wódź nas na pokuszenie”. Czyżby Bóg wodził nas na pokuszenie? Czyżby Bóg mógł być dla nas jakimś sprawcą zła albo czyżby chciał doprowadzać nas do upadku? Albo wystawiał nas ponad wszelką miarę na jakąś pokusę, której nie bylibyśmy w stanie znieść? „Nie wódź nas na pokuszenie” — taka prośba kierowana do Boga — czyżby pokuszenie od Niego pochodziło? Czyżby On był źródłem pokuszenia? Czy może wystawiać na próbę Ktoś, kto jest samą Miłością, kto jest Doskonałością, kto jest samym Dobrem? Czy to, co jest trudne, może od Niego pochodzić? A w najgorszym przypadku: czy mogłaby pochodzić od Niego klęska człowieka, jego upadek, zwłaszcza tak wielki, jakim jest grzech? „Nie wódź nas na pokuszenie” — ja myślę, że każdy z nas, kto modli się świadomie, to wcześniej czy później stawał wobec tego pytania, pytania o sens tego wezwania Modlitwy Pańskiej. Trzeba więc dzisiaj abyśmy wspólnie zastanowili się nad tym wezwaniem. I chciałbym państwu uświadomić rzecz, którą bardzo dobrze znacie — że modlitwę *Ojcie nasz* odmawiamy po polsku, bo to jest nasz język ojczysty. Odmawiamy według tekstu, który ma już dobre kilkadziesiąt lat, a w obecnym kształcie sięga końca XVI wieku, kiedy to ksiądz Jakub Wujek dokonał przekładu Pisma Świętego z języka łacińskiego na język polski. I ten jego przekład, znany jako *Biblia Wujkowa*, istniał czy był przyjęty w Kościele aż do II Soboru Watykańskiego, czyli do połowy lat 60-tych ubiegłego już stulecia. Mniej więcej więc 40 lat temu ten przekład został zastąpiony przez nowy przekład, który zwie się *Biblia Tysiąclecia*. I tłumacze Biblii Tysiąclecia — być może ci z państwa, których interesowała ta problematyka, to pamiętają — mieli z modlitwą *Ojcie nasz* ogromne problemy. Dlatego że powstało pytanie: czy pozostać w przekładzie Nowego Testamentu przy tradycyjnej, pacierzowej formie *Ojcie nasz*, czy też należy ją przetłumaczyć w sposób, który byłby zrozumiały i do przyjęcia dla współczesnego człowieka. Ale wtedy należy się liczyć z tym, że nastąpiłby pewien rozdźwięk między przekładem zawartym w Biblii Tysiąclecia a codzienną modlitwą. Była cała dyskusja na ten temat. Dyskusji tej, w końcu lat 60-tych, przewodniczył nieżyjący już ojciec prof Augustyn Jankowski, który 2 $\frac{1}{2}$  roku temu zmarł w dość podeszłym wieku. On przewodniczył tej debacie jak należy we współczesnej polszczyźnie oddać sens, jak należy ująć sens tego zawołania: „nie wódź nas na pokuszenie”. Tłumacze Biblii Tysiąclecia wybrali wyjście:

I niedopusć, abyśmy ulegli pokusie

Ale jak wiemy, w formie pacierzowej to się też nie przyjęło dlatego że modlitwa, zwłaszcza tak codzienna, tak powszednia jak *Ojcze nasz*, odmawiana przez miliony wiernych w ciągu tygodnia, miesiąca i lat, przez całe życie miliony razy, taką modlitwę trudno zmienić.

Dlatego musimy zacząć od początku. Musimy zajrzeć do Nowego Testamentu w języku oryginalnym, tzn. w języku greckim. Dlatego, że Nowy Testament – wiemy o tym doskonale – w całości: Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Listy Apostolskie oraz Apokalipsa św. Jana zostały napisane po grecku. Oto przed państwem grecki tekst Nowego Testamentu — tyle, tylko tyle, i aż tyle. To jest tekst, który stanowi podstawę wszystkich tłumaczeń na języki nowożytne. Został on opracowany bardzo starannie, nazywa się to tzw. tekst krytyczny, nosi angielską nazwę *The Greek New Testament*. Opracował go cały zespół uczonych, wydawany jest w Niemczech niemal każdego roku. Jest to drobiazgowa praca, bardzo żmudna, żeby Nowy Testament podać czytelnikom tak, żeby nie zawierał on żadnego błędu. Dziesiątki ludzi pracowało nad tym, żeby każda kropka, każdy przecinek, każda najmniejsza jota była na swoim miejscu. I jeżeli dzisiaj ktoś podejmuje się przekładu Nowego Testamentu na języki nowożytne, także na język polski, to musi sięgnąć po to właśnie wydanie.

Stąd punktem wyjścia naszej dzisiejszej refleksji będzie pytanie: jak te słowa „nie wódz nas na pokuszenie” brzmią w języku greckim. Otóż dobrze będzie nawet, jeżeli nie wszyscy państwo ten język dobrze znają — (*rozbawienie sali*) — zawsze trzeba się liczyć z niespodziankami, różnie to bywa. Zdarza się, że na tego typu wykładach są np. osoby, które pracowały w Grecji, były w Grecji, albo które znają język grecki, i wcale nie jest rzeczą oczywistą, że nie ma nikogo takiego również wśród nas. Zdarzają się bardzo różne niespodzianki. Ja byłem w ub. tygodniu w Austrii, w Wiedniu. I tam okazało się, że spośród księży, którzy pracują w Austrii, co najmniej kilku słucha w internecie naszych konferencji. Więc dzisiaj świat staje się coraz mniejszy. Ale wracamy do tego tekstu greckiego. Państwo pozwolą, że przeczytam państwu tekst modlitwy *Ojcze nasz* po grecku, ze szczególnym zaakcentowaniem tego wyrażenia, które nas dzisiaj interesuje. Otóż Apostołowie zapisali w Ewangelii tekst modlitwy *Ojcze nasz* tak:

Pater hemon

ho en tois uranois

hagiasteto to onoma sou

*Ojcze nasz*

*który jesteś w niebiosach*

*niech będzie uświęcone Twoje imię*

Mówimy po polsku: „niech się święci imię Twoje”.

elteto he basileia sou;

geneteto to telema sou,

hos en urano kai epi ges;

*niech przyjdzie królestwo Twoje,*

*niech się stanie wola Twoja*

*tak jak w niebiosach, tak i na ziemi.*

I dalej:

ton arton hemon

to etiousion dos hemin semeron;

*Chleba naszego*

*powszedniego daj nam dzisiaj.*

Pamiętają państwo sprzed miesiąca, że temu słowu etiousion poświęciliśmy szczególną uwagę. „Chleba naszego etiousion”. Ojcowie Kościoła mówili, że jeden jedyny raz tylko w grece starożytnej wystąpiło słowo etiousion. Nie może więc znaczyć byle czego. I dopatrywali się w tej prośbie „Chleba naszego etiousion” — my tłumaczymy „powszedniego” — dopatrywali się prośby o Eucharystię, która jest darem najbardziej niezwykłym. A więc w tej prośbie *Ojcze nasz* widzieli coś więcej, nie tylko prośbę o chleb, którym karmimy swoje ciało. Widzieli również prośbę o Chleb, którym karmimy swoje sumienia i swoje wnętrza. Więc jeszcze raz:

ton arton hemon to etiousion dos hemin  
semeron;

kai afes hemin ta ofeilemata hemon,

hos kai hemeis afekamen tois ofeiletais hemon;

*Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.*

*I odpuść nam nasze winy,*

*tak jak i my odpuszczamy tym, którzy zawinili przeciwko nam.*

I teraz:

kai me eisenegkes hemas eis peirasmon,

*i nie wprowadzaj nas*

— mówimy po polsku, staroświeckim językiem polskim: „nie wódź nas”

eis peirasmon

na pokuszenie

Ale sęk w tym, że **peirasmon** nie znaczy dokładnie *pokuszenie* po grecku. Język grecki właściwie nie ma takiego słowa, jak polskie „pokuszenie”. Więc mamy tutaj pewną trudność — jak to greckie słowo dobrze przełożyć na język polski. A zatem o co w tej prośbie chodzi? **Kai me eisenegkes** jest jasne. „Nie sprowadzaj nas, nie dopuszczaj na nas, nie prowadź nas **eis peirasmon**”.

Właśnie to **peirasmon**! Otóż musimy postawić sobie pytanie, i na tym polegają studia biblijne, co znaczy po grecku **peirasmon**. Jak Grecy, którzy modlili się w czasach Chrystusa, i Grecy dzisiaj, rozumieją **peirasmon**?

I drugie pytanie: jeżeli **peirasmon** znaczy coś innego, niż nasze *pokuszenie*, to skąd się po polsku wzięło *nie wódź nas na pokuszenie*? Otóż zaczniemy od tego drugiego pytania. Tekst grecki Nowego Testamentu i tekst grecki Modlitwy Pańskiej został w V wieku przetłumaczony na język łaciński przez św. Hieronima. Ten przekład dokonany przez św. Hieronima, który zmarł w r. 430, nosi nazwę *Wulgata*, znaczy to po polsku: „powszechna”, „rozpowszechniona”. Kto z państwa pamięta nasze pobyty w Betlejem, to z pewnością ma w pamięci także ten szczegół, opowiadany przed Bazyliką Narodzenia Pańskiego, w wirydarzu kościoła św. Katarzyny, że tam właśnie żył, działał i tworzył św. Hieronim, autor tego przekładu z języka greckiego na język łaciński. I Hieronim przekładając to greckie **kai me eisenegkes hemas eis peirasmon** przetłumaczył na łacinę **et ne nos inducas in tentationem**, czyli *nie prowadź nas, nie wódź nas na pokuszenie, na pokusę*.

Otóż nasze polskie słowa pochodzą nie tyle z języka greckiego, tego oryginalnego, tego, w którym została napisana Ewangelia, tylko są dość wiernym oddaniem tłumaczenia łacińskiego — tak, jak rozumiał je św. Hieronim, tak, jak przełożył na łacinę św. Hieronim. Mianowicie mamy tutaj łacińskie słowo **tentatio** — *pokuszenie, pokusa*: „Nie prowadź nas na pokuszenie”.

A dlaczego tak się stało? Dlatego, że w starożytnej łacinie nie było dobrego odpowiednika greckiego słowa **peirasmon**. To, co Grecy nazywali **peirasmon**, tego po łacinie po prostu nie było. Język religijny chrześcijański, łaciński język, nie był jeszcze dostatecznie ukształtowany, brakowało niektórych słów. I stąd Hieronim czasami wynajdował nowe słowa, których przedtem nie było. Ale w tym przypadku wybrał słowo które już ci, którzy mówili po łacinie, dobrze znali. I tak zostało:

Et ne nos inducas in tentationem;  
Sed libera nos a malo. Amen.

*I nie wódź nas na pokuszenie,  
ale wybaw nas od zła. Amen.*

Więc mam nadzieję, że państwo się jeszcze nie pogubili. Musimy sobie postawić pytanie następne, mianowicie takie:

*Jeżeli Hieronim uprościł sobie sprawę i przełożył greckie wyrażenie na łacinę w sposób, który nie dość wiernie oddaje sens języka greckiego, tego pierwotnego, który mamy w Ewangeliach, to wracamy do pytania: w takim razie co znaczy **kai me eisenegkes hemas eis peirasmon** w języku greckim? Co znaczy w Nowym Testamencie? Jak należałoby je przełożyć tak, żeby to było poprawnie?*

I tu możemy odłożyć, przynajmniej na razie, tekst Nowego Testamentu, i postawić pytanie kolejne, które dla państwa nie powinno być trudne ani niezrozumiałe, a mianowicie przypomnieć, że przecież w czasach Jezusa istniała już Biblia Grecka, czyli przekład całego Starego Testamentu na język grecki. I w tym przekładzie Starego Testamentu na język grecki być może było słowo **peirasej**, czasownik **peirasej**. Czyli ten sam źródłosłów, ta sama etymologia, to samo znaczenie, które mamy tutaj w tym **peirasmon**. Otóż jeżeli chcemy zrozumieć sens modlitwy *Ojcze nasz*, to trzeba nam zatem sięgnąć do religijnego języka greckiego, do greki biblijnej, która stanowiła bazę dla języka greckiego Nowego Testamentu.

I proszę popatrzeć — bardzo wiele z państwa widzi pewnie po raz pierwszy w życiu potężną księgę, która ma dwa tomy — to jest tom pierwszy — i która nosi nazwę *Septuaginta*. Drugi tom jest mniej więcej taki sam, i to jest grecki przekład całego Starego Testamentu. Wspominaliśmy już kiedyś że chrześcijanie greccy, prawosławni, są bardzo dumnym narodem chrześcijańskim. Bo państwo zwrócą uwagę: kiedy Grek chce czytać Stary i Nowy Testament, to bierze do ręki Septuagintę, która cała jest po grecku — i to jest Stary Testament, bierze do ręki Nowy Testament, i nie potrzebuje

żadnego tłumaczenia. To jest jedyny naród chrześcijański, który nie ma żadnych przekładów Pisma Świętego, bo takich przekładów nie potrzebuje. To sprawia że greccy chrześcijanie mają szczególne poczucie swojej wolności, godności i znaczenia. Mianowicie powiadają: wy wszyscy potrzebujecie studiów biblijnych, potrzebujecie uczyć się języków obcych, potrzebujecie przekładów. Te przekłady są lepsze, gorsze. A oni w liturgii oraz w indywidualnym czytaniu Pisma Świętego mają wszystko w swoim własnym języku. Oczywiście jest to język starogrecki, starożytny, ale oczywiście dla nich najzupełniej rozumiały. Może czasami trochę inaczej wymawiają słowa dlatego, że nie mają tzw dyftongów czyli jak obok siebie są dwie samogłoski, to ściągają je w jedną typu: *ai* mówią *i*, *ei* mówią *i*, *oi* mówią *i*, opuszczają *a*, *e*, *o*. Ale to jest sprawa wymowy. Natomiast Grek, poczynając od małego dziecka, bierze do ręki Nowy Testament i czyta w swoim języku, Septuagintę czyta w swoim języku.

I tak dochodzimy do kluczowego pytania. Mianowicie czy w Septuagincie spotykamy słowo peirasej? Czy spotykamy to słowo, które występuje w modlitwie *Ojcze nasz*? I okazuje się, że spotykamy! Że to słowo występuje w tekście tak kluczowym że każdy, kto chociaż raz przeczytał Stary Testament po grecku, musiał to słowo zapamiętać. Otóż żeby dać państwu próbkę tego tekstu tak, jak on brzmi w Starym Testamencie — oto właśnie Septuaginta — i to słowo znajdujemy w słynnym epizodzie, który wszyscy państwo znają. Mianowicie jest to opowiadanie o próbie, której został poddany Abraham wtedy, kiedy Bóg zażądał od niego ofiarowania jego syna Izaaka. Jest to 22 rozdział Księgi Rodzaju, który my oczywiście znamy w tłumaczeniu polskim. Natomiast dzisiaj przyjrzymy się temu tekstowi z drugiej strony, żeby móc jak najlepiej uchwycić sens Modlitwy Pańskiej. Otóż w greckim przekładzie początku tego 22 rozdziału czytamy tak:

Kai egeneto meta ta hemata tauta  ho Theos epeirasen ton Abraham	<i>A stało się że po wszystkich tych sprawach, po wszystkich tych wydarzeniach Pan Bóg <span style="border: 1px solid black; padding: 2px;">epeirasen</span></i>
---	--

To jest to peirasmon: kai me eisenegkes hemas eis peirasmon w *Ojcze nasz*, a tutaj:

ho Theos epeirasen ton Abraham. Otóż jak to przełożymy? Czyżby sprawił pokusę u Abrahama? Nie, tak nie możemy przełożyć, bo to byłoby bez sensu: Wodził na pokuszenie Abrahama? Nie, zaraz wrócimy do tego, jak to przełożyć. Ale państwo popatrz — mamy to słowo, i to słowo stanowi klucz do zrozumienia tego całego fragmentu. Jeszcze raz, gdybyśmy chcieli to przypomnieć: „A stało się, że po wszystkich tych wydarzeniach Bóg epeirasen ton Abraam.”

Kai eipen	<i>I powiedział</i>
-----------	---------------------

Otóż żeby dać państwu pojęcie o tym, jak bogatą dziedziną są studia biblijne, odstawiamy język grecki na bok, posłuchamy tego fragmentu po hebrajsku, ponieważ tekst grecki jest przekładem z języka hebrajskiego. Jeżeli chcemy zrozumieć sens tego zawołania, to musimy cofnąć się do samych podstaw tego tekstu, czyli musimy zadać sobie pytanie, że tak powiem, o jego hebrajski pierwowzór. Otóż to jest z kolei Księga Rodzaju w języku hebrajskim, obłożona w taki papier z dawniejszych czasów, jeszcze Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej. Już tylko jedna księga, żeby po prostu było łatwiej nieść, Septuaginty tak wydanej nie ma. Czyta się oczywiście od końca, w środku jest oczywiście tekst hebrajski. Teraz więc wiemy, że żeby zrozumieć to greckie *nie wódź nas, nie sprowadzaj nas* eis peirasmon, to przeczytamy ten fragment, w którym właśnie Bóg doświadcza Abrahama, czy wchodzi w taką zażyłość z Abrahamem stawiając go wobec czegoś nowego, wobec czegoś, co po grecku zostało nazwane peirasmon.

Jeżeli zrozumiemy na czym polega doświadczenie Abrahama, to będziemy rozumieli, już wtedy właściwie, o co modlimy się w modlitwie *Ojcze nasz*. Posłuchajmy zatem. Państwo posłuchają jak ten fragment, początek tego wiersza, który przed chwilą czytaliśmy:

Kai egeneto meta ta rimata tauta

i tak dalej, jak brzmi po hebrajsku, i to sobie skomentujemy dokładnie.

Wajehija hareha devali haelle *A oto stało się że po tych rzeczach, po tych wydarzeniach*  
tłumaczyliśmy to przed chwilą z greckiego, teraz z hebrajskiego

A Bóg — jak przetłumaczyć **nissa**? Grecy przetłumaczyli **epeirasen**. A po polsku tłumaczy się: *Bóg wystawił na próbę, wypróbował, doświadczył Abrahama*. Otóż to, co za chwilę będzie, to jest próba, to jest doświadczenie. Na czym ono polega? Jeżeli chcemy zrozumieć ten epizod, musimy to cały czas mieć w głowie. Niestety bardzo wielu komentatorów polega na tym, że czytają ten tekst i zapominają o tym, co przeczytali na samym początku — że to, co ma się wydarzyć, stanowi próbę, stanowi doświadczenie. Otóż Bóg ma doświadczyć Abrahama. Oczywiście bardzo wielu ludzi odczuwa bunt już teraz na samym początku. Mianowicie jak to jest możliwe, i dlaczego Bóg doświadcza Abrahama? Myślę, że po części stanie się to zrozumiałe w trakcie lektury tego tekstu, niezwykle poruszającego. Ale trzeba na samym początku zaznaczyć, że chociaż między człowiekiem a Bogiem istnieje partnerstwo, to jednak nie można Boga sprowadzać do naszego poziomu. Bóg nas stworzył, powołał do istnienia, i z każdym człowiekiem ma swoje szczególne plany. A więc wobec każdego człowieka posiada również szczególny autorytet. Otóż musimy na samym wstępie założyć, że Bóg ma prawo do człowieka, a jest to prawo miłości. Otóż miłość rodzi szczególne zobowiązania dlatego, że dokonuje się na zasadzie wzajemności. I będziemy widzieli za moment że to, czego Bóg potrzebuje od Abrahama, czego od niego oczekuje, to jest wzajemność w miłości, którą mu okazuje. Ta wzajemność ze strony Abrahama przejdzie trudną próbę, ciężką próbę. Ale gdyby Abraham przez nią nie przeszedł, nie został jej poddany albo jej nie sprostął, to byśmy nigdy o tej próbie nie wiedzieli dlatego, że ta próba przeobraziłaby się w klęskę, w porażkę. Być może są tacy ludzie, którzy w spotkaniu z Bogiem, wystawieni na tę próbę, na tę konieczność odwzajemnienia Bogu jego miłości, być może nie są w stanie tego jarzma miłości podjąć. Miłość ma bowiem to do siebie, że jest krępująca. W ogóle wzajemność jest krępująca. Miłość ma to do siebie, że sprzeciwia się chciwości, pysze, egoizmowi. I ci wszyscy, którzy polegają tylko na sobie i szukają swego, nie potrafią odwzajemniać ludzkiej miłości, a zatem nie potrafią też odwzajemniać miłości Bożej. Bunt przeciwko temu — jeżeli ktoś czuje i stawia pytanie: „Dlaczego Bóg wystawia Abrahama na próbę?” — jest w gruncie rzeczy buntem przeciwko odwzajemnieniu miłości, z jaką Bóg do Abrahama wychodzi. Ale jest to miłość wymagająca. Bo miłość, ta prawdziwa, jest zawsze bardzo trudna. A więc posłuchajmy dalej.

Wajomer law

*i rzekł do niego*

Bóg rzekł do niego. Musimy — powtarzam to po raz trzeci — pamiętać cały czas, że to jest próba. Kto wie o tej próbie? Kto wie, że to jest próba, że to jest **nissa** – *próba*? My, którzy czytamy ten tekst. My, którzy go słuchamy w kościele, w synagodze czy w meczecie. My, którzy rozważamy ten tekst. Kto nie wiedział, że to jest próba? Nie wiedział Abraham. Otóż Abraham od początku jawi się jako ten, który jest rozmówcą Pana Boga, ale nie do końca wie, nie do końca zna Boże zamysły i Boże zamiary. Abraham musi uwierzyć Bogu. Tu nie ma problemu, czy Abraham wierzy w Boga — to jest oczywiste. Bóg dla Abrahama jest kimś obecnym, zwyczajnym wręcz. Tylko pytanie, próba, przed którą staje Abraham, polega na tym, czy Abraham jest w stanie, jest mocen odpowiedzieć na tę Bożą miłość, która ku niemu jest kierowana i która wymaga bezgranicznego zaufania. Bo ludzka miłość ma to do siebie, że wprawdzie okazuje zaufanie, ale jest to zawsze zaufanie ograniczone i kontrolowane. I coś podobnego chciałby człowiek ofiarować Panu Bogu. A wtedy ta miłość przekształca się w swoiste sprawdzanie Pana Boga, w swoistą Jego weryfikację. Tak jak pod krzyżem wołali ci, którzy patrzyli na Jezusa: „Zejdź z krzyża, to uwierzymy Ci!” I my też: „Zrób to czy tamto, to będę Ci wierzył, to będę wobec Ciebie lojalny”. I posłuchajmy. Więc Bóg rzekł do Abrahama:

Abraham

*Abrahamie*

Bóg zwraca się do Abrahama po imieniu. Otóż kiedy Bóg zwraca się po imieniu, mamy do czynienia z powołaniem. Powołanie ma zawsze charakter indywidualny. Człowiek powołany nigdy nie wie, nigdy nie rozumie i bardzo często nawet nie usiłuje zgłębić dlaczego dar powołania dotyczy właśnie jego. Przy czym powołanie musimy dobrze rozumieć – otóż jest to powołanie do bardzo trudnej odpowiedzialności. Za chwilę zobaczymy że to, co czeka Abrahama, jest dramatycznie trudne. Ale na czym polegałaby wzniosłość powołania, które jest łatwe albo które nic nie kosztuje? Powołanie, aby mogło być sobą, musi człowieka kosztować, to znaczy musi tak człowieka

przeżreć, przepalić, wchłonąć tak jak ogień który zmienia materię, i z tego wyłania się coś nowego. Bóg zwraca się po imieniu dlatego że powołanie, które ma zawsze charakter osobisty, jest skierowane do tego konkretnego człowieka. Inny człowiek nie mógłby tego powołania podnieść, ponieść, nie mógłby go przyjąć, być może nie mógłby go znieść. Nie wszyscy nadają się do rzeczy trudnych. Nie wszystkich można postawić wobec ciężkiej próby życiowej. Jeżeli więc Abraham został wobec niej postawiony, to także dlatego, że Bóg ma do niego szczególne zaufanie. A pytanie, które my mamy, sprowadza się do tego czy Abraham sprostą tej próbie. Czytamy dalej:

Waiomer Himeli	<i>A on odpowiedział: Jestem</i>
-------------------	--------------------------------------

Himeli znaczy po polsku *jestem*. „Abraham?” „Jestem!” Zwróćmy uwagę: jedno słowo – „Abrahamie”, i jedno słowo odpowiedzi – „Jestem”. Otóż Bóg nie jest gadatliwy, i pewnie nie bardzo lubi gadatliwości. Między Bogiem a Abrahamem rozgrywa się tajemnica powołania, gdzie wystarczy jedno słowo. Dobrze wiemy że to słowo *Jestem*, którym odpowiada Abraham, to zarazem aluzja do imienia Boga. Imię Boże brzmi Jahwe czyli Jestem. I tak jak Bóg jest przy człowieku, tak Abraham deklaruje, że jest przy Bogu. Ale to Himeli — *jestem* oznacza również gotowość. Zwróćmy uwagę, że powołanie do rzeczy trudnych może przyjść bardzo nieoczekiwanie, w czasie, którego się nie spodziewamy. Tu jest to powołanie do cierpienia, do cierpienia ponad wszelką ludzką miarę i ponad wszelkie wyobrażenie. Abraham nie czekał na ten moment specjalnie, ani się do niego nie przygotowywał. Ale wyraża swoją gotowość.

Cały czas przypominam — chcemy się przyjrzeć i zrozumieć na czym polega to greckie peirasmon, które na końcu postaramy się przełożyć na język polski po to, żeby dotrzeć do sensu Modlitwy Pańskiej. Więc Bóg wystawił Abrahama na próbę, zwrócił się do niego po imieniu: „Abrahamie”, a Abraham odpowiedział „Jestem”.

Waiomer	<i>I rzekł</i>
---------	----------------

Bóg, bo to o Boga chodzi.

Kah na	<i>Weź proszę</i>
--------	-------------------

Pan Bóg jest zawsze bardzo uprzejmy, to na po hebrajsku znaczy *proszę*. Kah na — *Weź proszę*. W tym jest jakaś prośba. Ale w tej łagodnej formie, w tej życzliwości, w tej serdeczności ze strony Boga wyraża się też zachęta: „Zaufaj Mi! Pamiętaj, że nie jesteś sam”. Bogu zależy na tym, żeby Abraham wyszedł z tej próby zwycięsko.

Kah na et binha et unideha aszera ahafta	<i>Weź proszę twojego syna twojego jedynego syna którego miłujesz</i>
--	---

Proszę popatrzeć — ogromna większość z państwa ma swoje dzieci. Proszę popatrzeć na stopniowanie. Weź swojego syna, a więc jest to wyraźnie binha — *twojego syna*. A więc nie pierwsze lepsze dziecko, nie syna sąsiada, nie kogoś znajomego, weź własnego syna. et unideha — *jedynego*, bo był to jedyny syn Abrahama zrodzony z jego żony Sary w jej późnej starości. ahafta — kto był w Ziemi Świętej, pamięta: nazwa kosmetyków *Miłość*.

aszera ahafta	<i>którego miłujesz</i>
---------------	-------------------------

Syn — jedyny — którego miłujesz. Stopniowanie: coraz więcej, coraz mocniej. Otóż to, co ma Abraham złożyć, to jest ofiara z miłości. Ma poświęcić swoją miłość do syna. Nie rozumie tego, nikt tego nie rozumie. My nie możemy tu zadawać pytania dlaczego Bóg potrzebuje tego, co będzie za chwilę, bo Bóg tego nie potrzebuje. To jest próba, próba miłości Abrahama.

el Iccak	<i>Izaaka</i>
----------	---------------

żeby nie było żadnych wątpliwości, że to o Izaaka chodzi.

lehleha el eresha Morija	<i>i udaj się do ziemi Moria</i>
--------------------------	----------------------------------

Otóż ważne tutaj jest — zawsze podkreślają to komentatorzy — to lehleha. Abraham słyszy

je drugi raz w życiu. Pierwszy raz usłyszał je wtedy, kiedy był jeszcze w Charanie, na terenie Mezopotamii, i usłyszał głos Bożego powołania, który brzmiał:

lehleha atta

*Idź ty, właśnie ty.  
Idź do ziemi, którą ci wskażę*

I tu, kiedy już jest stary, kiedy jego życie zbliża się do końca, kiedy mu się wydawało, że ma przyszłość zapewnioną w osobie jego syna Izaaka, wtedy słyszy drugi raz: **lehleha** czyli *Idź*. I to takie przynaglające go do działania. **lehleha** — udaj się, właśnie ty, do kraju Moria. Kraj Moria to jest teren, gdzie dzisiaj znajduje się Jerozolima. A wzgórze Moria to jest wzgórze, na którym wznosiła się świątynia jerozolimska. Oczywiście w tym czasie nie było jeszcze świątyni jerozolimskiej. Cały ten epizod ma miejsce na kilkaset lat przed jej zbudowaniem, rozgrywa się na około 1750 lat przed Chrystusem. Więc idź do kraju Moria

we ha alehu szamle ola  
al ahat kehalim  
aszer omer eleha

*i złóż go tam na ofiarę  
na jednej z gór  
o której Ja ci powiem, którą Ja ci wskażę*

Jedno ze wzgórz ma stać się świadkiem złożenia Izaaka, syna Abrahama, na ofiarę. Jaka to jest ofiara? Ta ofiara nazywa się **olla** po hebrajsku. Znaczy to po polsku *całopalna*. A jej greckim odpowiednikiem jest **holocaustos** — znają to państwo z określenia holokaustu odnoszonego do zagłady Żydów podczas II wojny światowej. Otóż wielu Żydów odnosi do tej zagłady, dokonanej przez narodowych socjalistów, właśnie to hebrajskie określenie **ola** — *ofiara całopalna*. Wielu innych buntuje się przeciwko temu bo powiadają, że ofiara całopalna miała to do siebie, że była składana dobrowolnie. A przecież ci, którzy szli na śmierć, nie czynili tego z własnej woli, ale zostali życia pozbawieni.

Zostawiając na boku te spory, które dotyczą holokaustu, nas interesuje to jedno. Mianowicie próba, przed którą staje Abraham, polega na tym, że ma złożyć swojego syna w ofierze całopalnej na jednym ze wzgórz w ziemi Moria. Jeszcze raz chciałbym państwu mocno podkreślić, że nie można tu stawiać, nie wolno tu stawiać pytań dlaczego Bogu ta ofiara jest potrzebna. Bóg powstrzyma rękę Abrahama. Bóg nie chce śmierci Izaaka, nie pragnie tej śmierci. Bóg chce doświadczyć, chce sprawdzić, chce wystawić na próbę ufność, zaufanie Abrahama. Czy Abraham wyjdzie z tej próby? Czytamy tak:

Waiaszkiem Abrohem bamboker

*Wstał Abraham rano*

Proszę popatrzmy — między powołaniem, które Bóg skierował i odpowiedzią **himeli** — *Jestem*, a wstaniem, następuje noc. Ta noc była najtrudniejszą nocą w życiu Abrahama. Otrzymał tę wiadomość zanim noc zapadła i nigdy nie będziemy wiedzieli, co on czuł. Ja myślę, że pewnie ogromna większość z nas ma w życiu taką jedną noc za sobą. Doświadczają jej zwłaszcza ci, którzy otrzymują dramatyczną wieść. Będzie to zwłaszcza wieść, że ktoś jest chory na raka. Diagnoza, że jest to rak złośliwy. I wraca się do domu, i człowiek zamyka się w czterech ścianach. I co dalej — nie da się opisać. Będzie to oczekiwanie na jakiś zabieg, operację. Będzie to wiadomość o ciężkiej chorobie czy śmierci kogoś bliskiego. Będzie to wiadomość o zdradzie, o samotności, o opuszczeniu, o sprzeniewierzeniu się, o utracie czegoś. Otóż to jest ta noc Abrahama. Każdy człowiek przeżywa tę noc po swojemu. Abraham przeżył ją również sam. Nigdy nie będziemy wiedzieli co czuł. I nigdy nie wiemy co czują ci, którzy mają taką właśnie samotną noc, kiedy czekają niecierpliwie do rana. Więc:

Waiaszkiem Abrohem bamboker

*Wstał Abraham rano*

i proszę popatrzeć na kolejność jego działań:

waiahamosz et hamoron

*i osiodłał, i przygotował swojego osła*

Osiół jest w tym wszystkim obecny, zwierzę. Najpierw wstaje Abraham jak dobry gospodarz, następnie przygotowuje osła. A gdzie Izaak? Izaak jeszcze śpi, jeszcze o niczym nie wie. Podobnie jak inni, śludzy, itd. — nie wiedzą. Otóż nie zawsze z tym, co jest bardzo trudne, musimy szybko dzielić się z innymi. Po pierwsze dlatego, żeby innym zaoszczędzić cierpienia, których mogą choćby przez jakiś czas uniknąć, żeby skrócić cierpienia. Wiedzą o tym ci, którzy dobrze wiedzą czym



jest miłość. Po drugie dlatego że bywają takie dramaty, że wiedza ze strony innych może tylko ten dramat powiększać. Że oto człowiek staje wobec czegoś, co jest trudne, samotnie. Zatem tu pierwszym towarzyszem Abrahama jest osioł. Nawiasem mówiąc można zrobić sporo rozważań na temat udziału zwierząt w dziejach zbawienia.

Waika hetsenaraaw  
itto

*a potem wziął dwóch chłopców, dwóch służących  
ze sobą*

Mamy więc Abrahama, mamy osła, który jest osiodłany, mamy dwóch służących chłopców,

bel Iccak

*i Izaaka*

i dopiero teraz Izaaka. Niech sobie pośpi! Izaak — na końcu. Czyli gdybyśmy chcieli kręcić film, to mamy cztery osoby i osła. Więc:

weeti Iccak beno  
waiebakka etcej ola

*i Izaaka swojego syna  
i związał drzewa na ofiarę*

W Ziemi Świętej nie wszędzie są drzewa. Więc nazbierali drzew tak, jak nasz chrust, związał te drzewa na ofiarę,

waikkah  
waieleh elhammakok amar loh Elohim

*wziął je  
i udał się na miejsce, o którym Pan Bóg  
mu powiedział*

Jeżeli więc popuścimy wodze wyobraźni, to mamy starca, mamy jego zupełnie młodego syna, mamy dwóch służących, osła, który niesie drewno, i wszyscy udają się w nieznanym kierunku. Tradycja żydowska mówi, że Izaak miał w tym czasie już minimum 13 lat. Trzynastcie lat to czas, w którym żydowskie dzieci przyjmują obrzęd Bar Micwa, to jest odpowiednik naszego bierzmowania. Jest to jakby wtajemniczenie, inicjacja, wprowadzenie w życie dorosłe. Taki trzynastolatek jest już zobowiązany do zachowywania przykazań, a w niektórych rejonach starożytnego świata mógł się nawet żenić. Więc Izaak jest młody, ale odpowiedzialny za siebie. I czytamy dalej:

waiom haszemiszin

*a dnia trzeciego*

Proszę popatrzeć — minął dzień pierwszy, dzień drugi, i na trzeci dzień. O tych dwóch dniach znów nic nie wiemy. Nie ma tutaj nic, co by nam mówiło o uczuciach Abrahama, co czuł, o jego zmaganiach, o jego poświęceniu, o jego nastroju — nie ma nic. Są rzeczy w życiu człowieka, które są nie do przekazania, pozostają jego tajemnicą i jedynym wyjściem czy jedyną ulgą pozostaje milczenie. Więc:

waiom haszemiszin waica Abraham etenaaw  
waiare hammakom berahok

*A dnia trzeciego Abraham podniósł  
swoje oczy  
i zobaczył, ujrzał to miejsce z daleka*

To tak jak człowiek czuje, że oto zbliża się jego los. To może trochę tak, jak trzeci upadek Jezusa. Pielgrzymi do Jerozolimy pamiętają, że miejsce trzeciego upadku Jezusa jest już w bezpośredniej bliskości Kalwarii. Dzisiaj tego dobrze nie widać, bo na miejscu Kalwarii wznosi się Bazylika Grobu Pańskiego, są tam kramy, sklepy, kościoły i wszystko. Natomiast od trzeciego upadku na Kalwarię jest niecałe 50 metrów. Zapewne było tak, że kiedy Jezus zobaczył miejsce swojej egzekucji, swojej śmierci, utracił siły i upadł po raz trzeci. Abraham też w pewnym momencie przeczuwa że ten dramat, który ma się rozegrać, rozegra się właśnie tam. Podniósł oczy i zdaje sobie sprawę, że miejsce o które chodzi, to jest to. A więc dramat teraz nabiera tempa.

Waiomer Abraham et naraaw  
szewulahem po hahamor

*Wtedy powiedział Abraham do chłopców,  
do tych obydwu służących  
zostańcie tutaj z osłem*

Proszę popatrzeć — człowiek, który staje wobec tak ciężkiej próby, a pamięta o służących i o tym towarzyszu ich drogi, którym był osioł. Chłopcom poleca opiekować się osłem.

waami behannaar  
nelha  
atkuah  
we niszta hawe we naszuba Alehem

*a ja i syn  
pójdziemy  
pójdziemy tam  
oddamy pokłon Bogu i powrócimy do was*

Czy ma tutaj czegoś, co państwa dziwi? Część komentatorów pisała tak: Abraham oszukał chłopców. Przecież wiedział, że idzie złożyć Izaaka w ofierze. Dlaczego mówi zatem chłopcom, że pójdziemy tam, pokłonimy się Bogu, i wrócimy do was? Abraham wygląda na kłamcę. Ale zdecydowana większość tych, którzy tekst biblijny czytają bardzo wnikliwie, tłumaczy — i ma na pewno słuszną — że Abraham już wtedy zdawał sobie sprawę, że jeżeli Bóg wymaga od niego czegoś, co jego zdaniem jest ponad jego siły, to jednocześnie daje mu moc i znajdzie rozwiązanie tego, czego od niego wymaga.

Tak przybliżamy się do zrozumienia sensu ostatniego zawołania modlitwy *Ojczy nasz*. Otóż Abraham ufa Bogu, przyjmuje Jego wolę. Ale zarazem zdaje sobie sprawę i akceptuje fakt, że w tym przyjęciu woli Bożej nie pozostaje sam, nie jest osamotniony, że Bóg jest po jego stronie, i że Bóg znajdzie wyjście z tej arcytrudnej sytuacji. Dlatego nie mówi chłopcom inaczej jak: „My tam pójdziemy, pokłonimy się Bogu, i wrócimy do was. A wy tu przypilnujcie tego osła.” I rozpoczyna się chyba najbardziej wzruszająca część tego tekstu.

waikkah Abraham etse  
a olla  
waiasem al Iccak

*i wziął Abraham drzewa  
na ofiarę  
i włożył je na Izaaka*

Do tej pory te związane drzewa niósł osioł, teraz niesie Izaak. Izaak, powiedzieliśmy, był już kilkunastoletnim chłopcem i również przeczuwał, co się wydarzy. Dlatego tradycja starochrześcijańska, podobnie jak wcześniejsza żydowska mówi, że ojciec i syn rozumieli się doskonale.

waikkah beiado ethaesz  
weethamalehed  
waiethu elehem iahdaw

*i wziął w swoje ręce ogień  
i krzemień  
i poszli obaj iahdaw*

I w komentarzach mówią: najważniejsze jest to **iahdaw** — *razem*. Ojciec i syn zespoleni w jednej wierności Bogu, w jednym zaufaniu wobec Boga. Gotowi do przyjęcia Jego woli, jeden i drugi. I tu między nimi mamy dialog.

waiomer Iccak et Abraham  
adiw  
waioner  
awi

*Wtedy rzekł Izaak do Abraham  
swojego ojca  
i powiedział  
tatusiu*

**awi** — po polsku *tatusiu*. Bóg zwrócił się do Abrahama: „Abraham”. A Izaak zwraca się do Abrahama: **awi**. Tak po dziś dzień dzieci żydowskie, arabskie zwracają się do swoich ojców. **Awi** — *tatusiu*, **imi** — *mamusiu*. Bardzo takie krótkie i mocne.

waiomer  
hinemi

*i odpowiedział  
Jestem*

Słyszeliśmy to **hinemi**. Bogu odpowiedział **hinemi**, i do swego syna mówi *Jestem*. Jestem, a więc nic ci nie grozi, jesteśmy obaj. Ten los, nasza dola jest wspólna.

hinemi beni  
waiomer hinnikaejsz reha iccim  
we ajeha se ola

*Jestem mój synu  
powiedział Izaak: oto drzewo i oto ogień  
a gdzie jest jagnię na ofiarę?*

Pytanie jak najbardziej na miejscu. Gdzie jest jagnię na ofiarę?

Wajomer Abraam

*I odpowiedział mu Abraham  
Bóg upatrzy sobie jagnię na ofiarę, mój synu*

Czy kłamał? Nie! Bóg upatrzy sobie jagnię na ofiarę, mój synu. I tak szli obaj dalej, szli obaj razem. Znow ta absolutna zgodność. Zwróćmy uwagę, że ten dramat obydwu osiąga teraz swój

szczyt. I dochodzą do tego miejsca, gdzie Abraham ma złożyć swojego syna w ofierze. Mało tego. Abraham związał swojego syna. To związanie nazywa się po hebrajsku **akeda** — i tak nazywa się cały ten fragment. Związał swojego syna i ułożył na drwach. Po czym wziął do ręki nóż — i Bóg powstrzymał jego rękę. I pojawiają się słowa, które w tym wszystkim są najbardziej dramatyczne:

al disla jadeha et hannahar we alta azeloma nouma ti attaja ati ki jare Elohim
---

*Nie podnoś ręki na chłopca  
i nie czyni mu czegokolwiek złego  
bo teraz poznałem  
że boisz się Boga, że czcisz Boga*

Próba dobiegła końca. Można by powiedzieć, że była absolutnie wyjątkowa. Ale z tej próby wylania się kilka obserwacji, które odnosimy do modlitwy *Ojcze nasz*. Po pierwsze: Bóg dopuszcza, chce próby, doświadczenia tych, których w szczególny sposób miłuje. Po drugie: tej samej próby nie mogliby zapewne znieść inni ludzie, i przyjąć inni ludzie. Więc do tej trudnej próby nie są ludzie wybierani przypadkowo. Po trzecie: jest to zawsze próba miłości, której sedno stanowi wzajemność. Po czwarte: ta wzajemność przychodzi bardzo trudno ale człowiek czuje, że nie jest w tym sam. Abraham wychodzi w całości zwycięsko.

Wróćmy do *Ojcze nasz*.

kai me eisenegkes hemas eis peirasmon
---------------------------------------

*nie wprowadzaj, nie wystawiaj nas na próbę*

domyślnie czy z dopowiedzeniem: *takq, której nie bylibyśmy w stanie znieść*. Nie wystawiaj nas na próbę ponad nasze siły. Nie wystawiaj nas na próbę większą niż to, co jesteśmy w stanie przyjąć. Otóż sens tej modlitwy i sens tego wołania bodaj najlepiej zrozumiał św. Paweł Apostoł który w odniesieniu do tego, co sam przeżył i wspominał jakich prób ze strony Boga i ludzi doświadczał, i zamykał to słowami, które usłyszał od Chrystusa wtedy, kiedy Chrystus go powołał. A brzmiały one: „Wystarczy ci Mojej łaski, bo moc w słabości się doskonali”. Otóż słabość, cierpienie, choroba, upokorzenie, samotność, zdrada, wszystko to, co trudne — jako sposobność do wykazania mocy, której źródłem jest Pan Bóg.

Moc, która w słabości się doskonali! I wystarczy ci Mojej łaski! Czyli człowiek wystawiony na trudną próbę nigdy w tej próbie nie jest sam. A ponieważ mamy czas Wielkiego Tygodnia to nie od rzeczy będzie przypomnieć motyw, który państwo już znają. Ten mianowicie, że na tej górze, na tym wzgórzu w Jerozolimie, na którym Bóg powstrzymał rękę Abrahama i nie doszło do śmierci Izaaka, ok. 1700 lat później, obok, na krzyżu, Bóg nie powstrzymał ręki tych, którzy przybijali Jezusa do krzyża. Ale tym razem to Bóg stawał się Abrahamem. To Bóg sam składał, można by powiedzieć, na ofiarę w ofierze swojego Syna. To sam Bóg przeszedł przez dramat, i to ten najciemniejszy, ludzkiego losu którym jest cierpienie i śmierć. Mówiono potem: Bóg jest niecierpieliwy, ale współcierpi z ludźmi. Znaczący to: Bóg jako Duch Absolutny nie podlega cierpieniu. A przecież współcierpi z ludźmi. I to, że dla nas i dla naszego zbawienia stał się w Jezusie człowiekiem, pokazuje iż to, czego oszczędził Abrahamowi, nie oszczędził sobie. Taka była cena, taka jest cena której wymagało, domagało się zbawienie człowieka i zbawienie ludzkości.

Oto próba, można by powiedzieć, przez którą przeszedł sam Bóg. Dlatego On nie tylko jest po stronie cierpiących, On nie tylko jest po stronie prześladowanych, On nie tylko ich rozumie — tylko w pewien sposób, którego ludzkim językiem wytłumaczyć nie możemy, Bóg znalazł się wśród nich i Bóg jest jednym z nich. I w okresie Wielkiego Tygodnia dobrze o tym pamiętać. W filmie „Pasja”, który kilka lat temu pokazywano, dzisiejszej nocy też podobno był pokazywany, reżyser pokazał tę podatność na współcierpienie ze strony Boga w takim symbolu, jak to wraz ze śmiercią Jezusa na ziemi z nieba spada taka wielka łza. Jest to łza Boga, Bóg płacze.

Dlaczego — wracamy więc do pytania, które tyle razy postawiliśmy — dlaczego cierpienie, zwłaszcza cierpienie sprawiedliwych, ma taką wartość? Dlaczego ma takie znaczenie? Dlaczego ludzie cierpią? Dlaczego Bóg sam przeszedł przez cierpienie? Otóż odpowiedź jest tylko jedna. Ta mianowicie, że sens cierpienia niewinnych, sens cierpienia ludzi dobrych istnieje, ale jest znany tylko Bogu. Gdybyśmy chcieli ten sens przeniknąć, to tak jak gdybyśmy chcieli osiągnąć rozum Boży.

A więc: *nie wódź nas na pokuszenie* należy rozumieć: „nie wystawiaj nas na takie próby, których nie bylibyśmy w stanie znieść”. Jeżeli doświadczasz — to daj łaskę. Jeżeli doświadczasz to daj również moc do przyjęcia i do zniesienia.

Jeżeli tak będziemy przeżywali tę modlitwę, i jeżeli tak będziemy ją pojmowali na kształt tego, co doświadczył Abraham, myślę że ta modlitwa stanie się bardzo ważnym i użytecznym kluczem do dobrego chrześcijańskiego życia. A może któregoś dnia albo którejś nocy przyda się niejednej i niejednemu z nas. Dobrze więc wcześniej modlić się codziennie w *Ojciec nasz* o to, aby — jeżeli ktoś z nas zostanie powołany do pójścia drogą takiej próby — żeby umiał iść śladami Abrahama.

Dzisiaj bardzo państwu dziękuję. Na kolejną konferencję zapraszam w trzeci poniedziałek kwietnia, to jest 21 IV. Życzę dobrych, radosnych, spokojnych i błogosławionych Świąt. Któryś za nas cierpiał rany ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

## 7 Co to znaczy być uczniem Jezusa — (21 kwietnia 2008)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór. W imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolicę Mądrości ...

Kolejny raz bardzo serdecznie państwa witam, teraz w kwietniu, na kolejnej konferencji biblijnej. Powoli nasz cykl tegoroczny zbliża się do końca. Towarzyszmy Ojcu Świętemu Benedyktowi XVI w jego spotkaniu z Chrystusem i chcemy żeby to było także nasze spotkanie z Chrystusem. Chcemy bowiem głębiej przeżywać swoją wiarę, lepiej Pana Jezusa poznać, a przez to mocniej, silniej do Niego przylgnąć, lepiej zrozumieć świętą wiarę i przez to samo również lepiej rozumieć samych siebie. To, co uprawiamy, to jest teologia. Przypomnijmy raz jeszcze formułę którą państwo dobrze znają, tę mianowicie że teologia zgodnie z dawną łacińską formułą to jest *fides quaerens intellectum* — *wiara szukająca zrozumienia*. Ludzi, którzy wierzą w Boga, jest wielu. Wierzą bardzo rozmaicie. Także chrześcijan, wyznawców Jezusa Chrystusa jest bardzo wielu. Natomiast tych, którzy szukają głębszego zrozumienia swojej wiary, jest znacznie mniej, bo wiara zakłada także ten wysiłek umysłowego zrozumienia, pojęcia, pogłębienia tego, czym jest owo poleganie na Panu Bogu, owo odniesienie się do Boga, zaufanie Panu Bogu i zwiążanie z Nim swojego życia.

Zatem nasze spotkania mają charakter teologiczny, czyli chcemy naszą wiarę jeszcze lepiej zrozumieć, naświetlić ją — jeżeli to tylko możliwe — z każdej strony tak, żeby ją również umocnić. Bo te konferencje, jeżeli tak można powiedzieć, one pochodzą z wiary, one są owocem wiary, którą mamy w sobie, i jednocześnie ich przeznaczeniem jest budowanie wiary. To budowanie, ta mocniejsza, silniejsza wiara może nam się przydać w rozmaitych okolicznościach naszego życia. Zarówno teraz kiedy potrzebujemy tego, by tę wiarę lepiej zrozumieć i przeżyć, jak i być może w bardziej czy mniej odległym czasowo momencie, kiedy przyjdzie głębiej się zastanowić nad sobą i kiedy trzeba będzie głębiej Bogu zaufać. I wtedy trzeba mieć również tę duchową moc, która wynika z lepszego rozumienia wiary.

Towarzyszy nam w tym roku i przewodzi naszym konferencjom papież Benedykt XVI, autor książki „Jezus z Nazaretu”, a zarazem wielki teolog i Namiestnik Jezusa Chrystusa, następca świętego Piotra. Zatem jego refleksja ma dla nas wartość szczególną, bo on jest człowiekiem wiary a jednocześnie buduje wiarę całego Kościoła, stanowi spoiwo wiary całego Kościoła. Widzieliśmy w ostatnich dniach, podczas jego obecności, pielgrzymki po Stanach Zjednoczonych, w Waszyngtonie i Nowym Jorku, z jakim gorącym przyjęciem spotkał się za oceanem, jak bardzo oczekiwano na jego przyjazd, jak ten przyjazd przyniósł błogosławione owoce. I można zadać sobie pytanie: dlaczego tak się stało? Myślę, że między tym wielkim pielgrzymowaniem i podróżowaniem do Stanów Zjednoczonych, a oddziaływaniem tutaj w naszej społeczności, w naszej wspólnotie, jest pewien mianownik wspólny. Ten mianowicie, że Benedykt XVI jest wielkim świadkiem wiary w Jezusa Chrystusa. W dzisiejszym świecie, w którym tak wiele spraw jest pogmatwanych, niejasnych, rozdyktowanych, rozbudzonych, kiedy wszyscy debatują, dyskutują, przeprowadzają ankiety socjologiczne, wywiady, rozmowy, ustalają poparcie: zmniejsza się albo zwiększa się, Benedykt XVI i jego nauczanie nie jest przedmiotem takiej właśnie oceny, chociaż niejedni chcieliby żeby tak było. Ale tak się nie staje, co on jawi się w świecie nie jako jeden z dyskutantów, ale jako nauczyciel prawdy. On nie szuka tej prawdy dlatego, że jej nie zna, lecz szuka dlatego, żeby ją pogłębić, żeby ją rozwinąć, i dzieli się z innymi tym swoim doświadczeniem Chrystusa. Tak właśnie został przyjęty w Ameryce, tak go powitano i tak wsłuchiowano się w jego słowa. Gdybyśmy chcieli porównać pontyfikat Jana Pawła II i Benedykta XVI to myślę że powiedzielibyśmy, że pontyfikat Jana Pawła II był pontyfikatem gestu, pontyfikatem wydarzeń, pontyfikatem obrazów. Natomiast pontyfikat Benedykta XVI jest pontyfikatem słów, pontyfikatem nauczania, i raczej przeznaczony jest do refleksji, do rozważania. To, czego uczy papież, jest bardzo głębokie, czasami nam się nawet wydaje — zbyt głębokie, kiedy czytamy go albo słuchamy tak za pierwszym razem. Bo przyzwyczajeni jesteśmy do myślenia gazetowego, radiowego, telewizyjnego, powierzchniowego, takiego szybkiego, gdzie wszystkie ważne sprawy sprowadza się do jakiegoś jednego newsa, który trwa 30 sekund, a najwyżej 1½ minuty. Natomiast Benedykt XVI głosząc Chrystusa skłania nas do modlitwy, do medytacji, do refleksji. I to jest właśnie ten posiew jego ewangelizacji, której dokonuje. Myślę, że coś z tej tajemnicy Benedykta XVI państwo również odkrywają, także podczas tych naszych comiesięcznych spotkań. Staram się bowiem najpierw przyswoić sobie raz jeszcze poszczególne rozdziały tej książki, książki która w gruncie rzeczy stanowi taką teologiczną medytację i bardzo często przeobraża się w modlitwę, sta-

ram się przepuścić to przez filtr własnego rozumienia i własnej wrażliwości, i staram się państwu te treści, z którymi papież podzielił się na kartach tej książki, przedstawić tutaj także po to, żebyśmy mieli wrażenie że i my spotykamy Jezusa Chrystusa.

Przypomnijmy więc ten początkowy obraz, który był na samym początku książki papieża. Mianowicie papież mówi, że chciałby wejść pomiędzy tłum Apostołów, uczniów i tych, którzy szli za Jezusem po palestyńskiej ziemi, chciałby patrzeć na Jezusa, chciałby wsłuchać się w Jego nauczanie, chciałby popatrzeć na to, czego Jezus dokonuje. Ale chciałby nie dlatego, że jest jednym z tłumu, lecz dlatego, że już mocno do Jezusa przylgnął i chciałby przyjrzeć Mu się raz jeszcze. To jest tak jak w relacjach pomiędzy ludźmi. Kiedy ludzie znają się, kiedy kochają się, kiedy mają do siebie zaufanie — nigdy nie są sobą znużeni. Przeciwnie — każde spotkanie, każde przyjście, każda rozmowa to sposobność do tego żeby człowieka, którego się dobrze zna zobaczyć z innej strony. Czasami dojrzeć jakieś aspekty jego osobowości, z których w ogóle nie zdawaliśmy sobie sprawy. I z Jezusem jest podobnie. Nam się wydaje, że o Jezusie wiemy dużo, i tak w gruncie rzeczy jest, wiemy o Nim dużo. Bo przecież jesteśmy ludźmi wierzącymi którzy słuchają Ewangelii, którzy prowadzą życie sakramentalne. Ale jednocześnie za każdym razem możemy Go spotkać w nowy sposób. I dzisiaj takim przewodnikiem jest Benedykt XVI, z którym razem próbujemy się wmieszać w ten tłum, który szedł za Jezusem i Jezusowi towarzyszyć. Myślę — bo stąd to szczególnie widać, kiedy jest nas tutaj tak bardzo wiele osób, dobrze ponad pół tysiąca zapewne — proszę sobie wyobrazić że oto tak w całości naszą grupą byśmy szli za Jezusem i wsłuchiwali się w to, co On mówi.

Dziś podejmujemy temat, który nas bezpośrednio dotyczy, kolejny rozdział książki Ojca Świętego Benedykta XVI, i jednocześnie wyzwanie, które w tym roku w szczególniejszy sposób przed nami staje. Mianowicie pytanie, które postawił papież, a postawił kierując się Ewangelią: *Co to znaczy być uczniem Jezusa? Co to znaczy wierzyć w Niego? Co to znaczy być Jego naśladowcą? Co to znaczy pójść za Jezusem?* I papież próbuje odpowiedzieć na to pytanie, wsłuchuje się w Ewangelię i jednocześnie wsłuchuje się w własne doświadczenie wiary. Wychodzi najpierw od stwierdzenia, które jest bardzo ważne. Tego mianowicie, że wiara w Boga buduje wspólnotę pomiędzy ludźmi. Nie zmierzamy do Boga w pojedynkę. Co prawda powtarzamy: „Pan mój i Bóg mój” i w tej modlitwie dajemy upust temu, co nosimy w swoim sercu, ale zdajemy sobie sprawę że kiedy modlimy się — każdy osobno — to zarazem modlimy się wszyscy razem. Bo obok nas są inni, którzy klęczą, stoją, mają inne gesty modlitewne. I wtedy, kiedy wieczorem odmawiamy pacierz to przecież w takich dużych domach, jakie mamy w naszym stołecznym mieście, ktoś za ścianą, ktoś wyżej, ktoś niżej też odmawia pacierz. I gdzieś w perspektywie tego miasta czy tego kraju wiele milionów ludzi odmawia pacierz, zwraca swoje serca do Pana Boga. I gdzieś tam ponad ziemię unosi się ten wielki potencjał modlitwy, który składa się z modlitwy każdego pojedynczego człowieka, ale zarazem uzmysławia nam i uzewnętrznia, że tworzymy pewną wspólnotę wiary. Kto z państwa był w Ziemi Świętej dobrze pamięta, że gdy się przybywa do Jerozolimy, zwłaszcza od strony Góry Oliwnej, to powietrze nad Jerozolimą zdaje się być gęste od modlitwy. Bo tam od wielu tysięcy lat modlą się wyznawcy judaizmu, chrześcijanie, muzułmanie — miliony ludzi, dziesiątki ludzkich pokoleń które się nakładają na siebie, miliardy modlitw, miliardy słów, miliardy westchnień, łez, płaczu, tęsknoty, żalu, skruchy. To wszystko tam aż się czuje. Można by powiedzieć że to powietrze, i tak rozgrzane nad Jerozolimą, jest takie przesycone atmosferą modlitwy.

Tak kształtuje się duchowość, duchowość pojedynczego człowieka, który stanowi ogniwo w tym łańcuchu ludzi wyznających tak jak on Jedyne Boga. A więc wiara religijna to jest zawsze jakieś „my”. To jest zawsze coś co sprawia, że musimy i powinniśmy mówić w liczbie mnogiej. Również teraz, kiedy siedzimy obok siebie, kiedy razem wsłuchujemy się w te same słowa, tworzymy wspólnotę o której można by powiedzieć „my”. Ale musi być jakieś spoiwo tej wspólnoty. Musi być coś co ją integruje, coś co ją łączy. Papież zwraca się ku religii biblijnego Izraela, ku religii żydowskiej i powiada, że takim spoiwem w religii Starego Testamentu było wspólne pochodzenie. Kto z państwa kiedykolwiek sięgnął po księgi Starego Testamentu to wie, jak ogromną rolę, jak wielką wagę przykłada się tam do rodowodów. Pokazuje się tą ciągłość pokoleń: ten zrodził tego, ten zrodził tego, ten zrodził tego i tak z pokolenia na pokolenie, monotonnie, prawie jak litania albo jak dźwięk dzwonu, ten rodowód doprowadzony jest do obecnego pokolenia i on pokazuje, że przez czas jest ta łączność pokoleń i to właśnie ta łączność sprawia tę wspólnotę.

A wspólnota wiary w Jezusa Chrystusa ma nowe spoiwo, ma nowe kryterium. Ci, którzy wierzą

w Jezusa Chrystusa, nie są złączeni wspólnotą krwi. To nie jest tak, że żeby być chrześcijaninem trzeba mieć matkę chrześcijankę albo ojca chrześcijanina tak, jak to jest u Żydów: żeby być Żydem trzeba mieć matkę Żydówkę. Otóż u nas nie trzeba mieć matki chrześcijanki. Nie pochodzenie, nie krew decyduje, ale nowy rodzaj wspólnoty. Mianowicie tym, co nas łączy, co nas zespała to jest wspólnota z Jezusem, to jest wyjątkowa więź z Jezusem polegająca na wierze w Niego. Ale nie tylko wierzymy w Niego, lecz także przyjmujemy tę duchową moc, tę duchową siłę którą On nas uzdalnia do wyznawania wiary i do naśladowania Go. Nie chodzi więc o więzy krwi, nawet nie o więzy wspólnych przekonań, ale o wspólne przyłgnięcie do Jezusa. Dlatego tak ważne jest wpatrywanie się w Niego, tak ważne jest poznawanie Go. Dlatego ten wysiłek jest tak niezbędny. Dlatego również takie wydarzenia jak te, w których teraz bierzemy udział, one są tak istotne bo pośród tych wielu milionów wierzących w Chrystusa tylko nieliczni tak naprawdę decydują się na wysiłek poznania Go, prawdziwego poznania Go po to, aby tym mocniej do Niego przyłgnąć.

Co znaczy być uczniem Jezusa? Aby to zrozumieć, aby zrozumieć lepiej na czym polega ta przygoda wiary, powinniśmy rozważyć tekst który i papież Benedykt podaje nam pod rozwagę. Tekst jest doskonale znany. Mianowicie dotyczy wyboru Dwunastu. Bo tych Dwunastu stało się spoiwem Kościoła, tych Dwunastu stało się fundamentami Kościoła. W nich dokonało się przejście od ekonomii Starego Przymierza do ekonomii Przymierza Nowego. W czasach Starego Testamentu – można by powiedzieć – obraz Boga był *zapośredniczony*. Kiedy czytamy Stary Testament czytamy, że Bóg chce czyjeś śmierci, że Bóg prowadzi wojny, że Bóg domaga się albo żąda jakiejś eksterminacji, że Bóg jest mściwy. Otóż tak Izraelici widzieli, przedstawiali i przeżywali Boga. Poznajemy Pana Boga tak, jak oni nam Go przedstawiają, tak jak oni Go opisują. Nie brakuje w tym obrazie Boga i wielkiego ładunku ideologii i polityki, i specyficznie żydowskiego punktu widzenia, bo jest to ludzkie uwarunkowanie Słowa Bożego. Więc kiedy czytamy Stary Testament, to wiele epizodów, wiele wydarzeń, wiele zachowań wywołuje w nas bunt. Pytamy: jak tak można! W najbardziej drastycznych sytuacjach, w sytuacjach najbardziej krańcowych, mamy do czynienia z czymś, co potem w historii znajdzie także swój wyraz. Mianowicie kiedy podczas II wojny światowej hitlerowscy żołnierze mieli na swoich kłambach napis „Gott mit uns” — „Bóg z nami” to brzmiało to dla tych, którzy cierpieli od ich butów i karabinów, jak obraza boska. Tak oni przedstawiali Boga! Byli przekonani, że ich doktryna, ich ideologia to jest zarazem wdrażanie boskiego punktu widzenia. Wywoływało to i wywołuje słuszny bunt. Podobnie na kartach Księgi Jozuego czy Księgi Sędziów i kilku innych Starego Testamentu mamy coś w rodzaju hebrajskiego „Gott mit uns” — Bóg z nami, Bóg jest po naszej stronie, Bóg chce wyniszczenia naszych wrogów, Bóg chce zagłady, Bóg czyni to czy tamto. To jest ten *zapośredniczony* obraz Boga. Bóg nie objawił jeszcze siebie takim, jakim naprawdę jest, bo mógł to uczynić i uczynił dopiero w osobie Jezusa Chrystusa. I w osobie Jezusa Chrystusa poznajemy Boga nie takim, jakim Go przedstawiają Izraelici. Poznajemy Boga takim, jaki w Jezusie objawił się naprawdę. Stąd to przejście od Starego do Nowego Testamentu jest pod wieloma względami jakościowe. Mamy do czynienia z czymś zasadniczo nowym, bo oto poznajemy Pana Boga takim, jakim On jest. Wtedy — też mamy ten obraz świeży, ale ten obraz pozostaje nadal w pewnym sensie przysłonięty — bo nie poznajemy Boga w Jego majestacie, w Jego bóstwie, Jego dostojeństwie, lecz poznajemy Boga w Jego poniżeniu i upokorzeniu które po grecku nazywa się kenoza — wyniszczenie. Bóg dla nas i dla naszego zbawienia w Jezusie stał się Człowiekiem.

I to również wywołuje sprzeciw i to również wywołuje zgorzenie. Bo można by powiedzieć, że ten obraz Boga tym razem jest *zapośredniczony* przez człowieczeństwo Jezusa Chrystusa. Chcielibyśmy zobaczyć Boga takim, jakim On naprawdę jest, jak niegdyś Mojżesz który mówił: Pokaż nam Swoją twarz! Ale twarzy Boga Mojżesz nigdy nie zobaczył. Raz jeden Pan Bóg pozwolił mu odczuć swoją obecność, a wtedy zobaczył tak jak gdyby plecy Pana Boga. To też oczywiście obraz i przenośnia. A więc to, co wiemy o Bogu, to jest zaledwie cząstka w porównaniu z tym, czego o Bogu nie wiemy. Jednak i tak sytuacja Nowego Testamentu i osoby Jezusa Chrystusa jest dużo lepsza niż sytuacja Testamentu Starego.

Otóż w ramach tej ciągłości Bożej ekonomii zbawienia mamy też wybór Dwunastu. Z jednej strony dwunastu Apostołów to nawiązanie do dwunastu plemion biblijnego Izraela. Tamci stanowili filary narodu bożego wybrania. Teraz naród bożego wybrania — ci, którzy uwierzyli i przyjmują Chrystusa — mają filary nowe. Te filary to są Apostołowie. Jednak Apostołowie to nie tylko powrót do przeszłości. To jest również zapowiedź przyszłości. Bo na kartach Nowego Testamentu, a przede

wszystkim w Apokalipsie, będziemy słyszeć że to właśnie na Apostołach ugruntowany jest nie tylko Kościół ten tu, pielgrzymujący na ziemi, ale także Kościół, który tryumfuje w niebie. Zatem dzięki Apostołom trzy wymiary czasu: przeszłość, terażniejszość i przyszłość, schodzą się jak gdyby w jedno. Z jednej strony szanujemy i uznajemy to, co już było, mianowicie tę obecność Boga w czasach Starego Testamentu, a z drugiej strony przyjmujemy i otwieramy się na to, czego Pan Bóg dzięki Apostołom dokonał.

Zwróćmy uwagę, że Jezus potrzebował ludzi. Potrzebował najbliższych swoich pomocników, potrzebował tych którzy towarzyszyli Mu, którzy szli z Nim, którzy byli z Nim do samego końca. Tych ludzi, którzy towarzyszyli Jezusowi, można by podzielić na mniej więcej cztery kręgi. Najbliżej Niego było grono Dwunastu. W tym szerszym gronie byli ci, którzy za Nim szli i Mu towarzyszyli. W jeszcze szerszym gronie — Ewangelie na to zwracają uwagę — były kobiety, które im towarzyszyły. One zresztą okazały się najwierniejsze. Bo kiedy dopełniał się ziemski los Jezusa i kiedy najbliżsi Apostołowie zawiedli, kiedy ci, którzy za Nim szli przez Galileę i Judeę rozpierzchli się, to pod krzyżem Jezusa stała Matka Jego i siostra Matki Jego, Maria, i Maria Magdalena — te trzy były do samego końca. I w wielkanocny poranek kobiety też udały się do grobu. I okazało się że tam, gdzie zawodzi zwyczajne przywiązanie oparte na rachubie, na rozumie, tam to przywiązanie, które pochodzi z głębokich emocji, bierze górę. I rzeczywiście świadkami ukrzyżowania i świadkami Zmartwychwstania stały się kobiety. To krąg trzeci. A krąg czwarty to najszersze rzesze tych, które w czasach Jezusa szły za Nim i były z Nim tam, gdzie On nauczał albo też dowiadywały się o tym, czego dokonał bądź czego uczył. Ten tekst, który Benedykt XVI rozważa jako ważny dlatego aby zrozumieć czym jest uczniostwo Jezusa, znamy ale wróćmy do niego raz jeszcze — może uda się wydobyć coś nowego. Ewangelista Marek napisał tak (Mk3,13): Jezus

wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego.

Zwróćmy uwagę — każdy szczegół jest ważny. Najpierw Jezus wychodzi na górę. Góra jako miejsce spotkania z Bogiem, góra jako miejsce odosobnienia. Z góry widać wszystko trochę jaśniej, perspektywa jest bardziej rozległa. Na górze człowiek zawsze skłania się do refleksyjności, do medytacji. Na górze też można podjąć nowe postanowienia, niejako nową przyszłość. Na górze też staje się jaśniejsza małośćkowość, egoizm, pycha, chciwość. Wszystko to ustępuje bo człowiek uzmysławia sobie, że jest tylko kroplą w tym świecie, który z góry ogląda lepiej niż z jakiegokolwiek innego miejsca. Więc Jezus wyszedł na górę. Góry w Piśmie Świętym, w Starym i Nowym Testamencie zawsze odgrywały ogromną rolę. Pierwszą górą, która jest wzmiankowana, to jest góra Moria. To na niej Abraham, który został wystawiony na próbę, miał złożyć swojego syna Izaaka w ofierze. Góra Moria to jest góra świątynna, na której wznosiła się świątynia w Jerozolimie. Jednocześnie obok góry Moria został znacznie później ukrzyżowany Pan Jezus. Ta góra Moria to jakby początek i koniec Starego i Nowego Testamentu. Ale gór jest więcej: góra Synaj, góra Oliwna, góra Kuszenia, góra Przemienienia, góra Błogosławieństw, góry Karmelu — to są wszystko góry, gdzie dokonywało się coś ważnego.

Jezus też podejmuje teraz nowy etap swojej ziemskiej działalności. Mianowicie pragnie mieć tych, którzy z Nim będą razem, którzy będą jak gdyby Jego ręką, którzy będą Jego wyciągniętym ramieniem. Bóg jest wszechmogący, ale paradoks polega na tym, że nie wszystko może. Bóg jest wszechmogący, ale do realizacji swoich planów i zamiarów potrzebuje człowieka. To właśnie człowiek jest narzędziem Bożego działania i Bożej obecności w historii i świecie. Bierze się to z samego dzieła stworzenia: „na obraz Boży go stworzył, stworzył mężczyznę i kobietą”. I od tej pory to właśnie człowiek jest jakby wyciągniętym ramieniem Boga. Chrystus dokonywał cudów, Chrystus dokonywał rzeczy niezwykłych — ale nikogo do wiary nie przymuszał. Wiara ma wtedy tylko wartość, kiedy jest owocem wolnego wyboru, który jest owocem wolności. Bóg obdarował człowieka, obdarował nas wszystkich darem wolności do tego stopnia, że tę wolność człowiek może obrócić przeciwko Bogu. Gdyby to od nas zależało, to nigdy byśmy takiej istoty nie zaprojektowali, nie stworzyli. Tworzymy przecież sprzęty, tworzymy rzeczy które chcemy żeby działały tak, jak my sobie tego życzymy. Tworzymy aparaty, tworzymy teraz komputery, maszyny cyfrowe niezwykle wymyślne — ale chcemy je tak zaprogramować, żeby były całkowicie nam posłuszne. Nawet w odniesieniu do istot żywych trudno nam uszanować jakieś zwierzątko - kotka, pieska, inne, jeżeli ono wymyka się temu co chcielibyśmy osiągnąć. Chcielibyśmy żeby było obok nas, ale najbardziej cenimy



posłuszeństwo. I najbardziej szcycimy się z tego, kiedy ta istota żywa zachowuje się dokładnie tak, jak my sobie tego życzymy. Przenosimy to również na ludzi. Kiedy jest dziecko to chcemy żeby zachowywało się tak, jak mama z tatą tego pragną. Chcemy żeby powtarzało dokładnie te same słowa i gesty, i żeby spełniało nasze życzenia. Oczywiście kiedyś się to skończy. Nie kończy się to ze zwierzętami, nie kończy się to z maszynami, chociaż też czasami wymykają się one poza granice naszej wyobraźni.

A z człowiekiem jest zupełnie inaczej, i z Bogiem. Bóg stworzył człowieka i obdarował nas darem wolności który jest tak niesłychany, który jest tak paradoksalny, że można dokonywać wyborów które obracają się przeciwko Bogu i przeciwko Jego darowi. I to nam bardzo często nie odpowiada i przeciwko temu też się buntujemy. I ponieważ wiara zakłada wolność, z tego powodu Bóg nie przymusza do wiary w Niego. To nie jest tak, że człowiek został zaprogramowany do wierzenia w Boga. Ma w sobie potencjał, ma w sobie tęsknotę, ma w sobie pragnienie żeby wierzyć w Boga tak, jak nosi w sobie pragnienie miłości, pragnienie wzajemności, życzliwości, serdeczności, ciepła, tak mamy również pragnienie dobra. Ale właśnie dlatego, że Bog nikogo nie przymusza do wiary, to potrzebuje w świecie ludzi, którzy są świadkami tej wiary. To potrzebuje ludzi, którzy innych skłaniają do myślenia, skłaniają do refleksji i do pozytywnej odpowiedzi na to wyzwanie wiary. Jezus więc udaje się na górę

i przywołał do siebie tych, których sam chciał,

Tę tajemnicę nazywamy powołaniem. Powołanie to jest rzeczywiście wielka tajemnica — swoista biegunowość. Z jednej strony dzieło łaski, z drugiej strony owoc odpowiedzi człowieka. Jak pogodzić te dwie strony tego nikt nie wie — nawet ci, którzy czują się w szczególniejszy sposób powołani, tego paradoksu zgłębić nie mogą. Ten arcyparadoks powołania z jakim mamy do czynienia to jest rzeczywistość, wobec której każdy z nas staje. Każdy! Jeżeli doświadczamy Pana Boga to zadajemy sobie pytanie: Skąd i jak dociera do nas łaska, która nas ku sobie pociąga, a jednocześnie co w nas jest takiego, że na tę łaskę z gotowością odpowiadamy.

przywołał do siebie tych, których sam chciał

— to jest też Boża tajemnica, Boża tajemnica powołania. Pośród wielu milionów ludzi zawsze są tacy, którzy w szczególniejszy sposób są naznaczeni misterium Jego powołania. Można się przeciwko temu wzbraniać, można wierzczać, można odmówić, można zaprzepaścić, można odrzucić, bo wszystko w życiu — ponieważ jesteśmy obdarowani darem wolności — możemy przyjąć bądź odrzucić. Z powołaniem jest podobnie. Więc Jezus „przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni” dodaje Ewangelista „przyszli do Niego”. A więc Jego łaska — i ich odpowiedź. Jan Paweł II mówił że w odpowiedzi na powołanie, na każde powołanie chrześcijańskie, spotykają się dwie miłości: miłość Boga i miłość człowieka. I byłoby próżno ustalać która jest ważniejsza, bo zawsze jakościowo pierwsza jest ta miłość Boża. I to właśnie nią ogarnięci odpowiadamy Panu Bogu. Stąd miłość zakłada zasadę wzajemności — ileż razy o tym mówiliśmy. I doskonale wiemy, że tak samo jest w naszych ludzkich realiach. Miłość wtedy przynosi nam ulgę, daje poczucie bezpieczeństwa, spokoju, kiedy łączy się z wzajemnością. I w odniesieniu do Pana Boga jest tak samo. Zatem uczniowie

przyszli do Niego. I ustanowił Dwunastu

To słowo *ustanowił* — powiada papież Benedykt — jest tutaj bardzo ciekawe. Dlatego, że to słowo pochodzi z języka religijnego Starego Testamentu, z języka religijnego biblijnego Izraela. Tam na kartach Starego Testamentu mówiło się o ustanowieniu proroków i ustanowieniu kapłanów. A więc w tym powołaniu pierwszych uczniów, powołaniu Dwunastu, widać wymiar prorocki i wymiar kapłański. Prorok, ileż razy o tym mówiliśmy, to człowiek który patrzy na rzeczywistość i ocenia ją w Bożym świetle, z Bożej perspektywy. Dlatego potrafi napominać, potrafi ganić, potrafi wskazywać na to, co złe, z myślą o tym, żeby przemieniać ludzkie sumienia, żeby kształtować nową przyszłość. I ten wymiar profetyczny, prorocki widać już tu. Jezus ustanawia Dwunastu bo chce, żeby ich rozeznanie o świecie było inne niż rozeznanie przeciętnego człowieka. Wtedy jesteśmy światu naprawdę potrzebni jako chrześcijanie, jeżeli mamy w tym świecie do powiedzenia coś radykalnie nowego

i odmiennego niż ma do powiedzenia ktoś, kto chrześcijaninem nie jest. Wtedy jesteśmy światu potrzebni, kiedy mamy w sobie coś specyficznego, co oddaje ten klimat i specyfikę naszej więzi z Bogiem. Apostołowie zostali ustanowieni przez Jezusa po to, aby przyglądali się wszystkiemu, co się wtedy działo i aby, gdy Jezusa zabraknie, mogli samodzielnie podejmować decyzje, rozstrzygać, wydawać sądy, oceniać. Nie inaczej jest również z nami. Otóż jeżeli idziemy za Chrystusem, to musimy mieć także podatność na ten rozsądek, na ten rozum, który pochodzi od Boga. W świecie jest dużo rozmaitych zjawisk, które są przedmiotem debat, dyskusji, sporów, napięć. Czasami wydaje się, że ludzie jakby szukają nowych rozwiązań starych problemów. Wspomnieliśmy o podróży papieża do Stanów Zjednoczonych. To chyba najbardziej rozdygotany i rozdyktowany kraj na świecie, gdzie wszystko jest niejako przedmiotem debaty i gdzie wszystko może być zakwestionowane. Ale chrześcijanin nie odzwierciedla ogólnego zamieszania. To nie jest tak, że my nie wiemy jak żyć — nawet, jeżeli nie stać nas na dobre życie. Nawet, jeżeli nasze życie odbiega od ideału, nawet, jeżeli w naszym życiu jest słabość, grzech, to przewaga chrześcijanina na tym polega, że wie jak żyć tzn. wie jak być powinno. I dlatego w każdej chwili jest zdolny do tego, żeby wejść na drogę nawrócenia. I dlatego w każdej chwili nawet to, co złe, co gnuśne, co mroczne, co ciemne, może stać się sposobnością do łaski. Nawet w najbardziej decydującej mrocznej chwili słyszymy słowa, które usłyszał kiedyś prześladowca Kościoła: „Wystarczy ci Mojej łaski, bo moc w słabości się doskonali”. Jeżeli chrześcijaninowi zabraknie tej odwagi, zabraknie tej odwagi i ufności, to przestajemy być światu potrzebni. Bo — raz jeszcze powtarzam — w Kościele wśród wierzących, wśród katolików jest sporo zła. Być może czasami zbyt dużo. Ale jednocześnie jest ten potencjał odnowy. I dlatego potrafimy się regenerować, odnawiać, wzmacniać, i nawet z tego, co słabe, wychodzić silniejsi, mocniejsi, trwalsi. Na tym polega ten profetyczny wymiar religii. Ona zawsze ma w sobie, można by powiedzieć, moc uzdrawiania. Ale żeby uzdrowić, to trzeba postawić właściwą diagnozę. A ta diagnoza, jaką Kościół stawia, i w czasach apostołskich i dzisiaj, bywa przez świat, przez otoczenie Kościoła, przyjmowana bardzo niechętnie, czasami z wrogością. Dzieje się to również po dzień dzisiejszy kiedy to ludzie chcieliby słuchać raczej komplementów, pochwał, albo zbywać milczeniem to, co wymaga jakiejś naturalnej reakcji i oceny przez pryzmat wiary.

Więc „ustanowił Dwunastu”. Ale mamy w tym słowie „ustanowił” także coś z rzeczywistości kapłaństwa. Kapłan w czasach biblijnego Izraela był pośrednikiem między Bogiem i ludźmi. Oczywiście w modlitwie spotykamy Pana Boga bezpośrednio, ale potrzeba nam również pośredników, którzy by nas do Pana Boga prowadzili. I takimi pośrednikami mieli stawać się Apostołowie. Ten kapłański wymiar ich posłannictwa jest obecny. Kapłan to nie tylko człowiek, który składa ofiary — tak było w czasach Starego Testamentu. W czasach Nowego Testamentu Chrystusowe podejście do kapłaństwa na tym polega, że sam kapłan, każdy kapłan powinien być zdolny do miłości, która nazywa się ofiarniczą. To jest oczywiście najwznioślejsze zadanie, jakie stoi przed kapłanami. I na tym polega ten kapłański wymiar posługi Dwunastu w Kościele Apostolskim, że Jezus wezwał ich do bezgranicznego poświęcenia, a następnie od nich tego poświęcenia prawdziwie wymagał. Dobrze wiemy, że wszyscy z wyjątkiem św. Jana musieli przejść przez śmierć męczeńską, aby swoim własnym życiem potwierdzić to, co wyznawali słowami.

ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli

To jest bardzo ważne zadanie tych, którzy zostali powołani w czasach Jezusa. To jest również i nasze zadanie. Oni towarzyszyli Jezusowi historycznemu, Jezusowi w ciele, temu Jezusowi który był obok. Ale przygotowywali się aby być Jego świadkami i głosicielami wtedy, gdy Go nie będzie, kiedy Go zabraknie. My znamy Jezusa Zmartwychwstałego, tylko ta perspektywa jest nam bliska. I tylko ta stała się naszym udziałem. Dlatego nasze towarzyszenie Jezusowi nie polega na tym, aby chodzić za Nim po palestyńskiej ziemi, bo to jest niemożliwe — Jezus stał się człowiekiem tylko raz i Wcielenie nigdy się nie powtórzy. Natomiast nie zostawił nas sierotami i pozostaje wśród nas obecny na sposób, który nazwaliśmy sakramentalny. Towarzyszenie Jezusowi w naszym przypadku to znaczy życie z Jezusem, w więzi z Nim. Oczywiście najsilniejszą z tych więzi jest więź w sakramencie jedności, jakim jest komunika święta. A więc wszyscy chrześcijanie wszystkich czasów są wezwani do tego samego — do towarzyszenia Jezusowi, chociaż ono dzisiaj wygląda i odbywa się inaczej niż wtedy, kiedy Jezus żył na ziemi. Towarzyszyć Jezusowi dziś oznacza rozpoznawać Go, pójść za Nim, przyjąć Go, uznać we wszystkich okolicznościach swojego życia nawet jeżeli te

okoliczności są niesprzyjające, albo nawet jeżeli nie przynosi nam to żadnych doraźnych korzyści i pożytków, a nawet za cenę dobrego samopoczucia, a w najbardziej dramatycznej sytuacji za cenę własnego życia. Nie ma drugiej religii, która tak jak chrześcijaństwo miałaby taką właśnie nośność posuwającą konieczność wierności Chrystusowi aż do męczeństwa. Nie ma drugiej religii, która wymaga od człowieka tak wiele. Ale nie ma też drugiej religii, która daje człowiekowi tak dużo. Dlatego, że wymagając od człowieka wszystkiego daje mu więcej niż wszystko. Mianowicie daje mu świadomość, że w ten sposób wchodzimy w najgłębszą więź, najgłębszą łączność z Bogiem która ma to do siebie, że jest silniejsza niż śmierć. Dlatego człowiek, który w wierze chrześcijańskiej związał swoje życie z Bogiem, śmierć traktuje jako przejście. A nawet ci, którzy mają wiarę najbardziej heroiczną, traktują śmierć jak siostrę, którą przyjmują z ufnością przyjmując tak samo, jak przyjmują dar życia. Pamiętamy kiedy św. Paweł zbliżał się do końca swojego życia, pisał tzw. listy więzienne. Sam był uwięziony i pisał swoje listy aby umacniać tych, których pozyskał wcześniej dla wiary. I w jednym ze swoich listów napisał: „Dla mnie żyć — to Chrystus. A umrzeć — to zysk. Bo i w życiu i w śmierci należymy do Pana”. To jest właśnie szczyt chrześcijańskiej wiary. Każdy z nas musi się tego cierpliwie uczyć. Czasami wydaje nam się, że jak gdybyśmy tylko spróbowali kilka kropel z tego pucharu Boskiego wina, który Pan Bóg nam obiecuje. Czasami doświadczamy tej radości wiary, jej siły, jej pewności kiedy dzieje się w naszym życiu coś trudnego i okazuje się, że przechodzimy przez to tak bardzo mocni, że widzimy i odczuwamy owoce wiary. Kiedy indziej może się zdarzać, że Pan Bóg dopuszcza na nas próbę ciężką, taką jak ta, która stała się udziałem Matki Teresy która na niedługo przed śmiercią, przeczuwając liczne głosy tych, którzy uznawali ją za świętą, mówiła: „Jeżeli będę świętą, to będę świętą od ciemności, patronką tych, którzy chodzą w ciemnościach”. Bo dla niej, która pełniła tak wielkie dzieła dobrotliwe, dzieła miłosierdzia okazuje się że Bóg i to, co się z Nim wiązało, było również trudne i ciemne. Pan Bóg doświadcza w szczególny sposób tych, których miłuje. A to doświadczenie — jeżeli już zdamy tę próbę, jakiej zostaliśmy poddani, mówiliśmy o tym kilka tygodni temu — wtedy wydaje owoce których byśmy się w ogóle nie spodziewali.

Otóż Jezus powołuje Apostołów, aby Mu towarzyszyli. Towarzyszyć Jezusowi to znaczy również prowadzić innych do spotkania z Nim. Samemu Go spotkać i innych prowadzić do spotkania z Nim. Dojrzałość chrześcijańska zatem polega na tym, żebyśmy od czasu do czasu, możliwie często – a im starsi tym częściej, zastanawiali się nad tym kim dla mnie naprawdę jest Jezus Chrystus. Jak Go spotykam i jak dzięki Niemu otrzymuję siły do tego, by życie stawało się lżejsze i piękniejsze. A także jak innych pozyskuję do wierności Jezusowi i głoszonej przez Niego Ewangelii.

by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki

Towarzyszyć — to jedno. Jednocześnie być skutecznym świadkiem Chrystusa, także Go głosić — to drugie. Głosiciele zawsze jest więcej niż tych, którzy chcą żyć zgodnie z zasadami wyznawanej i głoszonej przez siebie Ewangelii. Zawsze między życiem a postępowaniem istnieje pewien rozdźwięk. Ale jeżeli już o tym wiemy to znaczy, że staramy się jednocześnie ten rozdźwięk przewyciężyć, staramy się go pokonać. Apostołowie zostali wybrani aby głosili Jezusa, trzeba bowiem o Nim głosić. Zwróćmy uwagę, że słowo ma przedziwną moc. Takiej mocy nie ma obraz, nie mają inne rzeczywistości, które przynależą do naszego świata. Słowo zapada w nas, przemienia nas, odmienia, słowo może stać się źródłem i korzeniem nawrócenia, zachętą do zerwania z czymś. Otóż pozostaje zatem tajemnica tych, którzy nie mówią, głuchoniemych i tych, którzy nie słyszą. Możemy się tylko domyślać jak bardzo trudną sprawą jest wiara ludzi zupełnie głuchych. Jak bardzo trudną sprawą jest wiara ludzi, którzy nie mają daru mowy. Jak bardzo trudno wierzyć tym, którym nikt słowem Jezusa głosić nie mógł. To dopiero musi być próba. A przecież Pan Bóg i taką próbę na część ludzi dopuścił. Myślę że dla nas, dla których słowo jest tak ważne, względ na ten aspekt naszego życia i ten aspekt ludzkiej egzystencji też daje sporo do myślenia. Więc:

ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki, i by mieli władzę wypędzać złe duchy.

Papież Benedykt XVI zastanawia się w swojej książce co to znaczy władza wypędzania złych duchów. Kojarzy nam się to – tłumaczy papież – przede wszystkim z opowiadaniem o diable i

jego szatańskiej mocy, o opętaniach i z całą pewnością tego wymiaru lekceważyć nie można. Z całą pewnością w najbardziej skrajnych, niebezpiecznych, i bolesnych przypadkach jest tak, że szatan przejmując władzę nad człowiekiem. Zdarzało się to kiedyś, zdarza się to również dzisiaj. Potencjał zła, z jakim mamy do czynienia w niektórych przypadkach, przypadkach o których słyszymy, jest tak przeogromny, że chciałoby się powiedzieć, że jest to zło wręcz osobowe. Że odwołamy się do jednego przykładu, który dla mnie od paru tygodni jest absolutnie wstrząsający — porwania kilka lat temu tego młodego, wtedy bodaj dwudziestopięcioletniego mężczyzny, wsadzenie go najpierw do jakiejś piwnicy, później do szamba, przykucie łańcuchami do ściany. Czy można sobie wyobrazić gehennę tego człowieka przez dwa lata? A kiedy już dostali okup, wtedy go zamordowali. Kim są ludzie, którzy dopuszczają się takich rzeczy? Jakie pieniądze można zapłacić, żeby usprawiedliwić takie traktowanie człowieka? I to nie w świecie, gdzieś w kosmosie, tylko to się wszystko działo obok nas nieomal, w rejonach które dobrze znamy, gdzie moglibyśmy być obok na spacerze, być u kogoś znajomego, przejeżdżać samochodem — a oto tam, nie za jakieś prześladowania polityczne, społeczne, nie wiadomo za co, ale przykuty łańcuchami do ściany, okaleczony, bity człowiek tylko po to, żeby wymusić jakiś okup. I po dwóch latach — nie po dwóch dniach, nie po dwóch tygodniach — po dwóch latach bestialsko zamordowany i porzucony gdzieś tam w lesie. Zostawiamy na boku karę, zostawiamy na boku to wszystko, co się z tymi ludźmi dzieje. Jedno samobójstwo, drugie samobójstwo, pewno jeszcze następne będą — zostawmy na boku wszystkie powiązania społeczne, polityczne. Czy człowiek może wyzwolić sam ze siebie takie moce zła? Czy w tym wszystkim nie widać jest jakiegoś diabelskiego tchnienia i obecności? Czyż to nie jest tak, i tutaj słowa papieża: że zło, że diabeł odbiera ludziom rozum. I właśnie na tym polega jego diabelska obecność. Nie na tym, że ukazuje się wręcz. Gdybyśmy zobaczyli na oczy diabła, to byśmy od niego uciekali, to byśmy byli przerażeni. On nie może nam się pokazać taki, jaki jest, bo on nie jest atrakcyjny. On by nie przyciągał, nie pociągał, on musi nam się pokazać w jakimś perwersyjnym przebraniu. On nie może występować pod sztandarami zła dlatego, że człowiek zła nie chce, od zła ucieka. Zło nas przestrasza, boimy się zła. Wobec tego diabeł zawsze występuje w przebraniu. Ale skutek tego występowania jest prawie zawsze ten sam — odbieranie człowiekowi rozsądku.

A wtedy w miejsce wiary religijnej pojawia się walka z nią. Albo w miejsce wiary religijnej pojawia się magia i pojawia się zabobon. Ileż to razy powiedzieliśmy o prawdzie, która jest jakimś paradoksem współczesnego świata. Internet to jest przecież najnowszy wymysł ludzkości, wymysł człowieka. I jednocześnie ten owoc ludzkiej inwencji jest miejscem, gdzie najczęściej sący się dzisiaj zabobon i magia, przesady i najrozmaitszego rodzaju postawy, które są antyracjonalne, przeciwko rozumowi. Rozum został użyty do czegoś, co się rozumowi sprzeciwia. Papież mocno podkreśla, że w dzisiejszym świecie jest wiele takich właśnie przejawów zła, które starają się przejąć nad człowiekiem władzę. Jest to manipulacja człowiekiem, manipulacja psychologiczna, manipulacja genetyczna. Jest to propaganda, jest to podważanie świata wartości, negowanie prawdy, podważanie systemu etycznego, moralnego, jest to banalizowanie tego, co wielkie. Albo odwrotna strona: przeinaczanie tego, co zupełnie małe i czynienie autorytetami osób, ludzi, które na to absolutnie nie zasługują. Człowiek, gdyby był zdany na siebie, gdyby we współczesnym świecie nie było religii i nie było zdrowego zmysłu religijnego, to padlibyśmy ofiarą hochsztaplerów, zabobonów, magii, przesądów tak, jak to miało miejsce w czasach starożytnych, ale bodaj jeszcze bardziej tak jak wtedy, kiedy rozum, jego produkty, jego owoce są nadużywane do czegoś, co rozumne nie jest.

Benedykt XVI napisał w swojej książce piękne i bardzo prawdziwe słowa. Mianowicie świat bez Boga pozostaje nieracjonalny tzn. nie da się go zrozumieć. Świat bez wiary staje się nieprzezwycięzalnym wyzwaniem dla rozumu. Zwróćmy uwagę, że papież odwraca myślenie, które próbuje nam się czasami sącyć, polegające na tym, że wiara i rozum bywają sobie przeciwstawiane. Papież mówi: nie tylko przeciwstawianie jest nieuzasadnione, ale rezygnacja z wiary oznacza rezygnację z rozumu. Otóż to jest dopiero korzyść z wiary. Człowiek, który wierzy w Boga ma wizję świata, która jest uporządkowana, która jest logiczna, która jest spójna, która jest całościowa i która nie pozwala nam dopuszczać do siebie myśli, że jesteśmy jakąś małą łódeczką rzuconą na rozhuśtany ocean. Że jesteśmy kimś, kto w tym świecie, w tym kosmosie jest jak zagubione ziarenko na potężnym polu. Otaczają nas potężne żywioły, otacza nas kosmos którego nie sposób sobie wyobrazić, światy, których do niedawna nawet nie przeczuwaliśmy. Ale wszystko to odbywa się w harmonii, wszystko to trwa. Wszystko to przebiega tak, że jesteśmy pewni wschodu i zachodu słońca do tego stopnia, że

możemy przewidzieć o której godzinie i minucie nastąpi ono w 2212 r. Że jesteśmy pewni działania tej natury. Kiedy coś się chwije — dopiero wtedy zaczyna się kłopot.

Ale wiara w Boga daje nam coś większego, lepszego, pewniejszego niż prawa naturalne. Bo oto wierząc w Boga uznajemy, że świat ma swoje źródło, ma swoją przyczynę, ma swój początek jakkolwiek go nazwiemy, wielkim wybuchem czy jakkolwiek inaczej. Że początek ma każde życie tak, jak i nasze życie. Że po nas przyjdą inni. Że człowiek otrzymał władzę współstwarzania, kiedy powołał go do życia nowego człowieka, kolejnego człowieka. Że nasze życie ma swój cel, że nie jest pozbawione tego celu. To jest właśnie owoc wiary. Kiedy przeżywamy swój los, ludzki los, to ludziom, którzy wiary nie mają — choćby mieli życie najszczęśliwsze, a może zwłaszcza wtedy najbardziej pomyślne, najbardziej dostatnie — to zwłaszcza wtedy staje się ono bezsensowne. Bo biedni mają o co się troszczyć każdego dnia. Będą szukać kawałka owocu, będą szukać trochę zboża, będą szukać czegoś, co zaspokoi ich potrzeby. Będą szukać pieniążka, będą szukać wody, którą przyniosą swoim dzieciom i żonie. Biedni zaspokoją się czymś małym, cieszą się z tego. W świecie biednych samobójstw nie ma. Natomiast świat bogatych dochodzi do wniosku że mając wszystko, co jest dookoła, nie ma czasami tego, co jest najważniejsze, czyli właśnie poczucia sensu. A człowiek pozbawiony poczucia sensu swojego życia płowieje, niszczeje i wreszcie popada w dramat, który kończy się albo jak najgorzej, albo też swoistą wegetacją. Dobrze wiemy, że to w krajach najzamożniejszych problemem jest nie tylko ochrona życia poczętego, ale problemem staje się również starość i śmierć do tego stopnia, że dopuszcza się, albo chce się, śmierci na życzenie. Tam, gdzie już człowiek stracił wszystko, to wydaje się, że śmierć jest wyjściem najlepszym. I tutaj właśnie Chrystus i Bóg, który w Chrystusie objawia Siebie, przynosi nam odpowiedź na te najtrudniejsze wyzwania naszej egzystencji. Świat, w którym jest Bóg, jest zarazem światem przyjaznym człowiekowi. I wielkie wołanie poprzedniego papieża, i dzisiejszego, obecnego papieża, to jest wołanie o to, by w świecie przyznać miejsce Panu Bogu. Bo taki świat obraca się przeciwko tym wszystkim, którzy odbierają światu ten pierwiastek rozumowy i spychają nas w magię gdy próbujemy coś na bóstwie wymusić, w przesady, w zabobony, w gusła. Dobrze wiemy na poziomie praktycznym choćby — tam np. gdzie nie ma duszpasterzy albo gdzie nie ma możliwości sakramentu pokuty, tam mnożą się psychoterapeuci, wróżki, wróże, i kolejny paradoks naszych czasów polega na tym, że mówi się dość przewrotnie że w Paryżu jest cztery razy więcej wrózek niż księży. Otóż dzieje się tak dlatego ponieważ tam, gdzie brakuje tego elementu racjonalnego, to miejsce rozumu zajmuje strach, lęk. A zabobony, a przesady nie są niczym innym jak ujawnieniem lęku przed czymś, czego się nie zna. Zatem kiedy Ewangelista Marek napisał, że Jezus wysłał ich, aby mogli wypędzać złe duchy, to Benedykt XVI komentuje to krótko: Wiara w Boga racjonalizuje świat. To bardzo mocne, bardzo mądre i bardzo głębokie słowa. Tam, gdzie nie ma wiary, tam jest chaos, tam jest również zagubienie.

I na tym właśnie — i to jest ostatni wątek naszej dzisiejszej refleksji — polega terapeutyczna czyli lecznicza funkcja chrześcijaństwa, wiary w Jezusa Chrystusa. Chrześcijanin tak jak inni ludzie cierpi choroby, pogarsza się mu słuch, pogarsza się wzrok, starość i jej dokuczliwość dają o sobie tak samo znać. Chrześcijanin zapada na rozmaite choroby, może dowiadywać się o diagnozie, której nie chce, nie życzy sobie. Chrześcijanin tak jak inni może odczuwać biedę, nędzę, może odczuwać rozczarowanie, może być zdradzony, może przeżywać pustkę fizyczną, psychiczną. Nie oszczędzone zostało nam cierpienie w świecie, w którym żyjemy. Ale wiara w Boga sprawia, że wszystko to przyjmujemy i przeżywamy inaczej. I wtedy nawet to, co trudne, staje się elementem uzdrowienia. I na tym polega wiara w Boga i wiara w Jezusa Chrystusa — niesie ze sobą tę wartość uzdrowieńczą, Więc chrześcijanin cierpi, to prawda, ale jednocześnie w życiu towarzyszy nam nadzieja. I ta nadzieja jest siłą, która pozwala nam nie tylko przetrwać, ale wręcz przyjąć to, co nas spotyka. I być uczniem Jezusa Chrystusa, pójść za Nim, oznacza również zobaczyć i przyjąć tę terapeutyczną funkcję wiary w Boga, powiedzielibyśmy terapeutyczną funkcję religii. Pewnie zbyt rzadko zwracamy na to uwagę. Człowiekowi, którzy wierzy w Boga, jest łatwiej żyć — nawet wtedy, jeżeli życie go nie rozpieszcza.

Pan Bóg nie obiecał nam, nie dał nam recepty na życie łatwe, ale zawsze daje nam pewność życia pięknego. I to piękne życie może — i na tym właśnie polega dar Boga — stawać się jeszcze piękniejsze nawet, gdy przychodzi nam zmagać się z tym, co jest bardzo trudne. Chrystus po to wezwał Apostołów, by ich uzdolnić do przejścia tej drogi, na którą zostali powołani. Pan Jezus nie tylko, jakże często to sobie powtarzamy, ukazuje nam cel, tylko daje nam również siłę do osiągnięcia tego celu. I na tym także polega ta uzdrowieńcza rola wiary. Można by zatem powiedzieć tak, jak

Benedykt XVI powtarza w książce, i powiedział również w Stanach Zjednoczonych — że warto wierzyć w Boga.

Człowiek, który wierzy w Boga, niczego nie traci, a zyskuje wszystko. Zyskuje także na poziomie tego świata dlatego, że racjonalizuje świat tzn. układa go według logiki i porządku zgodnego z rozumem. I nie ulega temu, co podważa wartości najbardziej trwałe i co jest owocem zeświecczenia, sekularyzmu i relatywizacji wszystkiego. Człowiek wierzący w Boga to tak jak człowiek, który ma bardzo silny kręgosłup, bardzo zdrowy kręgosłup. Dzięki temu stoi zawsze wyprostowany. I nawet jeżeli przychodzi mu znosić ciężary tego życia, to przyjmuje i znosi je z godnością.

Zatem taką wartość ma być uczniem Chrystusa również i w naszych czasach. Być może znajdą państwo w najbliższym czasie treść przemówień papieskich wygłoszonych w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Nie są to przemówienia łatwe, bo nie można mówić o trudnych sprawach językiem banalnym. Ale jeżeli znajdziecie trochę czasu, to warto po nie sięgnąć i się nad nimi zastanowić. Można by powiedzieć w odniesieniu do papieża tak, jak mówiono niegdyś wobec Jezusa — nikt tak nie przemawiał, jak ten człowiek. On rzeczywiście myśli bardzo głęboko. A myśli bardzo głęboko ponieważ żyje bardzo głęboko. A więc nie jest przypadkiem, że od ponad trzech lat jest papieżem, namiestnikiem Chrystusowym dla miliarda wyznawców Chrystusa i wielkim przewodnikiem dla innych ludzi. Dla nas Polaków to bardzo ważne po pontyfikacie Jana Pawła II.

Bardzo serdecznie dzisiaj dziękuję państwu za wspólną refleksję. Na następną konferencję zapraszam bardzo gorąco w ostatni poniedziałek maja, bo wcześniej niestety nie mogę, to będzie 26 maja, Dzień Matki. A ponieważ będzie to Dzień Matki, spróbujemy coś powiedzieć o Bogu co by również odzwierciedlało coś z tej prawdy o macierzyństwie. Spróbujemy powiedzieć o Bogu to, czego próbował dociekać także Benedykt XVI. Zapraszam zatem bardzo serdecznie na 26 V. Dzisiaj bardzo dziękuję — z podziwem na państwa patrzę. Chwała Ojcu i Synowi . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . . Gdybyśmy tak na Uniwersytecie mieli tylu słuchaczy! W Toruniu też są takie konferencje biblijne, też jest bardzo wiele osób. Natomiast tutaj patrząc na państwa naprawdę człowiek się buduje.

## 8 Mowa eucharystyczna Jezusa - i pierwszy kryzys — (26 maja 2008)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Bardzo serdecznie państwa witam, i zaczniemy od modlitwy tak, jak zawsze. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolica Mądrości ...

Jeszcze raz bardzo serdecznie witam pod koniec maja, miesiąca maryjnego, na naszej przedostatniej konferencji [Okrzyki: nie słycać ... To w takim razie trzeci raz witam państwa bardzo serdecznie, skoro tamten pierwszy i drugi raz nie było słycać. Bardzo się cieszę, że spotykamy się raz jeszcze, teraz w maju, miesiącu maryjnym. Zaczynamy w dzień i pewnie skończymy kiedy jeszcze będzie widno — rzadko kiedy jest taki luksus, jak właśnie w maju. Jest to przedostatnie nasze spotkanie, ostatnie odbędzie się w czerwcu, za trzy tygodnie kiedy to zakończymy ten tegoroczny cykl konferencji, który w tym roku został opatrzony tytułem: „Spotykamy Jezusa Chrystusa z Benedyktem XVI”. Także i dzisiaj zaczniemy od tego obrazu, który jest bardzo subiektywny. Mianowicie wyobraźmy sobie że tworzymy tłum, który towarzyszy Jezusowi gdzieś tam na ziemi palestyńskiej albo w Galilei, albo w Judei. Że idziemy do Jezusa żeby Go nie tylko zobaczyć, ale żeby Go również posłuchać, i że w tym tłumie przewodnikiem naszym był do tej pory Benedykt XVI, który rozważa Ewangelię i chce z Ewangelii niejako wysupłać to, co nam pokazuje Jezusa, mówi o Jezusie, ukazuje Jezusa, i my też papieżowi towarzyszymy.

Ale dzisiejsze nasze spotkanie będzie miało nieco inny charakter. Mianowicie przypada ono w czasie dość wyjątkowym dla Kościoła, bo w oktawie Bożego Ciała, kiedy to nasza uwaga skupia się wokół tajemnicy Eucharystii. I ponieważ został nam jeszcze jeden rozdział książki Benedykta XVI „Jezus z Nazaretu”, dlatego skupimy się właśnie nad tajemnicą Eucharystii czytając Ewangelię, zwłaszcza Ewangelię św. Jana. To rozważanie, ta konferencja pewnie czekałaby nas pewnie w drugim tomie książki Benedykta XVI, bo jak państwo wiedzą papież zapowiedział właśnie drugi tom, który będzie wydany w tym roku albo w przyszłym roku, jeżeli wszyscy szczęśliwie dożyjemy – łącznie z papieżem – więc pewnie tam papież będzie zastanawiać się nad tajemnicą Eucharystii. A my, którzy mamy świeżo za sobą uroczystość Bożego Ciała, a teraz mamy oktawę Bożego Ciała, spróbujmy wnieść się w ten tłum, który idzie za Jezusem, i spróbujemy przemyśleć tajemnicę Eucharystii.

Celowo mówię: „przemyśleć” tajemnicę Eucharystii, misterium Eucharystii dlatego, że tego misterium zrozumieć, zracjonalizować się do końca nie da. Można się nad tym zastanawiać ale to, co z Eucharystią wiąże się najgłębiej i co powinno dzisiaj stać się jasne, to przede wszystkim to bogactwo, które wynika z przeżywania Eucharystii. Chciałbym żebyśmy zatrzymali się dzisiaj nad Ewangelią św. Jana w której jest tekst niezwykły, którego w całości nigdy w Kościele nie czytamy – podzielony jest na fragmenty. Natomiast dzisiaj chciałbym, żebyśmy zatrzymali się nad całym tym tekstem, mianowicie nad tzw. mową eucharystyczną Jezusa, którą wygłosił w synagodze w Kafarnaum. Ci z państwa, którzy byli w Ziemi Świętej, będą mogli zamknąć na chwilę oczy, albo podczas konferencji zamykać oczy, i będą sobie mogli wyobrazić Kafarnaum i to drzewo laurowe, potężne, które tam rośnie — jedno, drugie i trzecie. Jeżeli byliśmy razem to pod tym drzewem laurowym zawsze siadaliśmy na ławkach czy na takich kamiennych słupach, i tam fragmenty tego tekstu czytaliśmy i rozważaliśmy. A następnie zwróciliśmy uwagę, że obok znajduje się owa synagoga w której Jezus mowę eucharystyczną wygłosił.

Zaczniemy jednak od samego początku. Otóż ta Jezusowa refleksja nad Eucharystią, a co za tym idzie także nauczanie, które Eucharystii dotyczy, ma swój bardzo specyficzny kontekst. I powinniśmy zwrócić uwagę na ten kontekst, bo on jest niesłychanie istotny dla głębszego przeżywania tego misterium Eucharystii. W Ewangelii św. Jana czytamy tak (J6.1):

Potem Jezus udał się za Jezioro Galilejskie, czyli Tyberiadzkie.

Jesteśmy więc nad Jeziorem Galilejskim, jesteście w okolicy Tyberiady, jesteście w Galilei, na północy Palestyny. Państwo doskonale wiedzą albo z własnej tam bytności, albo z opowiadań, że jest to najbardziej zielony, najpiękniejszy fragment Ziemi Świętej — ta część, do której byśmy najchętniej wracali. I ktoś, kto zobaczy raz okolice Jeziora Galilejskiego, z pewnością tej ziemi nie zapomni.

Szedł za Nim wielki tłum, bo widziano znaki, jakie czynił na tych, którzy chorowali.

A więc Jezus uzdrawia. Jest to znakiem Jego mocy, jest to znakiem tego, kim jest, za kogo siebie podaje. Jezusowi towarzyszy wielki tłum. Jesteśmy w czasach starożytnych. Pewnie dzisiaj, gdybyśmy sobie wyobrazili takiego wędrownego nauczyciela, to trzeba byłoby przypuszczać że w jego sąsiedztwie byłoby mnóstwo dziennikarzy, zarówno prasowych jak i radiowych i telewizyjnych, podstawiano by mu pod usta mikrofony. Na pewno obok byłoby kilka kamer. A gdyby Pan Jezus dokonywał cuda dość często, np. codziennie czy 2 - 3 razy w tygodniu, to być może szłaby za Nim telewizja typu CNN czy TVN i na bieżąco byłaby transmisja. Na bieżąco też byłiby ci, którzy komentowaliby te cuda: jedni przychylnie, drudzy nieprzychylnie, jedni życzliwie, drudzy podejrzliwie. I nawet ci, którzy siedzą przed telewizorami mogliby to oglądać do tego stopnia że cuda, których Jezus dokonał, po prostu by spowszedniały. Potem, po takiej transmisji zarządzono by debatę dziennikarzy — jedni byłiby poruszeni tym cudem, drugich by to w ogóle nie obchodziło. Jedni by powiedzieli, że takie rzeczy w świecie się zdarzają, że to widzieli, słyszeli. Drudzy by powiedzieli, że nie, że jest to coś niezwykłego. Potem byłoby głosowanie a na końcu jeszcze jakiś sondaż opinii publicznej, i parę odpowiedzi, które są z góry podpowiedziane. i 60% uważa, że to cud, 37% uważa, że to nie jest cud, 3% nie ma własnego zdania — i tak by to mniej więcej wyglądało.

Może więc dobrze, że Pan Jezus działał w starożytności, kiedy tych wszystkich socjotechnik nie było, nie było takich możliwości. I z tego tytułu wszystko, co na Jego temat wiemy, wiemy dzięki świadectwu tych, którzy szli za Jezusem, wiernie Mu towarzyszyli, którzy przyjmowali to świadectwo znaków i którzy coraz głębiej próbowali zrozumieć kim naprawdę jest Jezus, aż wreszcie doszli do wiary, która stała się fundamentem chrześcijaństwa, i w którą my jesteśmy wszczępieni. Może więc nie jest sprawą przypadku, że Pan Bóg dla dzieła Wcielenia wybrał czasy starożytne. Bo wbrew pozorom w czasach nowożytnych przyjęcie wiary w Syna Bożego, który stał się Człowiekiem, byłoby zapewne o wiele trudniejsze. Dzisiaj wszystko staje się powodem dyskusji, powodem sprzyjającym debacie, refleksji. Dzisiaj jest tzw. demokracja a więc każdy chce decydować o wszystkim. I do tego stopnia jest to poplątane, że nawet rzeczy wielkie bywają spłaszczane do poziomu, na którym przestają wiele znaczyć. Mamy wielkie osobistości, wielkie postacie, także w naszych czasach, które sływałyby ze swojej wielkości, ze swojego majestatu, ze swojej mądrości, ze swojej dobroci — ale wystarczy, że w środkach masowego przekazu zestawia się je z kimś zupełnie przypadkowym i natychmiast cała ta wielkość, jej urok i majestat, pryska.

Za Jezusem idzie więc wielki tłum. Nie dlatego, że były transmisje radiowe i telewizyjne, ale dlatego, że Jezus pociągnął tę rzeszę. Ale w końcu były to zaledwie setki ludzi, czy może tysiące ludzi jak w tym przypadku, kilka tysięcy ludzi którzy Mu towarzyszyli i którzy uznali, że warto za Nim pójść.

Jezus wszedł na wzgórze i usiadł tam ze swoimi uczniami.

Zawsze, kiedy Jezus uczy, podobnie jak nauczyciele żydowscy, to uczy siedząc. A ludzie są dookoła. Odbywało się to zawsze wieczorem, kiedy była rosa. Ze wzgórze było słycać dookoła. Pewnie było też i tak, że jeżeli tłum siedział bardzo daleko — mikrofonu nie było, głośników nie było — to jedni drugim powtarzali te zasłyszane słowa. I tak to, co Jezus mówił powoli, szło gdzieś tam do samego końca powtarzane, a przez to samo również zapamiętywane. Bo słowa Jezusa nie tylko docierały do ludzkich uszu, ale musiały zapaść w ludzkie serca po to, żeby ktoś później opisał to wszystko, co się wydarzyło.

A zbliżało się święto żydowskie, Pascha.

Ten kontekst jest bardzo ważny, bo święto żydowskie Paschy przypada w marcu, albo najpóźniej na początku kwietnia — a więc jesteśmy wiosną. Święto to upamiętnia wybawienie Izraelitów z Egiptu. To jest ważne, bo właśnie w kontekście tego wybawienia Izraelitów z Egiptu Jezus będzie uczył, wprowadzi swoich słuchaczy w tajemnicę Eucharystii. Wybawienie z Egiptu było wyzwoleniem. Eucharystia też jest przedstawiana jako wyzwolenie. Wybawienie z Egiptu było wielkim dziełem Boga, które czyniło niewolników wolnymi. Eucharystia jest wielkim darem Jezusa Chrystusa, w którym On sam zostaje z nami — zobaczymy to za moment — na sposób sakramentalny, budząc nasz i podziw, i zdziwienie, i niedowierzanie.



Kiedy więc Jezus podniósł oczy i ujrzał, że liczne tłumy schodzą do Niego, rzekł do Filipa:

Dzisiaj mamy św. Filipa, ale to jest Filipa Nereusza a nie Filipa Apostoła. Otóż o tym Filipie słyszymy kilka razy na kartach Ewangelii, na kartach Nowego Testamentu. To człowiek o którym wiemy, że doskonale znał język grecki. A wiemy dlatego bo przy innej okazji, kiedy do Jezusa przyszli Grecy i chcieli koniecznie Go zobaczyć, to zwrócili się właśnie do Filipa prosząc, żeby im taką audyencję, takie posłuchanie, wyjednał. I Filip doskonale dawał sobie z nimi radę, bo znał doskonale język grecki. A więc Filip był na pewno człowiekiem wykształconym, był takim erudytą w tym gronie Dwunastu, i tutaj też w takiej roli występuje. Więc Jezus zwraca się do niego i mówi tak:

«Skąd kupimy chleba, aby oni się posilili?»

Inicjatywa wychodzi od Jezusa. Chodzi o chleb. Jezus widzi tłumy, które gromadzą się wokół Niego, i zadaje Filipowi pytanie retoryczne. Skoro Filip wyróżnia się w gronie Dwunastu tym, że był wykształcony, no to wykształceni są najbardziej odpowiedni do tego, żeby odpowiadać na trudne pytania. A to pytanie jest na pewno trudne, bo na tej osobności, na wzgórzu nieopodal Jeziora Galilejskiego rzeczywiście zapytać, skąd weźmiemy chleba aby oni się posilili, jest rzeczą odważną.

A mówił to wystawiając go na próbę.

A więc Jezus wie, do czego zmierza ta jego pedagogia. Chce jednak posłuchać co w takiej sytuacji ma do powiedzenia człowiek wykształcony.

Wiedział bowiem, co miał czynić. Odpowiedział Mu Filip: «Za dwieście denarów nie wystarczy chleba, aby każdy z nich mógł choć trochę otrzymać».

Otóż to jest bardzo ciekawa wzmianka, bo ona nam daje również (relację?) sytuację o starożytnych realiach ekonomicznych. „Za dwieście denarów nie wystarczy chleba, aby każdy z nich mógł choć trochę otrzymać”. To, o czym słyszymy, co dzisiaj rozważamy, jest opisane we wszystkich czterech Ewangeliiach, i jeden z Ewangelistów wspomina że tych, którzy jedli, tych którzy spożywali, było pięć tysięcy mężczyzn nie licząc kobiet i dzieci. Pięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci na pewno było mniej bo kobiety i dzieci raczej siedziały w domu. Mniej więcej to było 6000 - 7000 ludzi, taki tłum jak na starożytność to bardzo duży, i Filip mówi: za dwieście denarów nie starczy chleba. Najpierw — chleba. My chleb wyobrażamy sobie tak, jak my go znamy, w bochenkach. Ale takiego chleba w starożytności na Bliskim Wschodzie w ogóle nie było. I dzisiaj też go nie ma. Każdy, kto był na Bliskim Wschodzie, wie, że tamtejszy chleb wygląda zupełnie inaczej. To są raczej takie placki, specjalnie pieczone, których się nie kroi nożem tak, jak my to robimy, na kromki, tylko bierze się taki placek i z niego odrywa się rękami kawałki ciasta, macza w oleju albo w oliwie, albo jakimś sosie, albo w jakiś warzywach, albo w zupie, i tak po kawałku łamiąc ten chleb czy odrywając po kawałku wkłada go sobie do ust. Więc chleb wygląda zupełnie inaczej. Ile kosztował chleb w starożytności, żeby to porównać z dzisiejszymi cenami? Jeżeli tych, którzy byli głodni, było ok 6 - 7 tysięcy osób, a Filip mówi, że dwieście denarów nie starczy, żeby ich wszystkich nakarmić, to denar to była mniej więcej zapłata za dzień pracy. Za denara można było w starożytności kupić od 20 do 30 chlebów. Proszę to przeliczyć na dzisiejsze ceny. Otóż takim chlebem najadła się w starożytności jedna osoba. Jeden chleb to był na jedną osobę. Jeżeli więc można było za dniówkę kupić załóżmy 20 do 30 tych chlebów, to policzmy to na dzisiejsze ceny. Ile kosztuje dzisiaj mniej więcej bochenek chleba, taki nie za duży? Panie robią zakupy — *podpowiedzi* — mniej więcej 2.5 zł. 2.5 razy 30 to jest 75 zł. Razy miesiąc pracy, dwadzieścia parę dni roboczych, to nam wyjdzie ok. 2000 zł na miesiąc. W ten sposób widzimy, że płaca za pracę w starożytności była dość godziwa, tzn. płacono mniej więcej według naszej dzisiejszej średniej — ale może nie tej średniej, którą wszyscy dostają, tylko tej, która jest podawana w gazetach. A więc średnia trochę wyższa niż normalna. Tak czy inaczej proszę zwrócić uwagę że te realia, z którymi tutaj mamy do czynienia, są podane bardzo dokładnie i na podstawie takich szczegółów możemy sporo wnosić jak to w starożytności

wszystko wyglądało. Filip mówi: dwieście denarów nie wystarczy, żeby ich nakarmić. Czyli dwieście denarów, żeby kupić 25 - 30, to będzie 5000 - 6000 ludzi, on się obawia, że tych ludzi jest więcej, i dwieście denarów nie wystarczy. A więc Filip kalkuluje, i to robi bardzo sprytnie i szybko.

Jeden z uczniów Jego, Andrzej, brat Szymona Piotra, rzekł do Niego: «Jest tu jeden chłopiec, który ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby, lecz cóż to jest dla tak wielu?»

Wygląda na to, że Andrzej, brat Szymona Piotra, przejmuje inicjatywę i sugeruje Jezusowi że jest coś, od czego można by zacząć. Może przychodzi mu do głowy kontekst Paschy, święta paschalnego i pamięć o tym, co wydarzyło się niegdyś na pustyni, gdzie Izraelici szli z Egiptu najpierw pod górę Synaj, a następnie do Ziemi Obiecanej, i kiedy Bóg karmił ich manną. Może Andrzejowi przyszło do głowy to, że skoro Jezus jest kimś tak niezwykłym, to być może będzie mógł powtórzyć ten cud pustyni sprzed ponad 1000 lat w tamtym czasie.

Jezus zatem rzekł: «Każcie ludziom usiąść!» A w miejscu tym było wiele trawy.

Kto był w Ziemi Świętej wie, że w Galilei trawa jest mniej więcej od listopada do maja, mniej więcej przez pół roku. Od maja robi się bardzo gorąco i trawa wysycha. Zatem jesteśmy w porze — raz jeszcze się okazuje — wiosennej. Ludzie siadają na trawie. Ta trawa jest tam bardzo dorodna, bardzo duża dlatego, że po porze deszczowej nie ma jeszcze upałów. I ta trawa rzeczywiście tworzyła taką bardzo piękną oprawę tego cudu, że i Jan ją zauważył.

Usiedli więc mężczyźni, a liczba ich dochodziła do pięciu tysięcy.

A więc to, o czym wspominają i inni Ewangelisci, potwierdza także i św. Jan.

Jezus więc wziął chleby

było ich pięć

i odmówiwszy dziękczynienie, rozdał siedzącym;

Kiedy uważnie wsluchujemy się w ten tekst, zwłaszcza w jego brzmieniu greckim, to już nam nasuwa się myśl o Eucharystii. To dziękczynienie nad chlebem po hebrajsku nazywa się birhat alehem —  *błogosławieństwo chleba*. Otóż żaden Żyd, żaden Arab prawdziwie wierzący nie weźmie do ust chleba, póki najpierw nie podziękuje Panu Bogu za ten dar. Otóż tam chleb i woda są o wiele bardziej cenione, niż w naszym rejonie świata. Dodajmy do tego jeszcze jeden szczegół. Nie wolno do chleba tam przykładać noża, chleba nie wolno kroić nożem. Jest takie przysłowie semickie które powiada, że kiedy się chleb kroi nożem, to chleb płacze tak, jak człowiek płacze. Po arabsku jest takie przysłowie, że kiedy kroisz chleb nożem to chleb krwawi tak, jak człowiek krwawi. Zatem nie ma mowy, żeby przyłożyć nóż do chleba. Nad chlebem odmawia się krótką modlitwę dziękczynną, a potem chleb się łamie. I to nam pozwala zrozumieć realia, które stoją u podstaw Eucharystii. Więc odmówił dziękczynienie, czyli pomodlił się, błogosławił Bogu i

rozdał siedzącym; podobnie uczynił z rybami, rozdając tyle, ile kto chciał. A gdy się nasycili, rzekł do uczniów: «Zbierzcie pozostałe ułamki, aby nic nie zginęło».

To też odzwierciedla tamtejszą mentalność — troska o każdą kromkę, o każdą resztkę chleba. Jeżeli nie może spożyć jej człowiek, to daje się do spożycia ptakom albo zwierzętom, ale chleb nie może się marnować. Otóż w ogóle żywność nie może się marnować. Widok marnującej się żywności przyprawia ich o rozpacz wręcz. Więc dobrze, żeby to również mieć i u nas w głowach bo doskonale wiemy, że pod tym względem jest bardzo wiele do zrobienia. Jezus mówi: zbierzcie wszystkie ułamki.

Zebrałi więc, i ułomkami z pięciu chlebów jęczmiennych, które zostały po spożywających, napełnili dwanaście koszów.

A kiedy ci ludzie spostrzegli, jaki cud uczynił Jezus, mówili: «Ten prawdziwie jest prorokiem, który miał przyjść na świat».

A więc uczestnicy tego wydarzenia dochodzą do przekonania, że oto w Jezusie Bóg spełnia swoje obietnice, że Jezus jest kimś takim, jak nowy Mojżesz. Kiedyś Mojżesz karmił lud bożego wybrania manną, a teraz oto Jezus karmi chlebem. Konstatacja, stwierdzenie jest więc proste — to jest ktoś niezwykły, to jest prorok. A ponieważ zbliżał się wieczór i ponieważ najedli się tym, co było, chlebem i rybami, to tego rodzaju konstatacja pod koniec dnia brzmiała zupełnie dobrze. Gotowi więc byli sobie odpocząć i pójść spać. Ale po drodze wydarzyła się jeszcze jedna rzecz. Mianowicie:

Gdy więc Jezus poznał, że mieli przyjść i porwać Go, aby Go obwołać królem, sam usunął się znów na górę.

A więc tłum nie poprzestał na tym, że się najadł. Przełożył swoje zdziwienie i uznanie na konkretną decyzję polityczną. Mianowicie doszli do wniosku że byłoby dobrze, aby mieć takiego króla. To, że jest prorokiem, to jedno, że Bóg spełnia obietnice, to drugie. A po trzecie dobrze mieć w zasięgu ręki kogoś, kto rozmnaża chleb i rozmnaża ryby. Być może jutro weźmie do ręki inne produkty, i zawsze być dobrze blisko w takim właśnie towarzystwie.

Myślenie jest doraźne, można by powiedzieć — aż do bólu racjonalne. I cały ten epizod, kiedy próbowalibyśmy go sobie wyobrazić albo np. nakręcić tak, jak się kręci filmy, to można tutaj dostrzec coś z takiego humoru, który odkrywa coś z głębi duszy, serca, sumienia każdego z nas. Tacy jesteśmy. Jeżeli ktoś dobrze potrafi zadbać o nasze sprawy, to gotowi jesteśmy mu zaufać zwłaszcza, jeżeli to zaufanie przekłada się na doraźne korzyści. A uczestnikom tego cudu przełożyło się. Więc zaraz potem następuje kolejny epizod:

O zmierzchu uczniowie Jego zeszli nad jezioro i wsiadłszy do łodzi przepławili się przez nie do Kafarnaum.

A więc uczniowie płyną przez Jezioro Galilejskie do Kafarnaum. To przepiękna okolice. Każdy kto był, kto płynął statkiem po Jeziorze Galilejskim, z całą pewnością wspomina to ze wzruszeniem.

Nastaly już ciemności, a Jezus jeszcze do nich nie przyszedł; jezioro burzyło się od silnego wichru. Gdy upłynęli około dwudziestu pięciu lub trzydziestu stadiów,

czyli mniej więcej kilometr dwieście do półtora od brzegu

ujrzeli Jezusa krocącego po jeziorze i zbliżającego się do łodzi. I przestraszyli się. On zaś rzekł do nich: «To Ja jestem, nie bójcie się!» Chcieli Go zabrać do łodzi, ale łódź znalazła się natychmiast przy brzegu, do którego zdążali.

Jezus okazuje się panem natury na dwa sposoby: raz, kiedy rozmnożył chleb i ryby, i drugi raz kiedy w cudowny, dla nas niewytłumaczalny sposób, spaceruje po wodach Jeziora Galilejskiego. A więc odkrywa swym uczniom kim naprawdę jest. Jeden cud po drugim, jeden późnym popołudniem, drugi natomiast nocą.

To jest właśnie kontekst tego, czym teraz chcemy się zająć. Bo oto w tej sytuacji, w której ludzie zostali nakarmieni, Apostołowie zobaczyli Jezusa jako kogoś niezwykłego — proszę zauważyć: po dwu cudach, po dwu niezwykłych zjawiskach — będzie miało miejsce to, na co chcemy zwrócić dzisiaj uwagę.

Nazajutrz

czyli po tej nocy, która minęła

lud, stojąc po drugiej stronie jeziora, spostrzegł, że poza jedną łodzią nie było tam żadnej innej oraz że Jezus nie wsiał do łodzi razem ze swymi uczniami, lecz że Jego uczniowie odpłynęli sami.

Otóż wczoraj wieczorem widzieli tą łódź odpływającą, wiedzieli, że Jezusa tam nie ma, nie widzieli Go kroczącego po jeziorze, ale zaczynają Jezusa szukać. Jezioro Galilejskie ma łącznie 21 km długości i 12 km szerokości. Zatem wczesną wiosną, kiedy widoczność jest bardzo dobra, doskonale z każdego punktu na brzegu widać drugi brzeg i widać również całe jezioro. Stąd ci ludzie są zainteresowani tym, gdzie jest Jezus.

Tymczasem w pobliże tego miejsca, gdzie spożyto chleb po modlitwie dziękczynnej Pana, przyplłynęły od Tyberiady inne łodzie.

Jan opisuje to bardzo szczegółowo. Można by wziąć atlas geograficzny czy topograficzny i odtworzać te szlaki, można by usiąść nad Jeziorem Galilejskim tak, jak to robią studenci, pielgrzymi, ludzie, którzy tam spędzają więcej czasu. I gdzie nad ranem biorą do ręki Pismo Święte, siadają, patrzą na jezioro i oglądają to, o czym czytają w Piśmie Świętym. Nam musi wystarczyć tylko wyobrażenia.

A kiedy ludzie z tłumu zauważyli, że nie ma tam Jezusa, a także Jego uczniów, wsiadli do łodzi, przybyli do Kafarnaum i tam szukali Jezusa.

Otóż w Kafarnaum Jezus zatrzymywał się najczęściej. Kafarnaum leży na północnej stronie Jeziora Galilejskiego, dzisiaj to bardzo piękna miejscowość. Stamtąd pochodził celnik Mateusz. Tam również wzenił się Piotr, tam mieszkała jego teściowa — przynajmniej o niej wiemy, nie wiemy o reszcie rodziny. Tam więc Jezus często zatrzymywał się w domu Piotra, i często przebywał w Kafarnaum. Do tego stopnia, że w Ewangeliach Kafarnaum jest bardzo często wspomnianą miejscowością. A i dzisiaj, kiedy się wchodzi na teren wykopalisk archeologicznych w Kafarnaum, to wita nas tablica „Kafarnaum, the town of Jesus” — „Kafarnaum, miasto Jezusa”. Otóż ci, którzy szukają Jezusa, wiedzą, że znaleźć Go mogą właśnie w Kafarnaum. Tam się więc udają.

Gdy zaś odnaleźli Go na przeciwległym brzegu, rzekli do Niego: «Rabbi, kiedy tu przybyłeś?»

Rabbi — to hebrajskie *nauczyciel* albo *mistrz*. Dokładniej znaczenie pochodzi od rzeczownika raaw — *mistrz, nauczyciel*. Rabbi — znaczy *mój mistrzu, mój nauczycielu*, które z czasem stało się tytułem. Więc: Nauczycielu, kiedy tu przybyłeś? Zdziwieni są tym, że nie widzieli Jezusa odpływającego razem z Apostołami, a tymczasem On tu jest w Kafarnaum.

I tak rozpoczyna się epizod, który stanowi samo serce naszego zainteresowania dzisiaj.

W odpowiedzi rzekł im Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Szukacie Mnie nie dlatego, żeście widzieli znaki, ale dlatego, żeście jedli chleb do sytości.

Jezus dobrze rozpoznał intencje tych, którzy Go szukali. Te intencje są prozaiczne — tacy jesteście. My wszyscy tacy jesteście. To, co nami kieruje przede wszystkim to potrzeba zaspokojenia naszego bytu materialnego. Dopiero wtedy kiedy jesteście przekonani, że jakoś zadbaliliśmy choćby o najbliższą przyszłość, to dopiero wtedy jesteście gotowi zainteresować się sprawami duchowymi i zawierzyć komuś innemu to, co duchowe. Jezus dobrze rozpoznał ich intencje: szukacie nie dlatego, że widzieliście znaki, ale dlatego, żeście się do syta najedli. Tymczasem Jezus wystąpił tak, jak dobra kucharka, która karmi. Tylko problem polega na tym że ktoś, kto się dobrze najadł wczoraj, to dzisiaj jest tym bardziej głodny. Otóż zawód kucharki jest bardzo niewdzięczny, bo to samo powtarza się dnia każdego. Ludzie przychodzą i mówią tak, jak wczoraj: „Jeść!” Znają to dobrze również te, które są bohaterkami dzisiejszego dnia: „Mama, jeść!”

Wiec do Jezusa przychodzą przedstawiciele tego tłumu. I Jezus odgaduje ich intencje znakomicie. Mówi: Szukacie Mnie, bo żeście się najedli. I przenosi ich uwagę na nowy poziom. Mówi tak:

Troszczcie się nie o ten pokarm, który ginie, ale o ten, który trwa na wieki, a który da wam Syn Człowieczy; Jego to bowiem pieczęcią swą naznaczył Bóg Ojciec».

Jezus zwraca uwagę tych, którzy Go szukają, na inny pokarm. Nie lekceważy tego pokarmu, którym jest chleb i ryby, wczoraj ich nakarmił. Ale Jezus nie przyszedł na świat po to, aby ograniczyć się wyłącznie do dzieł charytatywnych. Również Kościół nie może poprzestać wyłącznie na dobroczynności. Dobroczynność jest elementem, jest składnikiem właściwego poznawania Pana Boga, uwierzenia Panu Bogu i zawierzenia Bogu. Jezus mówi to samo: troszczcie się nie tylko o ten pokarm, który ginie, ale troszczcie się o inny rodzaj pokarmu. Zawsze w człowieku są dwa rodzaje głodu. Jeden to ten głód fizyczny, a drugi głód który moglibyśmy naszym ludzkim językiem nazwać duchowym, którego nie sposób inaczej określić, ale wszyscy czujemy i wiemy doskonale o co chodzi. Że istnieje w nas potrzeba głębsza niż tylko jedzenie i niż tylko picie po to, żeby posilić własne ciało. Tutaj nawet w dzisiejszym świecie widać to doskonale. Państwo dobrze wiedzą, że społeczeństwa bardzo bogate, bardzo zasobne przeżywają ogromny kryzys tożsamości. Najwięcej samobójstw jest nie tam, gdzie są biedni — tam samobójstw nie ma. W Afryce samobójstw nie ma. Natomiast one są tam, gdzie ludzie są zamożni, żyją w dostatku, gdzie są bogaci. W społeczeństwach w których temu głodowi, który daje o sobie dotkliwie znać na poziomie duchowym, nikt nie wychodzi naprzeciw.

I Jezus zwraca uwagę na ten drugi rodzaj głodu. A więc to wczorajsze nakarmienie przenosi teraz na nowy poziom.

Oni zaś rzekli do Niego: «Cóż mamy czynić, abyśmy wykonywali dzieła Boże?»

Dobrze zrozumieli intencje Jezusa ci, którzy przyszli aby Go szukać. I chcą dowiedzieć się wobec tego jakiejś łatwej recepty w tym, co dotyczy głodu duchowego. Jeżeli chodzi o głód cielesny, Jezus zadośćuczynił mu wczoraj w prosty sposób poprzez rozmnożenie chleba i ryb. Może więc istnieje jakaś recepta na to, aby wyjść naprzeciw głodowi duchowemu? Może wystarczy tylko tę receptę znać, aby człowiek był szczęśliwy, aby człowiek czuł się spełniony, aby człowiek odczuwał duchową satysfakcję? Więc proszą o taką receptę.

Jezus odpowiadając rzekł do nich: «Na tym polega dzieło [zamierzone przez] Boga, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał».

Wczoraj był chleb i ryby, a dzisiaj jest sugestia, by przyjąć Jezusa, uwierzyć Jezusowi, zawierzyć Jezusowi. Dlatego zawierzyć, ponieważ Jego więź z Bogiem jest absolutnie wyjątkowa, jest unikatowa. Uwierzcie w Tego, którego Bóg posłał! A więc z poziomu tego chleba doczesnego, materialnego przenosi się na poziom głodu duchowego, któremu może sprostać Chrystus. Chrystus rzeczywiście jest odpowiedzią na wielki głód duchowy, który człowiek w sobie nosi. Ale jest odpowiedzią przede wszystkim z powodu swojej wyjątkowej, jedynej w swoim rodzaju więzi z Bogiem. Otóż wynika z tego, że odpowiedzią na głód, który człowiek w sobie nosi, ten głód duchowy, jest spotkanie z żyjącym, z żywym Bogiem. Z Bogiem, który objawia się w Jezusie Chrystusie. Aby ten głód duchowy został zaspokojony, to spotkanie z Bogiem powinno być jak najgłębsze.

Rzekli do Niego: «Jakiego więc dokonasz znaku, abyśmy go widzieli i Tobie uwierzyli? Cóż zdziałasz?»

Ten wczorajszy cud okazał się czymś co sprowokowało, co wywołało wielką niewdzięczność. Wczoraj zjedli chleb, zjedli ryby. A dzisiaj powiadają: a dziś, co zrobisz nowego? Gdyby w historii Kościoła w każdym ludzkim pokoleniu Bóg musiał uwiarygodnić się poprzez cuda, to każde pokolenie żądałoby dziesiątek, setek, tysięcy cudów na potwierdzenie tego, że Bóg istnieje i że jest człowiekowi potrzebny. Otóż gdyby cuda miały być zawsze sprawdzianem czy uwiarygodnieniem zawierzenia Bogu, to rzeczywiście Bóg kilka razy dziennie musiałby wobec każdego i każdej z nas się uwiarygadniać. Bo to jedno, co przeżywamy — cudowne, nadzwyczajne, niezwykle, nigdy nie wystarcza. Myślę, że każdy z nas kiedy się obejrzy na własne życie, to w tym życiu — mówiliśmy o tym kiedyś — zawsze dostrzeże coś niezwykłego. I w momencie, kiedy jest nam trudno, dobrze jest wrócić do tego, co się przeżyło kiedyś. W przeciwnym wypadku mamy tę samą pokusę, żeby Bóg nieustannie uwiarygadniał się wobec nas. Mówiliśmy o tym także na początku tegorocznych konferencji kiedy zwróciliśmy uwagę na ten wątek, tak mocno podkreślany przez Benedykta XVI, że paradoks w życiu religijnym na tym polega, że to nie człowiek uwiarygodnia się wobec Boga,

lecz człowiek chciałby, żeby Bóg uwiarygodniał się, weryfikował się wobec nas. I że ta pokusa, która istniała od niepamiętnych czasów, daje o sobie znać także i dzisiaj. Jakiego więc dokonasz znaku? Mało tego — podpowiadają Jezusowi jaki to miałyby być znak. I mówią tak:

Ojcowie nasi jedli mannę na pustyni, jak napisano: Dał im do jedzenia chleb z nieba».

Rzeczywiście przez całe pokolenie, przez całe czterdzieści lat Izraelici na pustyni byli karmieni manną. Ta manna sprawiła, że mogli przejść bezpiecznie przez pustynię synajską, dotrzeć do granic Ziemi Obiecanej. Pamięć o tym bożym darze trwała w Izraelu i była bardzo żywa. Wobec tego jeżeli Jezus jest prawdziwym Mesjaszem i nowym Mojżeszem, to może — tak sugerują Mu ci, którzy do Niego przyszli — byłoby dobrze, żeby poszedł w ślady Mojżesza. Może byłoby dobrze, żeby temu pokoleniu, które jest razem z Nim, które za Nim chodzi, które Mu towarzyszy, żeby dawał codziennie chleb tak jak Mojżesz dawał mannę.

Rzekł do nich Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale dopiero Ojciec mój da wam prawdziwy chleb z nieba.

„Daje wam” — jest po grecku. Otóż znowu Jezus zwraca uwagę: tamten chleb był cielesny, tamten służył ciału. Tamten chleb był potrzebny na tamtym etapie, podobnie jak wczorajszy cud był potrzebny wczoraj. Ale i manna, i cud rozmnożenia chleba i ryb jest punktem wyjścia do tego, byście sobie uświadomili głód innego rodzaju i głód większy, który może zaspokoić tylko Pan Bóg. I to właśnie Pan Bóg wychodzi naprzeciw temu głodowi, albowiem Chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu. Chlebem Bożym ma być sam Chrystus.

Tak dochodzimy do samego sedna Ewangelii, do samego serca Ewangelii. Jezus samego siebie przedstawia jako pokarm. Czyż można się dziwić, że za chwilę wywoła to nie tylko zdziwienie, ale wywoła także sprzeciw? Patrząc na Jezusa i słysząc, że chlebem bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu? Jezus dokonał cudu, ale jednocześnie wprowadza świadków tego cudu i swoich słuchaczy do samego serca tego, kim On jest i czego od nich oczekuje.

Rzekli więc do Niego: «Panie, dawaj nam zawsze tego chleba!»

Gotowi są przyjąć, bo jeszcze nie do końca rozumieją, o co chodzi.

Odpowiedział im Jezus: «Jam jest chleb życia. Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął; a kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie.

Przyjście do Jezusa to jest odpowiedź na głód, który człowiek w sobie nosi. A przyjęcie, wiara w Jezusa to jest jak gdyby odpowiedź na pragnienie, które jest w nas. Obecność przy Jezusie i uwierzenie w Jezusa są porównane do chleba i do wody, do zaspokojenia głodu i zaspokojenia pragnienia. Chrystus jest odpowiedzią na głód i na pragnienie, które człowiek w sobie nosi. Nikt tak w czasach Starego Testamentu nie mówił — żaden prorok, nawet tak wielki jak Mojżesz, żaden mędrzec, nawet tak wielki jak Salomon, żaden prawodawca, nawet tak potężny jak król Dawid. Nikt nie mówił o sobie w ten sposób. Jezus jest pierwszym i jedynym w dziejach religii, który mówi o sobie takie słowa: „Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął. A kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie.” Jezus jako odpowiedź na głód i pragnienie, które nosi w sobie człowiek.

Powiedziałem wam jednak: Widzieliście Mnie, a przecież nie wierzycie. Wszystko, co Mi daje Ojciec, do Mnie przyjdzie, a tego, który do Mnie przychodzi, precz nie odrzucę, ponieważ z nieba zstąpiłem nie po to, aby pełnić swoją wolę, ale wolę Tego, który Mnie posłał. Jest wolą Tego, który Mię posłał, abym ze wszystkiego, co Mi dał, niczego nie stracił, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym. To bowiem jest wolą Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne. A ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym».

Celowo podałem ten dłuższy cytat słów Jezusa, który zresztą znamy, żebyśmy uświadomili sobie taką rozstrzygającą prawdę. Jezus daje poznać właśnie tu, podczas tej mowy, że w Nim Pan Bóg jest nie tylko obecny, ale że działa w sposób absolutnie wyjątkowy. Że odtąd droga do Ojca, droga do Boga wiedzie przez Jezusa. Że trzeba uwierzyć w Jezusa, aby skutecznie dojść do Boga. Te słowa nie zostawiają wątpliwości, że Jezus objawia swoją mesjańską i boską tożsamość. Dokonał cudów — te cuda miały Go uwiarygodnić, ale oto teraz stawia wymagania które są znacznie większe niż to, czego słuchacze mogli się spodziewać. I dodaje: wołają Ojca jest to, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w niego, miał życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Życie człowieka nie wyczerpuje się w doczesności. W życiu nie można poprzestać tylko na zaspokojeniu głodu chleba i na zaspokojeniu pragnienia napoju. Życie ma jeszcze wymiar, który moglibyśmy nazwać eschatologicznym, ostatecznym. Jezus mówi o tym przeznaczeniu. To On jest pokarmem na życie wieczne.

Jak mogli Go zrozumieć ci, którzy Go słuchali? Moglibyśmy powiedzieć: nie wiemy! Albo moglibyśmy powiedzieć: nigdy do tego nie dojdziemy. Ale musieli to zapamiętać i musieli to zrozumieć — a odkryła im się pełna wartość i pełne znaczenie dopiero po Zmartwychwstaniu — skoro te słowa zostały zapisane w Ewangelii. A więc Jezus nie mówi w przepaść. Tym niemniej nie wszyscy to zrozumieli.

Ale Żydzi szemrali przeciwko Niemu, dlatego że powiedział: «Jam jest chleb, który z nieba zstąpił». I mówili: «Czyż to nie jest Jezus, syn Józefa, którego ojca i matkę my znamy? Jakżeż może On teraz mówić: "Z nieba zstąpiłem"».

Oto jest sedno zgorzienia związanego z misterium Wcielenia Syna Bożego. Jezus odsłania swoją mesjańską i boską tożsamość ale ci, którzy z Nim są, widzą człowieka. I ta zasłona człowieczeństwa przeszkadza im uwierzyć, poznać, przyjąć kim naprawdę jest Jezus. Gdy głębiej się zastanowimy nad tym, co teraz rozważamy, to możemy powiedzieć tak. Tym ludziom, którzy szli za Jezusem, którzy widzieli Jezusa, którzy słuchali Go, którzy patrzyli na Niego, było znacznie trudniej uwierzyć w Niego, niż nam. My przyjmujemy tę wiarę od naszych rodziców, od środowiska, od Kościoła. Dla nas od dziecka, gdy zaczynamy sobie powoli uświadamiać kim jesteśmy, Jezus jest prawdziwym Bogiem i prawdziwym Człowiekiem. Chociaż mamy z tym rozmaite trudności, wątpliwości podnoszone czasami głośno, czasami zupełnie po cichu, to jednak dla nas jest Jezus zawsze deską ratunku. A oni patrzyli na człowieka Jezusa, i zadawali sobie pytanie: za kogo On siebie ma? Czyż to nie jest Jezus, syn Józefa i Maryi, którego ojca i matkę my znamy? Rzeczywiście znali ojca i znali matkę. I przyjąc, że jest kimś niezwykłym — nawet jeżeli dokonuje cudów, jeżeli dokonuje znaków? Tamto pokolenie, które żyło w czasach Jezusa, było w o wiele trudniejszej sytuacji, niż my. Dlatego ten cud wiary, który dokonał się w ich sercach, jest czymś tak niezwykłym.

Jezus rzekł im w odpowiedzi: «Nie szemrajcie między sobą! Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli go nie pociągnie Ojciec, który Mnie posłał; Ja zaś wskrzeszę go w dniu ostatecznym. Napisane jest u Proroków: Oni wszyscy będą uczniami Boga. Każdy, kto od Ojca usłyszał i nauczył się, przyjdzie do Mnie. Nie znaczy to, aby ktokolwiek widział Ojca; jedynie Ten, który jest od Boga, widział Ojca. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto [w]e Mnie; wierzy, ma życie wieczne.

Jezus mówi: wiara nie jest ludzką sprawą. Do wiary w Niego nie dochodzi się na ludzki sposób. To nie jest tak, że wiara rodzi się z cudów, z zaskoczenia, ze zdumienia. Wiara w Jezusa jest bożym darem i bożą łaską. Wiara w Jezusa pochodzi od Boga, który mocą swojego Ducha odmienia serce człowieka. Wiara jest zawsze darem: „Nie szukałbyś Mnie, gdybyś Mnie nie znalazł”. To nie my szukamy Boga jako pierwsi, to Bóg szuka nas jako pierwszy. A ten głód, który jest w nas, głód tego, co święte, głód tego, co boże, głód duchowych wartości — od Niego pochodzi. I również uznanie, rozpoznanie w Jezusie tego, kim On jest, pochodzi od Boga. Jezus więc powiada swoim słuchaczom: nie polegajcie tylko na ludzkim rozeznaniu. Nie polegajcie na ludzkich uzasadnieniach. Otwórzcie się na Boga, który działa, a działa przede wszystkim przez Niego. Nie ma im za złe, że nie wierzą. Mówi: nie szemrajcie między sobą, ale ich nie potępia. Wskazuje tylko, że aby uwierzyć w Niego, trzeba otworzyć się na bożą moc. I dodaje:

Jam jest chleb życia. Ojcowie wasi jedli manę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje: kto go spożywa, nie umrze.

Mówi o sobie jako o chlebie. Ale o chlebie, który ma wartość — nie możemy tu użyć innego słowa, niż to — sakramentalną. Sakrament jest tajemnicą. Stajemy wobec tajemnicy. To jest tak, jak tajemnica miłości, dobroci, życzliwości, serdeczności. Tajemnica bożej obecności Chrystusa, który daje Siebie tym, którzy w Niego wierzą.

Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata».

Tu można by powiedzieć tak. Gdyby ktoś chciał wymyślić te słowa, nie mógłby sobie ich wyobrazić. Nie można by sobie wyobrazić czegoś takiego jak to, o czym Jezus mówi. Znowu żaden prorok, mędrzec, król, uczony i nieuczony, nie mówił o sobie w ten sposób, że „ja jestem chlebem życia”. Nikt nie mówił: „chlebem, który ja dam, jest moje ciało za życie świata”. Jezus jako jeden jedyny mówił w ten sposób. Nie możemy przeniknąć tej tajemnicy, co to znaczy. Ci, którzy słuchali, byli szczerze zdziwieni, bo:

Sprzeczali się więc między sobą Żydzi mówiąc: «Jak On może nam dać [swoje] ciało do spożycia?»

Oni mają rację, ci starożytni Żydzi, bo pozostają na poziomie wzroku, zmysłów, dotyku, na poziomie czysto materialnym. A Jezus mówi o poziomie, o płaszczyźnie, która jest najbardziej duchową z tych, jakie można sobie wyobrazić. Powiada, że On sam staje się pokarmem i napojem tych, którzy chcą uwierzyć w Boga i których serca Bóg do takiej wiary porusza.

Rzekł do nich Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie. To jest chleb, który z nieba zstąpił - nie jest on taki jak ten, który jedli wasi przodkowie, a poumierali. Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki».

Przeczytałem te słowa, bo ich skomentować się nie da. Na rozmaite sposoby, w starożytności i później, próbowano rozwikłać tajemnicę Eucharystii. Bodaj najgłębiej zrobił to św. Tomasz z Akwinu, który wykorzystywał język filozofii, jeszcze starożytnej, sięgającej czasów Arystotelesa. Tomasz mówił mniej więcej tak. Wszystko, co istnieje, każdy byt, ma dwie strony. Jedna to jest istota tego bytu, nieuchwytna i wręcz niewidoczna dla oczu. Druga to są przypadłości związane z tą istotą na sposób niekonieczny. Eucharystia — tłumaczył św. Tomasz — dotyczy właśnie istoty i przypadłości chleba i wina. Kiedy przyjmujemy Eucharystię, karmimy się Eucharystią, to istota chleba przestaje być chlebem, staje się Ciałem Pana. Istota wina przestaje być winem, staje się Krwią Pana. Ale przypadłości chleba, jego wygląd, jego smak, i przypadłości wina, jego wygląd, jego smak, konsystencja i cała reszta — pozostają. A więc zmienia się istota, a przypadłości pozostają. Tak św. Tomasz w Sumie teologicznej próbował przełożyć to, o czym mówił Chrystus, na język ludzi średniowiecza, a i na nasz język.

W naszych czasach, zwłaszcza po Soborze Watykańskim II, znów pojawiły się debaty jak Chrystus jest obecny w Eucharystii. Wypracowano w Holandii, tamtejsi teologowie wypracowali taką formułę, że nie chodzi o zmianę istoty, jak to mówił św. Tomasz, substancji — nazywa się to w języku teologicznym: nie chodzi o transsubstancjację czyli przemianę istoty, przemianę substancji, lecz chodzi o transsygnifikację, przemianę znaczenia. Do tej pory dla mnie to, co widzę, znaczy chleb i wino, A wraz z Eucharystią to, co widzę i przyjmuję, znaczy Ciało i Krew Chrystusa. Ale ten pogląd, który wydaje się na pierwszy rzut oka atrakcyjny, został natychmiast odrzucony jeszcze przez papieża Pawła VI. Dlatego, że cała nowość i niezwykłość Eucharystii na tym polega, że w



Eucharystii wyznajemy rzeczywistą obecność Jezusa Chrystusa, realną obecność Jezusa Chrystusa. Karmimy się Jego Ciałem i karmimy się Jego Krwią.

Jak? Nie wiemy! Jak to jest możliwe? Nie wiemy! Eucharystia jest jednak wyzwaniem dla rozumu. A najgłębiej rozumieją ją ci, którzy ją przeżywają. Eucharystia nie jest do rozważania, do dywagacji, do debat, do dyskusji. Eucharystia jest pokarmem którego smak, którego wielkość, którego szczególność czują ci, którzy go przyjmują. Tak uczył Jezus, tak pozostaje po dzień dzisiejszy. Jeżeli tak, to i pointa tego, co czytamy dzisiaj, staje się łatwiej zrozumiała.

To powiedział ucząc w synagodze w Kafarnaum.

A spośród Jego uczniów, którzy to usłyszeli, wielu mówiło: «Trudna jest ta mowa. Któż jej może słuchać?»

Eucharystia do dnia dzisiejszego pozostaje wielkim wyzwaniem, bardzo często zgorszeniem. Jak to jest możliwe — mówią ci, którzy patrzą na sprawowanie Eucharystii, albo na eucharystyczną procesję — że w tym kawałku chleba, odrobinie wina obecny jest Chrystus? Nie widzą Go oczy, nie czuje Go nasz wzrok, nasz słuch, nasze powonienie — więc Go nie ma! Chcielibyśmy w tym, co dotyczy spraw duchowych, pozostać wyłącznie na płaszczyźnie cielesnej. Ale to jest tak, jak oglądać barwy przez niewidomego albo słuchać muzyki przez kogoś, kto jest absolutnie głuchy. Jeżeli ktoś jest absolutnie głuchy na wartości duchowe, to oczywiście Eucharystia pozostanie dla niego czymś absolutnie niedostępnym. Bo Eucharystia nie jest dla filozofów, nie jest dla uczonych — Eucharystia jest dla tych, którzy potrafią uwierzyć Panu Bogu w jego zbawczą, odnawiającą i oczyszczającą człowieka obecność.

«Trudna jest ta mowa. Któż jej może słuchać?» Jezus jednak świadom tego, że uczniowie Jego na to szemrali, rzekł do nich:

Proszę zauważyć, nie tylko słuchacze w ogóle, ale jego własni uczniowie! Także kontestacje wobec Eucharystii, wątpliwości wobec Eucharystii, dość często rodzą się w samym Kościele. Ja muszę państwu powiedzieć, że najgłębszy sens posługi każdego kapłana i każdego biskupa to jest głęboka wiara w eucharystyczną obecność Jezusa Chrystusa. To jest największy sprawdzian naszej wiarygodności i jednocześnie naszej potrzeby sensu tego, co robimy. Jeżeli u jakiegoś kapłana załamie się wiara w eucharystyczną obecność Jezusa Chrystusa, całe jego życie traci sens. Dlatego, że najważniejszą sprawą, do której jesteśmy przeznaczeni, jest właśnie sprawa sprawowania Eucharystii.

Paradoks polega na tym, że chrzcić może każdy. Bez sakramentu bierzmowania można też żyć. Przez całe wieki miliony ludzi umierały darzeni mocą Ducha Świętego, ale bez tej sakramentalnej konieczności. Małżeństwo jest czymś tak naturalnym, że wartość sakramentalna tylko przenosi je na nowy poziom. Natomiast są przecież małżeństwa pozachrześcijańskie, niechrześcijańskie, i to są w pełnym tego słowa znaczeniu małżeństwa — bo małżeństwo wynika z samej natury ludzkiej, z więzi mężczyzny i kobiety, z ich wzajemnego związku. Sakrament namaszczenia chorych towarzyszy człowiekowi w przejściu na drugą stronę i jest niejako pochodną Eucharystii. Natomiast istotą posługi kapłańskiej jest sprawowanie Eucharystii. jeżeli by się załamała wiara w Eucharystię, cała ta posługa traci sens. Jeżeli państwo słyszą o odejściach kapłanów, o kryzysach powołania — to u ich źródła, u ich początków jest zawsze sprawa Eucharystii. Jeżeli bowiem ktoś — musimy to sobie jasno powiedzieć — przeżywa nawet największe trudności, nawet największe kłopoty, nawet największe załamania, ale wierzy w to, co sprawuje wraz z Eucharystią, to nigdy nie będzie mógł, nie będzie chciał, nie będzie w stanie zamienić Eucharystii na jakiegokolwiek inne dobro. Eucharystii, która nie jest li tylko osobistym dobrem kapłana, ale Eucharystii, która jest zawsze sprawą wspólnoty. Bo to Eucharystia rodzi Kościół, z Eucharystii rodzi się Kościół. Eucharystia nas gromadzi, łączy, zbiera i tworzy Kościół.

Tu uczniowie zwątpili, zapewne nie wszyscy — o czym za chwilę — ale wielu z nich tak.

«To was gorszy? A gdy ujrzycie Syna Człowieczego, jak będzie wstępował tam, gdzie był przedtem? Duch daje życie; ciało na nic się nie przyda. Słowa, które Ja wam powiedziałem, są duchem i są życiem.

Jezus zapewnia: warto i trzeba przyjąć to, o czym mówię. To jest poziom duchowy, dający życie. A więc warto odstąpić od zasłony, albo zajrzeć za zasłonę do tego duchowego świata.

«Oto dlaczego wam powiedziałem: Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli mu to nie zostało dane przez Ojca». Odtąd wielu uczniów Jego się wycofało i już z Nim nie chodziło

Oto pierwszy kryzys w ziemskim życiu Jezusa i w życiu tych, których powołał, aby szli z Nim. Kamieniem obrazu stała się Eucharystia. Tak jest po dzień dzisiejszy. Wielu uczniów się wycofało i już z Nim nie chodziło.

Rzekł więc Jezus do Dwunastu: «Czyż i wy chcecie odejść?» Odpowiedział Mu Szymon Piotr: «Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego.

I to wyznanie św. Piotra, jak ufam, jest również naszym wyznaniem. Otóż kiedy Jezus stawia decydujące pytanie o Eucharystię, to odpowiedź jest jedna: do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego. Przyjęcie Eucharystii to przyjęcie Chrystusa. I przyjęcie Chrystusa — na odwrót — to jednocześnie karmienie się Jego Ciałem i Krwią, które sakramentalnie obecne są pod postaciami chleba i wina.

Od tej pory publiczna działalność Jezusa zaczyna zmierzać ku Jerozolimie, ku krzyżowi. Eucharystia staje się znakiem i zapowiedzią Jego męki, śmierci i Zmartwychwstania. Tak jest po dzień dzisiejszy. Jeżeli trudno komuś uwierzyć w Jezusa, to najwyższym progiem wiary jest właśnie sprawa Jego rzeczywistej obecności w Eucharystii. Jeżeli ktoś przez ten próg przechodzi, powinien być wdzięczny Bogu, że otrzymał łaskę, o której już Chrystus wyraźnie mówił.

Bardzo serdecznie dziękując zapraszam za trzy tygodnie, 16 czerwca. Wtedy przejdziemy do ostatniego rozdziału książki Benedykta XVI, który będzie mówił o samoświadomości Jezusa, czyli za kogo Jezus sam siebie uważał. A dziś bardzo serdecznie dziękuję z nadzieją, że może nieco głębiej będziemy przeżywać tajemnicę eucharystycznej obecności Jezusa. Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

## 9 Przed nadchodzącym synodem biskupów nt.

### *Słowo Boże w życiu i misji Kościoła — (16 czerwca 2008)*

Pochwalony Jezus Chrystus ... Witam bardzo serdecznie państwa. Zaczijmy od modlitwy. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolicę Mądrości, módl się za nami!

Bardzo serdecznie wszystkim państwa witam. I raz jeszcze połączyliśmy dwa aspekty naszej modlitwy. Z jednej strony modlitwa do Boga, aby oświecił i pobudził nasze serca, przez modlitwę Ojciec Nasz, którą staraliśmy się głębiej zrozumieć kilka tygodni temu. A z drugiej strony wzywamy wstawiennictwa Najświętszej Maryi Panny, którą w litanii czcimy jako Stolicę Mądrości, bo Ona umiała przeżywać Słowo Boże, zarówno przyjmować je jak i przeżywać, wcielać w życie.

I w gruncie rzeczy taki jest także cel konferencji biblijnych, których kolejny rok dzisiaj szczęśliwie dobiega końca. Być może są wśród państwa takie osoby, które pamiętają nasze wspólne spotkania na ul. Dickensa, w II połowie lat 80-tych. Później od kilkunastu lat tutaj, na ul. Gorlickiej. Tutaj dobiega końca kolejny taki rok konferencji biblijnych — z nadzieją, że po wakacjach raz jeszcze znowu będziemy spotykać się. I mamy już nawet wytyczony temat, ale o tym pod koniec dzisiejszej konferencji.

W tym roku tematem naszej refleksji było spotkanie z Jezusem tak, jak On jest przeżywany przez Ojca Świętego Benedykta XVI. Trudno nam było ponad trzy lata temu rozstawać się z Janem Pawłem II. Doskonale pamiętamy pontyfikat papieża Polaka, pamiętamy okoliczności które towarzyszyły jego cierpieniu, jego odchodzeniu, jego śmierci, jego pogrzebowi. Od tamtej pory czas jednak płynie. Kościół ma to do siebie, tak jak cała ludzkość, że nieustannie żyje, wzrasta, rośnie, i od ponad trzech lat mamy nowego papieża. Wsłuchujemy się w słowa tego papieża, który jest pierwszym papieżem III tysiąclecia, jego pontyfikat rozpoczął się właśnie w III tysiącleciu. I próbujemy tak, jak to usiłowaliśmy sobie na tych konferencjach mówić, próbujemy jakby wmieszać się w tłum uczniów, którzy idą za Jezusem, i obok — tak sobie wyobrażamy — towarzyszy nam również Benedykt XVI. I to jego oczami chcemy oglądać Jezusa. Tak się działo do tej pory, podczas tych konferencji. Być może są wśród państwa osoby, które sięgnęły także po książkę papieża „Jezus z Nazaretu”. Nie jest to książka łatwa dlatego, że doświadczenie wiary nie może być łatwe, sprawy duchowe nie mogą być powierzchowne, ani to, co dotyczy Pana Boga, nie może być łatwo wytłumaczalne. Ale staraliśmy się w miarę możliwości, żeby treści tych papieskich przemyśleń uczynić bardziej swoimi, i krok po kroku posuwaliśmy się w poznawaniu, w przyswajaniu sobie tej tajemnicy Wcielenia Syna Bożego, która dokonała się w osobie Jezusa Chrystusa. Wszystko to dzieje się na progu nowego tysiąclecia, i mamy jeszcze w pamięci także fakt, że kilka lat temu przygotowaliśmy się do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000, do jubileuszu tajemnicy Wcielenia.

Dzisiejsza konferencja będzie różniła się od tych, które mieliśmy do tej pory. Będzie bardziej ogólna w swoim charakterze, bardziej syntetyczna. A nie dzieje się to bez powodu. Otóż w październiku 2006 r., czyli w półtora roku po objęciu stolicy piotrowej, papież Benedykt XVI ogłosił, że potrzebne jest zebranie, synod biskupów, który byłby poświęcony Słowu Bożemu. Dlatego, że rola Słowa Bożego, zarówno tego wypowiedzianego przez Boga niegdyś w dziejach, jak i tego utrwalonego na kartach Pisma Świętego, jest tak ogromna, że podstawowym wyzwaniem, jakie stoi przed Kościołem, jest refleksja nad Pismem Świętym. Dla państwa, którzy od długiego czasu jesteście wprowadzani w misterium Pisma Świętego, to wezwanie papieskie ma szczególne znaczenie. Otóż papież Benedykt XVI zapowiedział zwołanie specjalnego synodu biskupów, a zgromadzenie synodalne biskupów jest drugim pod względem ważności zebraniem biskupów, poza soborem. Sobory są rzeczą bardzo rzadką. Pamiętamy, że w czasach współczesniejszych, bliższych nam, ostatni sobór miał miejsce w latach 1962 - 1965. Zatem to już jest ponad 40 lat temu, to był Sobór Watykański II. Poprzedni sobór miał miejsce w r. 1870, czyli to już jest perspektywa ponad 130 lat. Jeszcze poprzedni miał miejsce w latach 1540-tych, był to Sobór Trydencki, biskupi zebrali się pod przewodnictwem papieża w Trydencie, na północy Italii, i stąd taka nazwa. Zatem sobory są rzeczą rzadką, bardzo rzadką. Natomiast synody biskupów są wydarzeniem częstszym. Mają miejsce co kilka lat, i na takich synodach biskupi zastanawiają się nad wybranym przez papieża i wskazanym aspektem życia chrześcijańskiego.

Papież postanowił więc wybrać temat: „Słowo Boże w życiu i misji Kościoła”. Czyli zastanowić się nad tym, jaką rolę ma pełnić, jaką rolę pełni Pismo Święte w życiu chrześcijanina i w życiu

również całego Kościoła. Papież polecił specjalnej komisji opracować takie wytyczne, które nazywają się po włosku *lineamenta*. Te wytyczne, wydrukowane w najbardziej podstawowych językach: angielskim, francuskim, włoskim, niemieckim, ale także po polsku, zostały rozesłane do wszystkich Kościołów lokalnych, także do Polski. I tutaj biskupi mieli także dobrać różnych specjalistów i zastanowić się nad tym, co będzie przedmiotem rozważań podczas zbliżającego się synodu. I także w Polsce taka debata się odbyła w ubiegłym roku i wiosną tego roku, kiedy to w różnych diecezjach, w naszej archidiecezji również, ksiądz arcybiskup i biskupi pomocniczy zadbali o to, żeby ta refleksja nad miejscem, nad znaczeniem Pisma Świętego w życiu chrześcijańskim, odbyła się. Rezultaty tej refleksji zostały uporządkowane, spisane, i przesłane do Watykanu. I w Watykanie w ubiegłym tygodniu *Stolica Apostolska*, specjalnie wyznaczone do tego gremium, opracowało dokument, który jest takim dokumentem wyjściowym do refleksji, która będzie przedmiotem namysłu i modlitwy biskupów w październiku tego roku. Otóż papież Benedykt XVI zwołał ten synod w dniach 5 - 26 października w Rzymie, w tym roku. I będzie to bardzo duże wydarzenie w Kościele, jak powiedziałem drugie pod względem rangi po soborze. I prosił papież, żeby także sprawę przygotowania do tego synodu poruszać w mniejszych grupach — a nasza jest wyjątkowo do tego sposobną — i żeby również uczynić ją przedmiotem modlitwy, bo nic w Kościele pożytecznego działać się nie może bez modlitwy. I są teraz rozsyłane takie materiały, które mają być przedmiotem refleksji. A z każdego kraju, również z Polski, zostaną dobrani biskupi i delegaci, którzy mają udać się na synod biskupów w Rzymie i tam zastanawiać się nad Słowem Bożym w życiu i misji Kościoła.

Chciałbym z państwem zastanowić się nad głównymi elementami tego dokumentu wyjściowego dlatego także, żeby państwo zobaczyli jak bardzo dużo z tego, co będzie przedmiotem refleksji i co będzie przedmiotem modlitwy, jak bardzo dużo już wiecie. Żebyście państwo odczuli satysfakcję z tego, że dojrzała wiara przynosi błogosławione owoce nawet wtedy, kiedy się tego nie spodziewamy. Że człowiek, który stara się kształtować swoją wiarę, w nagrodę otrzymuje to, że ona rzeczywiście jest bardziej ukształtowana.

Otóż zachęcając do tego synodu papież podzielił refleksję na trzy części. I musimy pamiętać, że Benedykt XVI jest znakomitym teologiem tzn. człowiekiem, który stara się zrozumieć, wytłumaczyć, poznać swoją wiarę. Teologia wg. dawnej formuły, którą wiele razy państwu powtarzałem, to jest *fides querens intellectum* czyli *wiara szukająca zrozumienia*. I papież jest człowiekiem głębokiej wiary. I jednocześnie papież pragnie tę wiarę zrozumieć, pragnie ją poznać, pragnie ją przeniknąć i pragnie w tym zadaniu pomóc innym. Podzielił więc to zadanie przygotowania do synodu biskupów na trzy części. W pierwszej polecił zastanowienie się: co to jest Pismo Święte? Tzn. dlaczego Pismo Święte jest w Kościele i dla chrześcijanina tak ważne. Proszę popatrzeć — pytania najprostsze są najtrudniejsze. I gdyby nam zadać to pytanie: „Co to jest Pismo Święte i dlaczego Pismo Święte zajmuje tak ważne miejsce w życiu i nauczaniu Kościoła” to myślę, że odpowiedź nie byłaby jednak bardzo łatwa.

Drugi kierunek myślenia papieża to sposoby obecności Słowa Bożego w życiu Kościoła. Papież prosił zastanowić się nad tym, jakie są formy obecności i przybliżania Pisma Świętego wiernym. Gdzie są możliwości, gdzie istnieją takie kanały pozwalające nam przybliżyć się do Pisma Świętego i lepiej je poznać?

I wreszcie trzeci rozdział, trzeci kierunek tego namysłu ukazuje nam Kościół i jego posługę ewangelizacyjną, jego misję ewangelizacyjną. Kościół istnieje po to, aby głosić Jezusa Chrystusa. Gdzie w takim głoszeniu Jezusa Chrystusa jest miejsce na czytanie, objaśnianie, rozumienie i przyswajanie sobie Pisma Świętego?

I w tych kierunkach pójdzie dzisiejsza nasza refleksja. Chciałbym, żebyśmy wspólnie zastanowili się nad tymi trzema drogowskazami wskazanymi przez Ojca Świętego, i żebyśmy zarazem zobaczyli — być może to będzie taki mały rachunek sumienia, ale także powód do dumy, że w tej pracy nad przybliżaniem Słowa Bożego udało nam się cokolwiek zrobić.

Zatem zacznijmy od tego, co Benedykt XVI uważa za podstawy teologiczne. Mianowicie dlaczego Pismo Święte, Biblia jest tak bardzo ważna? Dlaczego ona jest fundamentem wiary Kościoła i fundamentem wiary, pobożności i życia chrześcijańskiego? Odpowiada na to: Dlatego, że Pismo Święte jest Słowem Boga. Ale co to znaczy, że Pismo Święte jest Słowem Boga? W jaki sposób Pismo Święte jest Słowem Boga? I co z tego wynika?

Tak musimy wrócić do początków i raz jeszcze zastanowić się nad tajemnicą samej genezy, sa-

mych początków Pisma Świętego. A ta refleksja nad naturą i pochodzeniem Pisma Świętego jest w gruncie rzeczy refleksją nad tajemnicą spotkania Boga i człowieka. Otóż wszystko, cokolwiek mówimy o Piśmie Świętym, zakłada prawdę, że Bóg stworzył człowieka na Swoj obraz i Swoje podobieństwo. I dlatego człowiek Boga potrzebuje, człowiek Boga pragnie, człowiek za Bogiem tęskni. Wyraził to św. Augustyn: „Niespokojne jest serce moje dopóki nie spocznie w Tobie, o Panie”. To poszukiwanie Boga odbywa się na wiele sposobów, czasami odbywa się po ciemku, czasami w poniewierce, czasami prowadzi na błędne drogi, czasami przygasa, czasami człowiek nie chce o Bogu pamiętać, nie chce o Bogu myśleć, odwraca się od Niego. Ale ten głód Boga w człowieku istnieje. Wszystkie najodleglejsze zabytki, jakie przetrwały z pradziejów i z historii ludzkości, mają w gruncie rzeczy charakter religijny. Człowiek szukał Boga i bóstw, bogiń i bogów, których wyobrażał sobie na rozmaite sposoby. Mamy do dzisiaj figurki i najrozmaitsze przedstawienia odnajdywane w rozmaitych zakątkach świata i przedstawiające tych, do których człowiek się modlił, którym ufał, których pragnął, których potrzebował. Otóż ta tęsknota, ten głód, jest wypisany w sercu człowieka. Tak było zawsze. Bóg złożył tę tęsknotę w człowieku. Ale nie tylko złożył, żeby człowieka umęczyć szukaniem, lecz Bóg objawił się człowiekowi, Bóg ukazał człowiekowi coś z Siebie. Nie mógł wtedy wejść w ludzki świat tak, jak wschodzi każdy człowiek, żeby niejako go nie rozsadzić, ale bez przerwy ukazywał coś z Siebie. Mówił, przemawiał do człowieka na rozmaite sposoby — przede wszystkim w głosie, który dał się rozpoznawać we wnętrzu, w sumieniu. Człowiek czuł, że istnieje ta tajemnicza moc, która go pociąga, która go ku Niemu zbliża, której pragnie, której potrzebuje, za którą tęskni, której się lęka, której się obawia — ale jednocześnie którą miłuje. Najrozmaitsze uczucia targaly ludźmi. A Pan Bóg wchodząc stopniowo w ten świat ukazywał coś z Siebie. I w tym samoobjawieniu się Boga Bóg dokonuje wyboru. Wyboru Abrahama, o od niego jego potomstwa. Wybór można by traktować jako swoista niesprawiedliwość bo miłość ma to do siebie, że nie jest sprawiedliwa. Miłość przewyższa sprawiedliwość, sprawiedliwość stoi na usługach miłości. Mógł Bóg wybrać kogoś innego, mógł wybrać innego człowieka, niż Abraham. Ale wybrał właśnie jego, a Abraham posłusznie Mu odpowiedział. Otóż u początku tego spotkania Boga i człowieka leży miłość Boga i ufna odpowiedź człowieka. Zawsze w wybraniu spotykają się dwie miłości. I dopiero wtedy, kiedy istnieje ta wzajemność, może dokonać się coś dobrego. Abraham uwierzył i Bóg poczytał mu to za sprawiedliwość. Od Abrahama wywodzi się cały lud bożego wybrania, Izraelici, którzy wiele razy wzbraniali się przed tym wyborem, którzy wiele razy wierzgali, wiele razy mówili: „A może byś wybrał kogoś innego?” Dlatego, że wybór pojmujemy jako przywilej, i oczywiście wybranie jest przywilejem. Ale drugą stroną wybrania, znacznie trudniejszą, która nam sprawia, i Izraelitom sprawiała ogromne kłopoty, to jest odpowiedzialność. Bóg wymagał od Izraelitów odpowiedzialności, i stąd było trudniej. Bo Izraelici, lud bożego wybrania, byli obrazem każdego człowieka, i pozostają nim do dzisiaj. Nam również wybranie przychodzi trudno. A w wielu miejscach chcielibyśmy mówić tak jak oni: „A może byś wybrał kogoś innego?” Ten sprzeciw wobec wybrania przybierał na sile zwłaszcza wtedy, kiedy owo świadczenie o Bogu, ta odpowiedź dawana Panu Bogu wymagała cierpienia, kiedy łączyła się z trudnościami, kiedy łączyła się z przeciwnościami. Otóż Bóg w przedziwny sposób uczynił cierpienie i to, co trudne, narzędziem swojej obecności w świecie. I tak było już w świecie przedchrześcijańskim. Izraelici próbowali dociekać, dlaczego tak się dzieje. Przypomnijmy sobie dylematy samego Abrahama, który pewnego dnia – wyznaczony do tego, że będzie ojcem wielu narodów – słyszy: „Weź swojego syna, którego miłujesz, i udaj się na górę Moria, i tam złoś go w ofierze”. Mógł na samym początku powiedzieć „Nie”, o on od początku do końca mówił „Tak”. I okazuje się, że Bogu niepotrzebna jest ofiara z jego syna, ale potrzebna jest ofiara z jego miłości. I to, co Abraham złożył, to była ofiara z miłości. Do tego był zdolny, i to Pan Bóg przyjął. I te przykłady można mnożyć, że dojdziemy wreszcie do cierpiącego Hioba, który był przykładem cierpiącego sprawiedliwego, który przeszedł przez najbardziej mroczne ciemności i upokorzenie ludzkiego życia.

Ci, którzy spotykali Pana Boga, którzy Go doświadczali, doszli do wniosku, że Bóg odkrywa im coś z Siebie, ale że trzeba to utrwalić. Pamięć jest zawodna, ludzie umierają, pokolenia przychodzą i odchodzą. Ci, którzy byli, po nich nie ma już śladu. Ci, którzy przyjdą — w ogóle ich nie znamy. Dlatego w odległej starożytności postanowiono te doświadczenia wiary zacząć spisywać. Ta mowa Boga, która dochodziła do głosu w spotkaniu Boga z człowiekiem, zaczęła być spisywana po to, żeby doświadczenie, ta wiara, ten kontakt z Bogiem, ta wzajemność pomiędzy Bogiem i człowiekiem, żeby

została zapamiętana. Tak zaczęły powstawać pierwsze fragmenty, pierwsze teksty. Otóż nośnikiem tej pamięci stało się słowo pisane. Najprawdopodobniej także dlatego człowiek posiadał umiejętność pisania i czytania, żeby nie popaść w chorobę amnezji, w chorobę niepamięci. I w tym, co dotyczy Pana Boga, również zaczęto pisać. Nie potrafimy dokładnie powiedzieć z jakiego okresu pochodzą najstarsze zapisy, ale pochodzą na pewno z początku pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem, czyli trzy tysiące lat temu. Zaczęły powstawać pojedyncze księgi, a potem pojedyncze zbiory. I te pojedyncze księgi dlatego były przyjmowane, dlatego cieszyły się uznaniem, ponieważ w nich wyrażała się wiara tych, którzy spotykali Pana Boga, którzy Pana Boga przeżywali. Ci, którzy te księgi czytali, rozpoznawali coś z własnego doświadczenia. W ten sposób tworzyła się więź, nowa więź między Bogiem a tymi czytelnikami, ale także między tymi czytelnikami a tymi, którzy niegdyś pisali te księgi. Tworzyła się wspólnota wiary. Zaczęto te księgi czcić jako święte — ale święte nie dlatego, że opowiadały o niewinności, że były swoistą hagiografią, świętą legendą, lecz dlatego, że dotyczyły spraw bożych, objawiały i ukazywały coś z Boga i mówiły bardzo wiele o człowieku.

Najstarszy zbiór, który powstał i który został przyjęty jako wyraz wiary biblijnego Izraela, ludu bożego wybrania, otrzymał nazwę Tora. To słowo Tora pochodzi od czasownika jaram – *uczyć, mówić*. Tora znaczy *nauka, fundament*. Jeżeli chcesz — mówiono w tamtych czasach — wiedzieć jak trzeba żyć, oto jest zapis. Oto jest zapis działania bożego, bożej obecności i bożego sposobu życia. A więc ortodoksja czyli to, jak należy wierzyć, zawsze łączyła się z ortopraksją czyli tym, jak należy żyć. Nigdy nie było tych zapisów tylko po to, żeby informować, żeby objaśniać, żeby uczyć. Te zapisy powstawały po to, żeby kształcić cyowieka, ludzkie sumienia ale także ludzkie wspólnoty. I to był najstarszy zapis. Ten zapis w wieku VI, a najpóźniej w wieku V przed Chr. został przyjęty jako święty i traktowany był jako taki. To dla niego zaczęły powstawać domy modlitwy, które z czasem otrzymały nazwę synagoga. W księdze Ezdrasza, w jednej z tych ksiąg, które powstały nieco później, starotestamentowej księdze, mamy opis jak to pewnego dnia kapłan Ezdrasz bierze tę księgę prawa i czyta ją ludowi. I powiada: „Tak macie żyć!” A oni mu odpowiadają: „Amen, amen!” czyli „Niech tak będzie, niech tak będzie!” To miało miejsce w r. 458 przed Chr. w Jerozolimie, w pobliżu świątyni.

Tak, obok ofiar składanych w świątyni, zaczyna być czytane i rozważane Słowo Boże, to, co Bóg objawił człowiekowi z Siebie. Nie zabrakło, raz jeszcze powtórzmy, i buntu. Bo także ci, którzy czytali, nie chcieli przyjmować do wiadomości, że oto Bóg objawia się w pokorze, w biedzie, w uniżeniu, w nędzy, w opuszczeniu, wreszcie w cierpieniu i w śmierci. To było przyjąć najtrudniej. I wtedy pojawia się stopniowo, kształtuje się drugi zbiór, mianowicie *Prorocy*. Na ten zbiór składają się księgi, w których wielcy prorocy biblijnego Izraela z jednej strony oceniają przeszłość, oceniają teraźniejszość, i na tej podstawie kształtują przyszłość. I w ich nauczaniu pojawiają się wątki które dotyczą tego, co było, ale także pojawia się wizja dotycząca przyszłości. Zapowiadają świat, który będzie boży, który wymaga od człowieka wysiłku. Ten świat, te perspektywy są przepiękne. One wychodzą poza granice doczesności. I dlatego już w tamtych czasach człowiek sobie uświadamia że porządek, który teraz istnieje, jest przejściowy, że nie może być tak że żyjemy po to, żeby umierać – i na tym koniec! Że śmierć musi być jakąś bramą. I z tęsknotą wyczekiwano życia, które może dać tylko ten, który jest Panem życia. I na rozmaite sposoby sobie to życie wyobrażano. Biblijni Izraelici wyobrażali je sobie na podobieństwo ogrodu Eden. Ale o życiu po śmierci mówili zwłaszcza Egipcjanie. Mówiono w Mezopotamii, mówiono w Anatolii, mówiono w Grecji, mówiono w Rzymie, mówiono na Dalekim Wschodzie. Wszędzie była ta tęsknota żeby to wszystko, co jest teraz, żeby nas wiodło, żeby nas prowadziło ku rzeczywistości, której dawcą, autorem, źródłem i celem jest Bóg. Nie zawsze umiano to nazwać, ale ta tęsknota była zawsze silna. I u proroków, w pismach proroków, w zapisach proroków pojawiają się wizje, które noszą nazwę eschatologicznych. A więc kierują wzrok ku przyszłości zamierzonej przez Boga. Prorocy wiedzą o tej przyszłości niewiele, ale za nią tęsknie wyczekują.

I wreszcie pojawia się trzeci nurt, mianowicie nurt mądrościowy. I ten także doczekał się zapisów. Powstaje zbiór, który nosi nazwę *Pisma*. I tam, w tym zbiorze, znajdują się nauki które dotyczą sposobu życia religijnego człowieka. Jak ma wyglądać życie rodzinne, życie osobiste, życie w grupie, życie zbiorowe, życie wspólnotowe, życie narodowe. Rozmaite dziedziny życia są tam porządkowane, układane, oceniane. I w ten sposób jeszcze w czasach przedchrześcijańskich powstaje potężny zbiór, który po hebrajsku — bo w hebrajskim języku zostało to wszystko spisane — nosi nazwę *Mikra*.

A rzeczownik [mikra] pochodzi od czasownika [kara] tzn. *czytać*. Mikra — *to, co ma być czytane*. *To, co ma być czytane głośno i rozważane*. I w tym czytaniu Bóg przemawia do człowieka. W tym czytaniu to dawne spotkanie wiary wielkich bohaterów biblijnych znajduje nowy wymiar. W tym czytaniu ludzie rozpoznają głos Boga. Nazywają więc Boga [Kol] czyli *Głos*. Otóż to czytanie zakłada umiejętność słuchania, wsluchiwanie się, wyciszenia się, a więc swoistej pokory. Tak jest już w czasach odległych. Wierzący w Boga zbierają się by czytać, by rozważać i otwierają się w ten sposób na to, co Pan Bóg mówi. Co mówił do dawnych pokoleń, i co przez to słowo mówi także do nich.

I tak dochodzimy do pierwszej ważnej konkluzji która nam uzasadnia to, że Kościół nie może istnieć bez Pisma Świętego. Bo w słowach Pisma Świętego odczytywanych z pokolenia na pokolenie, odczytywanych w najrozmaitszych językach, dochodzi do nas głos Boga, dochodzi do nas mowa Boga, który już kiedyś objawił się naszym ojcom, ojcom w wierze, a teraz daje poznać coś ze Siebie gdy wsluchujemy się w Jego głos. Ktoś, kto rozważa przygodę Abrahama, może pomyśleć, że coś podobnego dokonuje się i w jego życiu. Ktoś, kto towarzyszy Mojżeszowi na pustyni Synaj, staje się jednym z uczestników wędrówki, która co prawda miała miejsce tysiące lat temu, ale ponawia się i dzisiaj. Ktoś, kto wsluchuje się w słowa proroków, bierze je sobie do serca i odmienia swoje życie. Ktoś, kto rozważa przygodę Hioba, może sam któregoś dnia być może stać się cierpiącym Hiobem nieumiejętnie pocieszanym przez swoich przyjaciół, i zadającym sobie pytanie: „Dlaczego ja?” i buntującym się: „Wybierz sobie kogoś innego, ze mną już dość!”

Otóż ci biblijni bohaterowie wiary są Bogu posłuszni, ale oni też z Bogiem dyskutują, rozmawiają, przekomarzają się, sprzeczą się, buntują się. Jak między ludźmi, tak między człowiekiem i Bogiem! Tak kształtuje się zdrowa religijność. Zdrowa religijność nie jest ślepym posłuszeństwem. Człowiek prawdziwie religijny nie tylko z Bogiem rozmawia, ale także z Nim dyskutuje a być może sprzecza się, skarży się, przedstawia Mu swoje trudności, dylematy, boli go coś. Nigdy nie zapomnę tego, co przeżyłem bodaj w ubiegłym roku w Jerozolimie. Była to niezwykła scena kiedy to podczas pielgrzymki byliśmy pod Ścianą Płaczu. I tam pod tą Ścianą Płaczu patrzyłem na jednego z Żydów, który tam przyszedł i który bez przerwy podnosił palec i głowę do Boga, coś Panu Bogu tłumaczył, coś Mu wyjaśniał, perswadował, naciskał. Potem opadała mu głowa, później przez chwilę milczał. I wreszcie podszedł bliżej i doszły mnie jego następujące słowa. Modlił się do Boga, rozmawiał z Bogiem tak:

Atta osze

Szejesz jeha wajo tymi

Waradi omer

Szejesz libajo limeha

*Ty myślisz*

*że Ty masz kłopoty ze mną.*

*A ja Ci powiadam*

*że i ja mam z Tobą kłopoty*

Oto jest modlitwa, która daje nam sporo do myślenia. Modlitwa żydowska wyrosła z ducha Starego Testamentu, która rzeczywiście daje poznać że w wielu sprawach zrozumieć nam Boga i przyjąć Jego wolę nie jest rzeczą łatwą. Dlatego umiejętność takiej modlitwy — ona dla nas wydaje się nie tylko odważna ale wręcz ociera się o swoiste bluźnierstwo — to nic innego jak umiejętność osobistego, odważnego, głębokiego przeżywania Boga. Ale to wszystko był Stary Testament.

Otóż to, czego Pan Bóg dokonał w Jezusie Chrystusie przekroczyło wszystko, co mógł powiedzieć Stary Testament. Przekroczyło wszystko, co Stary Testament obiecywał, czego biblijni Izraelici się spodziewali. Modlili się do Boga, mówiliśmy o tym wiele razy: „Ukaż nam Swoje oblicze!”, „Boże, gdzie jesteś?”, „Pokaż nam Siebie!”, „Objaw nam Siebie!”, „Chcemy widzieć, że jesteś!”, „Potwierdź, że jesteś!”. Więc Bóg na to odpowiedział. Ale posunął się za daleko, bo w osobie Jezusa z Nazaretu stał się człowiekiem. A to już było za dużo. Patrzyć na człowieka i wyznawać Syna Bożego to dla tych, którzy żyli w Jego czasach, był heroizm nie do pokonania. Nawet dla Apostołów. Natomiast kamieniem obraży stała się jego męka, jego cierpienie i jego śmierć. Nawet ci, którzy byli najbliżej — ileż to razy o tym mówiliśmy — okazali się do tego nieprzygotowani. Widzieli cuda, widzieli znaki, widzieli Jezusa, podziwiali jego naukę, towarzyszyli Mu, jedli chleb, jedli ryby, pili wino na weselu w Kanie Galilejskiej, którego przedtem nie było. Patrzyli nawet na wskrzeszanie umarłych, na uzdrowienia chorych. Na to, że niewidomi odzyskiwali zdrowie, że głusi słyszeli, że sparaliżowani odchodzili — widzieli to wszystko. Ale kiedy przyszedł Ogrójec, i kiedy przyszło przesłuchanie przed Sanhedrynem, wtedy ten, który był przedstawicielem ich wszystkich,

wołał: „Nie znam tego człowieka!”

Wszystko to nie byłoby dla nas ważne, i byśmy o tym nie wiedzieli, gdyby to nie zostało spisane. Otóż znów to objawienie się Boga w Jezusie doczekało się zapisu, doczekało się tekstów. Zwróćmy uwagę, że Jezus nie pozostawił po sobie żadnej pisanej Ewangelii. Wiemy, że umiał pisać, bo kiedy oskarżano kobietę posądzoną o cudzołóstwo, wtedy nachyliwszy się pisał palcem po ziemi. Ale to, co napisał, piaski bardzo szybko uniosły. Nie pozostawił po sobie nic pisanego, pozostawiając to zadanie innym. I inni je podjęli. I bardzo szybko powstały cztery Ewangelie, które stały się Ewangeliami kanonicznymi. I z nich mamy źródło, mamy inspiracje do tego, żeby się dowiadywać o Jezusie. Zauważmy, że słowo spisane stało się nośnikiem pamięci o Jezusie. Więcej — znów ono nie tylko nam opowiada, ono nie tylko objawia, ale ono nas kształtuje, ono daje nam siłę do tego, żeby to przyjąć i żeby tak żyć. Dowiadujemy się więc nie tylko o życiu Jezusa, o jego cudach, o ty, co wspaniałe i co ważne, ale przechodzimy także przez tę ciemną dolinę śmierci wraz z Nim. I chociaż nam jest łatwiej niż starożytnym mieszkańcom Jerozolimy, ówczesnym Żydom, uwierzyć bo patrzymy na Kalwarię przez przyzmat krzyża który bywa złoty, srebrny, ozdobny, w domach, do którego się przyzwyczailiśmy. Chociaż nam jest łatwiej to kiedy przyjdzie nam przyjąć krzyż i przeżywać krzyż, czyli kiedy Chrystus nas wzywa byśmy poszli jego drogą i podzielili jego los, to bardzo często zdarza się, że postawa Piotra i pozostałych Apostołów są powtarzane. Jedni uciekają, drudzy się buntują, a inni mówią: „Nie znam tego człowieka!” czy „Wolałbym inaczej!”

Jeszcze raz się okazuje że probierzem wiary staje się cierpienie, stosunek do cierpienia, i że pod tym względem Pismo Święte jest dla nas nieocenionym źródłem natchnienia i siły — kiedy je czytamy i kiedy odmienia nasze życie tak bardzo, że możemy to przyjąć.

Więc druga bardzo ważna konkluzja. Nie wiedzielibyśmy o Chrystusie — przynajmniej tyle, ile wiemy, nie znalazłbyśmy tych zawiłych losów Apostołów, nie znalazłbyśmy prawdziwego dramatu Jezusa, nie wiedzielibyśmy co się wydarzyło z Nim i z tymi, którzy Mu towarzyszyli, gdyby nie Pismo Święte. Natomiast cud polega na tym, że ten mały zapis — zaledwie 28 rozdziałów Mateusza, 16 rozdziałów Marka, 24 rozdziały Łukasza, i 26 rozdziałów Jana — że ten krótki tekst może odmieniać ludzkie życie. Że z tego krótkiego tekstu Ewangelii tworzą się wielcy bohaterowie wiary. Ci, którzy ofiarują swoje życie za życie innych, którzy je przyjmują, którzy podejmują prześladowania, cierpienia — od dawnych męczenników aż po męczenników XX i XXI wieku. Jaka musi być siła Ewangelii, jeżeli ona jest zdolna odmieniać ludzkie życie! Jaki potencjał łaski złożył Pan Bóg w tekście — tym, który czytamy i rozważamy — jeżeli ten tekst może tak bardzo nas przemieniać. Warto sięgać po Pismo Święte, warto je czytać dlatego, że ono zawiera nie tylko Słowo Boże, wielokrotnie sprawdzone, ale ono także jest przemodlone, przeżyte na miliony razy.

Sięgamy po nie w naszych rodzimych językach. Nie możemy niestety – przynajmniej ogromna większość z nas – czytać go po hebrajsku, po aramejsku i po grecku – czyli w tych językach, w którym zostało ono zapisane. Zatem dochodzi do nas w języku polskim, który jest językiem naszych ojców i naszym. Nie jest rzeczą błahą ani nieważną jaki przekład Pisma Świętego czytamy. W dzisiejszym świecie bywa tak, że pojawiają się przekłady które są powierzchowne, banalne, pochodzą nie wiadomo skąd, które to Słowo Boże banalizują, czasami nawet lekceważą. Otóż nie jest rzeczą nieważną skąd pochodzi egzemplarz Pisma Świętego, podobnie jak nie jest rzeczą nieważną skąd pochodzi złoto albo kosztowności, które nabywamy. Można płacić duże pieniądze i kupować podróbki. Również na rynku — jeżeli to tak nazwiemy — religijnym dzieje się podobnie. Można chcieć spotkać się ze Słowem Bożym a tymczasem to, do czego dochodzimy, bywa, zdarza się, że jest jego parodią. Jeżeli decydujemy się na spotkanie z Pismem Świętym tzn. na czytanie go, ważne jest żeby było to dzieło które jest dziełem Kościoła, wspólnoty wiary do której należymy. A więc sprawdzone, właściwie przetłumaczone. Ale nie tylko właściwie przetłumaczone — że ktoś zna język hebrajski czy grecki. Właściwie przetłumaczone ponieważ przemodlone! U początków Pisma Świętego jest wiara. Ci, którzy przekazywali Pismo Święte, przekazywali jako ludzie wiary. Ci, którzy czytają dzisiaj, tłumaczą i komentują, muszą być ludźmi wiary. Pismo Święte czytane bez wiary albo Pismo Święte przetłumaczone bez wiary obraca się przeciwko orędziu, które Pan Bóg do nas kieruje.

Otóż spoiwem całego Pisma Świętego jest Jezus Chrystus. On jest obecny na każdej karcie Pisma Świętego. W pierwszej jego części, tej, którą nazywamy Starym Testamentem, On jest obecny tak jak oczekiwanie, jak nadzieja, jak potrzeba. Tam, w Starym Testamencie, Chrystus jest jak



ktoś, kogo kochamy znając go tylko z bardzo niejasnej fotografii. Natomiast w Nowym Testamencie ukazuje nam to, jak On naprawdę wygląda, jaki naprawdę jest. Otóż to jest tak jak w życiu człowieka. Jeżeli ktoś poznaje tego drugiego i poznaje go w późniejszym wieku, w dorosłym życiu, to zawsze interesuje go jego młodość, jego dzieciństwo. Chętnie oglądamy fotografie, wspomnienia, opisy, pamiątki, to, co go dotyczy. Bo żeby zrozumieć kogoś, trzeba cofnąć się do początku. Żeby zrozumieć Jezusa trzeba poznawać Stary Testament, trzeba czytać Pismo Święte. Ale pamiętać należy, że w całym tym Piśmie Świętym jego sensem jest Jezus Chrystus. Dla katolika, dla nas, najważniejsza lektura, najlepsze tłumaczenie, najlepszy przekład który zadośćuczyni wszystkim potrzebom, został dokonany w kontekście Wielkiego Jubileuszu Tysiąclecia Chrztu Polski i nazywa się ten przekład Biblia Tysiąclecia. Poprawiany, aktualizowany, adaptowany, jest przekazywany do dnia dzisiejszego. Słuchamy go w kościele, możemy go nabyć w dobrym katolickim czy chrześcijańskim sklepie, powinniśmy go mieć w domu. Jeżeli można coś państwu radzić, takiego praktycznego, na wakacje czy w ogóle na całe życie, to po pierwsze upewnić się, że w domu jest egzemplarz Pisma Świętego. A jeżeli nie jest to całe Pismo Święte, Stary i Nowy Testament, to należałoby przynajmniej zadbać, żeby to był Nowy Testament i Psalmi. Psalmi są księgą modlitwy. W psalmie człowiek znajdzie wszystko, co w sobie nosi. Natomiast jeżeli chodzi o Nowy Testament, to każdy dojrzały chrześcijanin powinien go przeczytać przynajmniej raz w życiu. Nie ma lepszego sposobu na czytanie Pisma Świętego niż tzw. *lectio continua* czyli czytanie ciągle. Polega ono na tym, że możemy codziennie przeczytać sobie jeden rozdział czy dwa, i tak z dnia na dzień posuwać się coraz dalej i dalej. Wiele razy mówiłem państwu, że jeżeli ktoś zdecyduje się na przeczytanie całego Starego i Nowego Testamentu, bez opuszczania niczego, zajmie mu to ok. 4 $\frac{1}{2}$  roku. Jeżeli ktoś zdecyduje się na przeczytanie tylko Nowego Testamentu, tak systematycznie, zajmie mu to trzy kwartały, niecały rok. Ale za ten niecały rok nasze poznanie Jezusa, nasze spotkanie z Jezusem jest dużo głębsze.

W Piśmie Świętym są księgi łatwe i są księgi trudne. Są księgi które pozwalają nam się bardzo szybko zrozumieć, które nas pociągają. Ale są również takie, które możemy czy musimy czytać zadając sobie pewien trud. Otóż dla przykładu znacznie łatwiejszy niż Stary jest rzecz jasna Nowy Testament. Bo w Nowym Testamencie znajduje wyraz wiara chrześcijańska. Ale w Nowym Testamencie też są pisma czy fragmenty trudne. Moim zdaniem najtrudniejszy jest List do Hebrajczyków. Ale muszę państwu powiedzieć, że jest to jednocześnie pismo najgłębsze, takie teologicznie najdojrzałe, najpełniejsze. Z tym, że żeby je czytać z pożytkiem, żeby je zrozumieć, to trzeba dobrze przemyśleć resztę Nowego Testamentu. Nie ma innego pisma w Nowym Testamencie, które by tak głęboko dotykało tajemnicy Jezusa Chrystusa, bo ten list jest skierowany do Hebrajczyków czyli do Żydów. Rozpoczyna się od przedziwnych słów. Mówi:

Wielokrotnie i na różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców przez proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna.

I autor Listu do Hebrajczyków wyjaśnia czym różniło się doświadczenie Boga w Starym Testamencie od doświadczenia Boga, który objawił Siebie w swoim Synu w Nowym Testamencie. To jest sam szczyt refleksji nad Bożym Objawieniem. Bardzo trudne pismo, bo żeby je zrozumieć to trzeba doskonale znać Stary Testament. Ja bym powiedział: trzeba być Żydem, trzeba znać to Pismo Święte po hebrajsku wręcz, żeby sobie uświadomić kim jest Jezus. Trudna jest Apokalipsa, trudne bywają listy św. Pawła. Ale trudne to nie znaczy, że musimy wszystko z nich pojąć. Ja państwu powiem — im dłużej czytam i im częściej przychodzi mi wracać do rozmaitych pism, i także je wyklądać, to mogę powiedzieć z czystym sumieniem że tym więcej mam pytań — nie wątpliwości, tylko pytań. A pytania przynależą do natury ludzkiej, nie tylko z powodu ciekawości ale dlatego, że pozwalają nam tę rzeczywistość widzieć głębiej. Jeżeli ktoś więc czyta Pismo Święte i ma pytania, no to jest właśnie ten stan, o który dokładnie chodzi. Dlatego, że pytania czytających są dużo głębsze i zupełnie inne niż pytania tych, którzy Pisma Świętego nie czytają.

Zatem, bilansując to wszystko, można powiedzieć tak. Pismo Święte wyrosło z wiary i dla wiary. Musi być w Kościele czytane i rozważane. Jeżeli chcemy przeżywać wiarę głębiej, musimy sięgnąć do tego doświadczenia wiary, które jest zawarte na kartach Pisma Świętego. Tam Bóg objawia Siebie, mówi o Sobie. Aż wreszcie opowiada o Sobie w swoim Synu, w Jezusie Chrystusie. I Pismo Święte stanowi zapis tej przygody.

Zatem już teraz znacznie krócej. Gdzie możemy spotykać się z Pismem Świętym? Jakie są sposoby jego obecności w Kościele, w życiu wierzących, w życiu ludu bożego? Papież Benedykt XVI i ci, którzy przygotowują się do synodu — i myślę, że przeżywanie tego synodu jesienią przyjdzie państwu dużo łatwiej — wskazują na kilka takich dziedzin, w których Pismo Święte dociera do człowieka. Można by powiedzieć, że są to takie okna. Wyobraźmy sobie dom, jest ciemno. Akurat teraz latem to trudno sobie wyobrazić, ale w jesieni i zimie łatwiej. Jest dom, i w tym domu jest Pismo Święte. I chcemy zajrzeć do tego domu przez okna, jedno, drugie, trzecie, żeby to Pismo Święte zobaczyć. Okno pierwsze to liturgia. Otóż spotkanie z Pismem Świętym odbywa się przede wszystkim podczas sakramentów świętych, podczas liturgii, a najwznioślejszy to oczywiście Eucharystia. Bardzo ważną rzeczą jest świadome uczestnictwo w liturgii słowa podczas mszy świętej. Bardzo ważną rzeczą jest wsłuchiwanie się we fragmenty, które są nam podawane pod rozwagę. Są dwa sposoby czytań w Kościele. Jedne czytania są przeznaczone na określone święta i uroczystości. Czy to będą święta maryjne, czy to będą święta które upamiętniają tajemnice z życia Jezusa, itd. Natomiast w niedziele, zwyczajne niedziele w ciągu roku mamy też taką odmianę lectio continua czyli czytania ciągłego. Czytamy fragment Ewangelii po fragmencie, a Ewangelia jest poprzedzona czytaniem wyjętym ze Starego Testamentu, a tamto poprzedzone czytaniem wyjętym ze Starego Testamentu. Byłoby idealnie gdyby ci, którzy biorą udział w niedzielnej mszy świętej, zadali sobie trud kupienia np. gazety, w której podane są niedzielne czytania, i gdyby sobie te niedzielne czytania w sobotę wieczorem przeczytać, przemyśleć sobie to, co w niedzielę będziemy słuchać. Oczywiście powiedzmy to sobie jasno, i myślę, że na synodzie zostanie to też powiedziane donośnie — że docieranie czytań podczas liturgii jest związane z jakością czytania, z jakością tego, co jest podawane w Kościele. A więc przede wszystkim odpowiedzialność kapłanów, odpowiedzialność lektorów za czytanie wyraźne, klarowne, pogłębione. To jest wszystko bardzo ważne. Zbyt często dzieje się tak, że do liturgii słowa nie przykładają się należytej wagi. I bywa tak że ten, kto czyta, nie dokłada starań by to było zrozumiałe, a ci, którzy słuchają, myślą w tym czasie o czymś zupełnie innym tak, że najprostsze pytanie „o czym dzisiaj było?” okazuje się nie do przeskokienia.

W związku z tym zadaniem odnowy duszpasterskiej, które nam postawił Benedykt XVI, pierwsze pole troski pastoralnej to jest sprawa odnowionego sposobu uczestniczenia w liturgii słowa, zarówno podczas mszy świętej jak i podczas innych sakramentów świętych, oraz podczas innych nabożeństw.

Drugi postulat, który papież nam stawia, który wydaje się zbyt wzniosły. Papież powiada, że każdy człowiek wierzący powinien pogłębiać swoją wiarę, stracić się ją zrozumieć. Czyli również poznawać elementy tego, co nazywamy teologią. Państwo popatrzą — kupujemy lodówkę, pralkę, telewizor. Mamy instrukcję obsługi. I z tą instrukcją obsługi poruszamy się krok po kroku, żeby to nam zaczęło działać. Kupujemy samochód — znacznie bardziej skomplikowany, kupujemy jakieś inne rzeczy — musi być instrukcja. A wydaje się że w tym, co dotyczy samego sensu ludzkiego życia taka instrukcja nam jest niepotrzebna! Paradoks dzisiaj polega na tym, że ludzie są doskonale przygotowani technicznie, znają się na informatyce, na matematyce, fizyce, astronomii, są dobrze przygotowani humanistycznie, znają języki, znają świat. Natomiast w tym, co dotyczy wiary, są na poziomie niemowląt i przedszkolaków. To, co wiedzą i rozumieją o Bogu, jest nieproporcjonalnie do tego, co wiedzą i rozumieją o świecie. Czasami ludzie wykształceni pozostają przy dziecinnym obrazie Boga ubieranego w sukienkę w niebieskie albo różowe falbanki, aniołów ze skrzydełkami i spodziewają się, że doświadczenie wiary właśnie na tym polega, żeby takich aniołów spotykać. Otóż papież powiada: ważną rzeczą jest pogłębianie wiary. Myślę, że wychodzimy naprzeciw temu postulatowi kiedy staramy się naszej wierze z różnych stron przyglądać. Ale bardzo serdecznie zachęcam państwa aby, czy to w Warszawie, to zupełnie wyjątkowe miasto i zupełnie wyjątkowe możliwości, czy to na wakacjach, zajrzeć do księgarni katolickiej, popatrzeć sobie na książkę i nie bać się takiego spotkania z książką, która nas rozwinie, która ukaże nowe horyzonty itd. Nie jest łatwo kupić dobrą książkę, zwłaszcza religijną czy teologiczną. Ale kiedy człowiek na nią trafi, to pożytek z niej ogromny.

Kolejne pole, na które papież zwraca uwagę, to kaznodziejstwo. Mniej to dotyczy państwa, zdecydowanie bardziej kapłanów. Mianowicie papież wzywa do tzw. biblijnej odnowy kaznodziejstwa. Mówi że w kazaniach, które mówią kapłani, jest zbyt dużo moralizowania. To są te słynne przykłady ukazujące, powołujące się na rozmaite zaszłości, które miały miejsce. Zbyt dużo jest

napominania, zbyt dużo jest czasami potępiania a nawet krzyku, natomiast zbyt mało ukazywania siły i mocy Ewangelii. Zatem zachęca kaznodziejów by zechcieli mówić do wiernych w nawiązaniu do tekstów Pisma Świętego. Myślę, że pod tym względem dzieje się coraz więcej dobrego. Również myślę, że dzieje się zbyt wolno, zbyt powoli. Dlatego nieraz pewnie będzie dobrze, jeżeli spotkanie ze Słowem Bożym, tym w liturgii, ubogacimy własnym przemyśleniem, własną refleksją, własnym dopowiedzeniem.

Następny element to katecheza. Z katechezą jest w Polsce paradoks. Bo powinno być lepiej, a pytanie: „czy jest lepiej?” jest coraz głośniejsze stawiane. Katecheza jest w szkole i głównie nam się kojarzy z katechezą dzieci i młodzieży. Tymczasem Benedykt XVI mówi rzecz zastanawiającą. Nawet kiedy to przeczytałem, to zadawałem sobie pytanie że to jest prosta sprawa ale bardzo ważna. Mianowicie papież podkreśla rolę katechezy dorosłych. Katecheza dzieci jest ważna. Trzeba dzieciom mówić o Bogu, trzeba przygotowywać do sakramentów. Przechodzą z roku na rok do następnej klasy, powinny pogłębiać swoją wiedzę i wiarę. Ale także dorośli nie mogą zatrzymać się w miejscu. I myślę, że pod tym względem możemy mieć poczucie dobrze spełnianego obowiązku. Być może można byłoby to zrobić jeszcze lepiej. Ale obecność państwa, i uczestnictwo, i systematyczność są dowodem, że katecheza dorosłych jest wielkim wyzwaniem, któremu Kościół powinien sprostać i że papież ma rację. W Kościele jest głód Słowa Bożego. Chcemy lepiej swoją wiarę poznawać i ją rozumieć. W związku z tym i na ten głód trzeba odpowiedzieć.

Przedostatnia sprawa to tzw. apostołat biblijny. Otóż dzisiaj mamy możliwości czytania, rozumienia i poznawania Biblii zdaje się zdecydowanie większe, niż kiedykolwiek dotąd. Dzisiaj nie jest już wielkim problemem nabycie egzemplarza Pisma Świętego. Dzisiaj nie jest wielkim problemem czytanie, sięganie po rozmaite pomoce. A wśród państwa jest bardzo wiele osób, które mają pod tym względem ubogacenie niezwykle bo odbyły pielgrzymki po krajach biblijnych i rozmaite inne formy pielgrzymowania. Ciekawą inicjatywą byłyby np. rekolekcje biblijne, biblijne dni spotkania, skupienie biblijne choćby jednodniowe. Takie inicjatywy już są. Zapotrzebowanie na nie jest ogromne. Odbywają się np. w Krakowie. Jest Centrum Duchowości Biblijnej i tam organizowane są systematycznie konferencje, na które przybywa – taka jest pojemność, takie są możliwości tego ośrodka – ok. 250 osób. Również nasza tutaj obecność pokazuje, że ten apostołat biblijny jest rzeczą ważną. Organizowane są rozmaite akcje, ale nie o akcje chodzi tylko o systematyczną pracę nad sobą. Wreszcie czytanie Pisma Świętego. Nic nie zastąpi osobistego spotkania z Pismem Świętym, które odbywa się przez czytanie. Także na czas wakacji zachęcam państwa, by robiąc sobie takie postanowienie pracy nad sobą właśnie to czytanie podjąć.

I wreszcie formacja i duchowość. To znaczy Pismo Święte daje nam nie tylko wiedzę, tylko daje nam pewien sposób życia. Ktoś, kto czyta o Bogu, powinien się starać żyć po bożemu. Mamy na kartach Pisma Świętego rozmaite przykłady, różnych ludzi, różne osoby, różne postacie, różne losy: od grzechu, od upadku, od zła, od niewierności aż po najgłębszą zażyłość, przyjaźń i oddanie Panu Bogu. Tak więc Pismo Święte dostarcza nam bardzo szerokiego spektrum tych postaw. Stąd wyrabianie w sobie takiej duchowości, która na czas trudniejszy daje człowiekowi siłę. Kiedy jest nam trudno przypominamy sobie Hioba, Abrahama, Mojżesza, Jeremiasza, Piotra, Pawła, pozostałych Apostołów, a wreszcie tego najważniejszego — Jezusa, i Najświętszą Maryję Pannę. Kiedy nam jest trudno, ci bohaterowie biblijni są jak gdyby z nami i są obok nas. Więc duchowość biblijna.

To są myśli, które w kontekście tego synodu dają również i państwu pod rozwagę. A najważniejszą rzeczą jest umiejętność samodzielnego sięgania. Najłatwiejsza z Ewangelii jest Ewangelia Łukasza, po niej Dzieje Apostolskie. Kto przeczyta te dwie księgi może pójść do Ewangelii św. Marka, do Ewangelii św. Jana, a na końcu do Mateusza. Tak zobaczy Jezusa z czterech różnych stron. I tak Nowy Testament, a może również Stary Testament, będzie odkrywał przed nami ten swój świat.

Tegoroczne konferencje zatem się kończą. Jestem bardzo szczerze wdzięczny za uczestnictwo w tej wielkiej przygodzie. I za niespełna dwa tygodnie papież ma ogłosić Rok św. Pawła w Kościele. Bo wyliczyli specjaliści że Paweł, najpierw prześladowca a potem Apostoł — to dobra kolejność, zdarza się że bywa odwracana również, ta jest znacznie lepsza — urodził się w 8 roku naszej ery. Zatem rok 2008 to 2000 lat od narodzin św. Pawła. A my, jeżeli szczęśliwie doczekamy jesieni, jesienią podejmiemy refleksję nad św. Pawłem właśnie. Będziemy starali się przemyśleć go od jego urodzin w Tarsie, przez jego drogę do Chrystusa, i potem przez te koleje losu które zaprowadziły

go do Rzymu i tam na męczeńską śmierć.

Zatem zapraszam na jesień, na zimę właśnie do refleksji nad św. Pawłem. Dziś bardzo dziękuję. Miłych, dobrych, udanych, spokojnych wakacji.

*«Podziękowania, pożegnania»*

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...